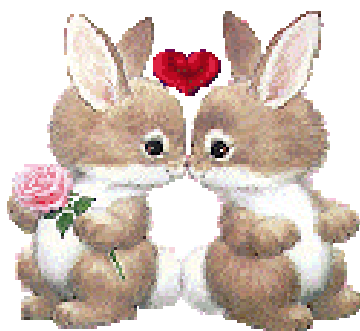




**Judith Arnold**

**Boso po trawie**



Książkę tę dedykuję mojej siostrze Carolyn,  
mojej kuzynce Judy,  
przyjaciółce mojej mamy, Adele,  
przyjaciółce mojej babci, Hannah,  
oraz wszystkim Waszym siostrom, matkom, kuzynkom  
i przyjaciółkom.

## ROZDZIAŁ 1

Wszystko byłoby dobrze, gdyby w przejeżdżającym nieopodal samochodzie nie strzeliła rura wydechowa; zabrzmiało to jak wystrzał z karabinu.

Huk targnął powietrzem, zakłócając spokój, jaki wczesnym popołudniem panował w centrum Devon. Dookoła rozszedł się cierpki zapach spalin. Zanim Beth dostrzegła winowajcę - stare, rozklekotane kombi, za którym wlokła się smuga dymu - oszalała z przerażenia Panna zaczęła szczeukać. Skakała, rzucała się to w prawo, to w lewo, ciągnęła za smycz, aż wreszcie okręciła ją wokół kostek swej pani. Potem jedno silniejsze szarpnięcie wystarczyło, żeby Beth wylądowała w mało dostojnej pozie na chodniku.

Krzyknęła i wypuściła smycz z ręki. Panna pognała przed siebie.

No dobrze, pomyślała Beth, usiłując zdławić przekleństwa, które cisnęły się jej na usta. Nic strasznego się nie stało. Nie panikuj.

Ważne jest, żeby zachować spokój, nie wyolbrzymiać tragedii, nie ulegać stresom; postanowiła przecież cieszyć się każdą chwilą, każdym dniem. Nie zamierza załamywać się tylko dlatego, że jej ukochana psina, którą niecały kwadrans temu wzięła z miejscowego schroniska dla zwierząt, pędzi wzdłuż głównej ulicy miasta, wlokąc za sobą - niczym drugi ogon - nową, elegancką smycz. Co to, to nie.

- Panna, stój! - zawołała, ostrożnie wstając z ziemi. Otrzepała delikatnie pośladki, obejrzała kolana, kostki; pobieżne oględziny nie wykazały, aby jakakolwiek część ciała ucierpiała od upadku. Podniósłszy torebkę, zaczęła rozglądać się po ulicy. Nagle dojrzała, jak Panna mija trzy - może czteroletnie dziecko, które wyszło z matką z piekarni i usiłowało zagrozić psu drogę. Dziecko zapiszczało radośnie, pies zaś, ujadając zawzięcie, pomknął dalej przed siebie. Biegł z zadziwiającym wdziękiem

jak na tak małe, włochate stworzenie o nieproporcjonalnie dużych, grubych łapach.

Beth ze zdumieniem potrząsnęła głową. Na Manhattanie ludzie wtulaliby się w ściany budynków, byleby tylko nie otrzeć się o obcego psa, który uciekł właścicielowi, w Jevon natomiast próbowali zwierzę schwytać.

Nie miała jednak czasu dumać nad tym, jakie jeszcze istnieją różnice kulturowe między jej nowym miejscem zamieszkania a starym. Zarzuciwszy torebkę na ramię, czym prędzej ruszyła w pogoń za szczeniakiem. Ażeby nie zderzyć się z uciekającą psiną, nastolatek na łyżworolkach wpadł na latarnię; potem jedną wolną ręką - bo w drugiej niósł nieporęczne pudło - usiłował złapać psiaka listonosz. Bezskutecznie. Panna dotarła na róg, wbiegła na jezdnię i cudem uniknęła zderzenia z rowerem, na którym pedałowal starszy jegomość.

Beth przyspieszyła kroku, ale sandały, które rano włożyła na nogi, niezbyt nadawały się do biegów, a poza tym nie miała tej kondycji co dawniej. Powietrze, dotychczas świeże i ożywcze, nagle stało się ciężkie i duszne; Beth poczuła, jak włosy lepia się jej do szyi, a w gardle zasycha.

Zaczęła się w duchu przeklinać. Była zła, bardziej na siebie niż na Pannę. Co jej strzeliło do głowy, żeby brać ze schroniska upartego, szalonego kundla? Przecież tyle wiedziała o psach co nic.

Przeprowadziła się do Devon, miasta w południowej, górzystej części stanu New Hampshire, żeby rozpocząć nowe życie. Małe mieszkanie w nowojorskiej Upper East Side zamieniła na uroczy dom w stylu kolonialnym, stojący przy wąskiej, krętej drodze. Zrezygnowała z dobrze płatnej pracy w znanej firmie adwokackiej, mieszczącej się w Alei Parkowej, żeby zostać współpracowniczką Cindy Miller oraz jej męża Jeffa, a także po to, by móc pracować pięć dni w tygodniu od dziewiątej rano do piątej po południu, a potem być wolną. Zrezygnowała

też z życia w pojedynkę i kupiła sobie psa, bo stary, stojący na zalesionym wzgórzu dom aż się o to prosił.

Zresztą kiedy wybrała się do schroniska i w okazałych rozmiarów klatce ujrzała pełnego energii szczeniaka, który biegał, szczekał i dominował nad resztą zwierząt, natychmiast się w nim zakochała.

Jednakże to, co teraz czuła do małego uciekiniera, dalekie było od miłości. Może i Panna miała wielkie, brązowe ślepia, którymi tęsknie się w nią wpatrywała, oraz uszy miękkie jak atlas, ale co z tego? Ją, Beth, pupa bolała od upadku, a psina zupełnie na to nie zważała, tylko ile sił w nogach gnąła dalej przed siebie.

Przy krawężniku stała szara, zakurzona furgonetka. Nagle drzwi od strony kierowcy otworzyły się i ze środka wyskoczył mężczyzna, który wbiegł na chodnik; dużym buciorem o grubych podeszwach nadepnął na smycz, zmuszając Pannę do zatrzymania się.

Dysząc ciężko, Beth oparła ręce na biodrach i podniosła wzrok, żeby spojrzeć na mężczyznę, który przyszedł jej z pomocą. Jego uśmiech ją poraził.

Ale nie tylko uśmiech miał wspaniały. Przesunęła wzrokiem po potarganych, kasztanowatych włosach swego wybawcy, zwróciła uwagę na jego oczy koloru czekolady, otoczone ledwo widocznymi zmarszczkami, na jego mocno zarysowaną szczękę, prosty nos, dołeczki w policzkach. Najważniejszy jednak był uśmiech. To on opromieniał jego twarz, definiował ją. Kiedy mężczyzna rozciągnął w uśmiechu wargi, nie tylko pogłębiły się dołeczki w policzkach i zmarszczki wokół oczu, ale spojrzenie mu rozbłysło. Beth miała wrażenie, że uśmiechają się jego oczy, nozdrza, brwi. Po prostu wszystko w nim składało się na ten wspaniały uśmiech - spalona przez słońce skóra, niedbała poza, kąt nachylenia głowy, silne ramiona widoczne spod krótkich rękawów koszulki.

Czy ramiona mogą się uśmiechać? - zadumała się na moment, a potem pomyślała: czemu nie? Skoro wszystko się w nim uśmiecha...

Swoją drogą ciekawe, dlaczego tak szczerzy zęby? Co go tak rozweseliło? Nieposłuszna psina? To, że ona, Beth, rymnęła na tyłek? Zmęczyła się, goniąc za kundlem, i stała teraz spocona, zziębnięta, ale facet naprawdę nie musi patrzeć na nią z takim rozbawieniem, jakby była klownem w podrzędnym cyrku.

- Twoja zguba? - spytał.

W jego głosie również pobrzmiwał uśmiech.

Zacisnąwszy usta, nieudolnie usiłowała wsunąć bluzkę z powrotem do spódnicy, po czym przeczesła palcami krótko ostrzyżone włosy, jakby podświadomie liczyła na to, że kiedy doprowadzi się do porządku, mężczyzna przestanie się z niej śmiać. Zresztą on sam też nie był wzorem elegancji. Miał na sobie sprane, znoszone dżinsy, niemal białe na kolanach, oraz granatową bawełnianą koszulkę, którą na ramionach i piersi pokrywała warstwa jasnego pyłu. Solidne, ciężkie buciory wyglądały zaś tak, jakby odbył w nich pięćdziesięciukilometrową wędrówkę po błocie.

Beth uznała, że facet jest robotnikiem fizycznym, aczkolwiek niezwykle przystojnym. Nie miała nic przeciwko przystojnym robotnikom fizycznym, ale nie lubiła, kiedy któryś patrzył na nią z politowaniem, bo nie umie sobie poradzić z nieposłusznym szczeniakiem.

Skrzywiła się, zła na siebie o to, że zwraca uwagę na wygląd faceta, na jego ciało i szczupłą sylwetkę. Doskonałość fizyczna stanowi dar. Albo człowiek ją posiada, albo nie. Uroda nie jest czymś, co się osiąga dzięki mozolnej pracy czy zaletom charakteru. Mężczyzna schylił się, zdjął nogę ze smyczy i podniósł psiaka z ziemi. Ręce miał tak duże, że szczeniak bez trudu zmieścił się na jego dłoni. Panna ułożyła się wygodnie, po czym zaskomlała z rozkoszy. Kiedy mężczyzna podrapał ją delikatnie za uszami, zamknęła ślepią - była wniebowzięta.

Zaledwie parę minut temu lizała Beth po palcach, merdała ogonkiem, piszczała radośnie, a teraz niestały w uczuciach, paskudny kundel znalazł nową miłość.

Beth westchnęła. Gdyby była psem i mogła wybierać między chudą blondynką a cudownym okazem męskości, nie ulega wątpliwości, że też by wybrała cudowny okaz męskości. Mężczyzna podniósł szczeniaka wyżej, na wysokość oczu, i patrząc w jego pełne zachwyty ślepie, spytał:

- Powiedz, malutki, czy ta pani należy do ciebie? Beth poczuła, że mija jej złość. Bo w końcu czy można

być złym na kogoś tylko dlatego, że jest silnym, zdrowym, atrakcyjnym facetem, który potrafi dogadać się z jej psem?

- Na razie rzeczywiście niezbyt wiadomo, kto należy do kogo - przyznała z uśmiechem. - Dziękuję za pomoc. Sama bym jej nie złapała. Nie biegam zbyt szybko...

Mężczyzna zerknął na jej nogi; kąciki warg mu drgnęły. Szeroka, bawełniana spódnica sięgała Beth do połowy łydek, więc niewiele widział, mimo to przez dłuższą chwilę nie podnosił wzroku.

- Nie ma za co - rzekł, kierując spojrzenie na jej twarz. W jego głosie pobrzmiwał akcent typowy dla okolic Nowej Anglii, do którego Beth jeszcze nie zdążyła przywyknąć. - Nic dziwnego, że pies zwiął. Huk był taki, że pewnie słysząc go było na drugim końcu świata. Skoro ja się wystraszyłem, psina tym bardziej miała prawo.

- No tak. Szczeniaki chyba w ogóle źle znoszą hałas. Mężczyzna wpatrywał się w nią przyjaźnie, ale nie tak

natarczywie jak nowojorscy podrywacze. Widocznie faceci z małych miasteczek są lepiej wychowani i nie pozerają kobiet wzrokiem, pomyślała Beth. A może ten konkretny facet nie widzi przed sobą nic apetycznego?

Wcale się nie dziwiła. Wystające spod spódnicy łydki najwidoczniej nie wywarły na nim wrażenia, jeśli zaś chodzi o resztę... Reszta, jak wiedziała, też nie była nadzwyczajna.

Głaszcząc szczeniaka za uszami, mężczyzna nie spuszczał oczu z Beth. Spojrzenie miał przenikliwe.

- Jesteś tu nowa, prawda?

- Tak-odparła.

Umieścił psa w lewej dłoni, prawą zaś wyciągnął na powitanie.

- Ryan Walker - przedstawił się.

- Beth Pendleton.

Zacisnęła swoją dużą, silną rękę o twardej, gładkiej skórze na jej szczupłej dłoni. To ręka człowieka, który pracuje fizycznie, pomyślała Beth.

- A ten mały jak ma na imię? - spytał, zerkając na psa.

- Panna.

- Panna? - zdumiał się Ryan Walker.

- To pierwsze, co mi przyszło do głowy. Ale wygląda jak panienka, prawda?

- Raczej jak kawaler. - Mężczyzna parsknął śmiechem.

- Co?

Ponownie uniósł psa na wysokość oczu, jakby chciał mu obejrzeć brzuszek, a kiedy po chwili przytulił zwierzę do piersi, z trudem zachowywał powagę.

- Niestety, muszę cię rozczarować, ale ten piesek nie jest żadną Panną.

Miała ochotę wyrwać szczeniaka z jego rąk i przekonać się na własne oczy. Ale nie zrobiła tego, już dość się dziś zbłądziła. Panna czy Kawaler - nie wiedziała jeszcze, jak nazwie potwora, wiedziała jednak, że w krótkim czasie sprawił jej całą masę kłopotów.

To, że głupi psiak był zachwycony bliskością Ryana i wpatrywał się w niego rozanielonym wzrokiem, również nie poprawiło jej nastroju. Nie dość, że suczka okazała się pieskiem, to jeszcze piesek zakochał się po uszy w facecie, który robił, co mógł - choć niezbyt mu to wychodziło - żeby zachować poważną minę.



W tętniącym życiem Manhattanie, gdzie człowiek bez przerwy bywał narażony na stresy, Beth zawsze doskonale sobie radziła. Dlaczego więc w małej, sennej miejscinie w New Hampshire nie potrafi normalnie funkcjonować?

- Jestem prawie pewna, że pracownica schroniska powiedziała mi, że to suczka - wyszeptała, zerkając gniewnie na psa.

- A ty nie zajrzałaś pod ogon?

- Nie. To byłoby niegrzeczne.

- Rozumiem. - Mężczyzna zarechotał pod nosem. -Ale wiesz, psy nie należą do grzecznych istot. Zwłaszcza małe pieski.

- Czuję się jak idiotka - rzekła cicho. Spoglądała na zwierzę, unikając wzroku Ryana. - Byłam taka przejęta, kiedy ją... to znaczy jego... zobaczyłam. Nigdy nie miałam psa. Po prostu straciłam głowę. Kiedyś zwracałam uwagę na różne szczegóły, a teraz... sama nie wiem. Pracownica schroniska przyniosła mi jakieś papiery, a ja wypisałam czek i zapomniałam o bożym świecie. Ostatnio stałam się jakoś mało spostrzegawcza. Uciekam myślami gdzie indziej i...

Nagle, zdając sobie sprawę, że trajkocze bez umiaru, ucichła. Oczy wciąż miała utkwione w zwierzęciu. Ryan przez chwilę milczał, jakby usiłował przetrawić usłyszane informacje.

- Nigdy nie miałaś psa? - spytał wreszcie.

- To chyba widać - odparła, uśmiechając się kwaśno.

- Kiedyś zawsze jest ten pierwszy raz.

- Niekoniecznie. Czasem da się go uniknąć. Może gdybym wszystko lepiej przemyślała, nie wzięłabym psa.

- A ja uważam, że lepiej za dużo nie myśleć. Zwłaszcza gdy chodzi o pierwszy raz. Pamiętam kilka takich pierwszych razy, które nigdy by się nie zdarzyły, gdybym za długo nad nimi dumał. Na szczęście nie dumałem.

Wreszcie Beth odważyła się napotkać wzrok Ryana; gdy ujrzała jego roześmiane oczy, zrozumiała, że mężczyzna ma całkiem co innego na myśli niż ona. Że nie mówi o tym, kiedy

ktos po raz pierwszy bierze psa pod swój dach, lecz o tym, kiedy kobieta z mężczyzną pierwszy raz idą do łóżka.

Oczywiście może się myliła, tak jak się myliła co do płci szczeniaka. Po prostu wyszła z wprawy, jeśli chodzi o sprawy męsko-damskie; od tak dawna stykała się z mężczyznami wyłącznie na płaszczyźnie zawodowej, że zupełnie nie wiedziała, kiedy ktoś z nią flirtuje.

Przysięgła sobie, że tu, w Devon, będzie starała się żyć w miarę normalnie, a normalna trzydziestodwuletnia, niezamężna kobieta nie unika kontaktów z przedstawicielami odmiennej płci. Z drugiej strony Beth chyba nie była gotowa nawiązywać bliższej znajomości z takim człowiekiem jak Ryan Walker. Fizycznie jest zbyt doskonała.

Patrzyła, jak głaszcze psinę po brzuchu. Nie sądziła, że psy potrafią wydawać takie dźwięki jak ten, który wydobywał się z gardła Panny; to, co słyszała, przypominało bowiem mruczenie. Wyobraziła sobie rozkosz, jaką odczuwa pies, kiedy pokryte odciskami palce przesuwają się po jego miękkim, białym futerku, gładząc je leciutko, z delikatnością, która nie pasuje do kogoś tak silnego, przyzwyczajonego do ciężkiej pracy fizycznej.

Słońce grzało niemiłosiernie. A może to Ryan Walker, jego ręce, oczy i uśmiech sprawiały, że krew buzowała Beth w żyłach? W każdym razie Beth miała nadzieję, że facet nie będzie próbował się do niej zalecać. Naprawdę nie była na to jeszcze gotowa.

- Powiedziałas, że pracownica schroniska dała ci jakieś dokumenty - rzekł Ryan, nie odrywając spojrzenia od twarzy Beth. - Nie było w nich nic na temat płci?

- Pewnie było, ale nie czytałam ich. Zobaczyłam psinę i oszalałam na jej punkcie.

Dołeczki w policzkach Ryana pogłębiły się.

- A zatem miłość od pierwszego wejrzenia? Flirtował z nią; nie miała już wątpliwości. Zastanawiała się, co powinna zrobić. Jedna część jej

osoby - ta rozsądna, a może ta wystraszona - chciała powiedzieć mu prawdę, wyjaśnić sytuację, nie dopuścić do tego, żeby cokolwiek między nimi zaszło. Druga zaś część pragnęła skorzystać z okazji i też poplirtować, sprawdzić, czy nadal to potrafi i udowodnić samej sobie, że przynajmniej z pozoru jest normalną kobietą, która niczym nie różni się od innych.

Czemu nie? - pomyślała. Do niczego ją to przecież nie zobowiązywało. W końcu są tylko dwójgim obcych ludzi rozmawiających o psie. Tak, absolutnie powinna skorzystać z okazji, przetestować swoje umiejętności, przeciwstawić stare, wypróbowane metody. Kto wie, kiedyś mogą się jeszcze przydać.

Wzięła się w garść i odwzajemniła spojrzenie Ryana.

- Miłość od pierwszego wejrzenia, powiadasz? To śmieszne, bo jeszcze kwadrans temu nie wierzyłam, że coś takiego istnieje - rzekła, pełna podziwu dla własnego opanowania.

- I nagle uwierzyłaś?

- Tak. - Popatrzyła na psa, po czym ponownie skierowała oczy na mężczyznę. - Kiedy zobaczyłam Pannę.

Ryan roześmiał się.

- Uważaj, bo piesek nabawi się kompleksów. Będzie miał problemy z określeniem własnej płci i do końca życia będziesz go prowadzić na psią terapię.

- O mój Boże! Nie chciałabym mu sprawiać tylu cierpień.

- Jesteś pewna, że nie wolałabyś innego psa?

- Absolutnie.

Wpatrywała się w niego intensywnie; odwrócenie wzroku oznaczałoby porażkę. Podobała się jej własna odwaga, a także to, że potrafi wzbudzić sobą zainteresowanie mężczyzny, którego przypadkiem spotkała w centrum Devon i który nic o niej nie wie. Zaczęła gładzić miękkie futerko przy uszach

psiaka; miała świadomość, że palce Ryana są tuż obok, że głaszczą psi brzuszek.

- Wybrałam go spośród innych zwierząt. A może to on wybrał mnie? Tak czy inaczej, przypadliśmy sobie do gustu.

- Chyba faktycznie połączyła was miłość od pierwszego wejrzenia.

Uśmiech Ryana, jego spojrzenie i głęboki, lekko ochryply głos tworzyły niebezpieczną mieszankę. Nawet w dawnych czasach, kiedy normalnie funkcjonowała w towarzystwie, Beth czułaby się speszona towarzystwem takiego mężczyzny. Wiedziała, że powinna się wycofać, póki jeszcze nad sobą panuje.

- O wiele łatwiej żyje się z samcem - oznajmił mężczyzna.

- Ale pewnie sama o tym wiesz.

- Z samcem? Masz na myśli psa w przeciwieństwie do suczki?

Ryan spoważniał, jakby zdając sobie sprawę, że doszli do pewnej granicy, której Beth nie pozwoli przekroczyć.

- Tak. Psy nie miewają humorów. Są silne, męzne, lojalne.

- Bzdury. Ale z ciebie męski szowinista! - Ucieszyła się, że Ryan trochę przystopował. - Jestem pewna, że suczki są też odważne i lojalne. I nie miewają żadnych humorów. A poza tym na pewno są znacznie bardziej posłuszne od psów.

- No jasne - przyznał, siląc się na powagę. - Suczki kręcą zadkami i skomlą, a pieski piją piwko i oglądają w telewizji komedie.

- Poza tym roznoszą po domu błoto.

- Tony błota. W dodatku zawsze po świeżo umytej podłodze.

Beth odetchnęła. Poglaskała psa pod brodą, a on wydał z siebie błogie westchnienie.

- No i jak mam cię nazwać, co? - spytała zwierzę.

- Lolek - odpowiedział Ryan.

- Lolek? - Beth spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Chcesz, żebym na to słodkie, urocze stworzenie wołała Lolek?

- A nie sądzisz, że wygląda jak Lolek? - Mężczyzna ponownie uniósł psinę na wysokość oczu. - No, Loluś, jak ci się podoba nowe imię?

Mały zdrajca polizał Ryana po brodzie.

- Widzisz? Podoba mu się.

Beth zmarszczyła czoło; nic lepszego nie potrafiła wydumać.

- No dobrze, niech będzie Lolek - zgodziła się, ujmując końcówkę smyczy. - Skoro jemu się podoba...

Ryan postawił szczeniaka na ziemi.

- Powiedz, co cię sprowadza do Devon? - spytał, mierząc Beth uważnym spojrzeniem. - Poza, oczywiście, chęcią znalezienia wymarzonego psa?

Pytanie nie kryło w sobie żadnych podtekstów. Ryan Walker nawet się nie domyślał, jak trudno było Beth na nie odpowiedzieć.

Co ją sprowadziło do Devon? Wiele rzeczy. Zwłaszcza jedna. Ale nie zamierzała jej zdradzać Ryanowi; zresztą gdyby wyznała mu prawdę, pewnie pożałowałby swego pytania.

- Potrzebowałam zmiany - odparła wymijająco.

- Zmiany czego?

To pytanie również brzmiało niewinnie. Podejrzewała jednak, że jeśli odpowie, mężczyzna zada następne, i następne. ..

- Otoczenia - ucięła. - Znudziło mi się już życie w mieście.

- Tak, miasto nie jest odpowiednim miejscem dla psa - oznajmił, jakby wyczuwając jej niechęć do mówienia o sobie i kierując rozmowę na bezpieczne tory. - Szczególnie dla tego psa.

- Nie przesadzasz? Jestem pewna, że Lolek byłby równie szczęśliwy w Nowym Jorku co tu.

- W ciasnym nowojorskim mieszkaniu? Wątpię. Za parę miesięcy ta mała psina wyrośnie na brytana.

- Na brytana? - spytała zdumiona, zerkając na szczeniaka, który z takim podnieceniem obwąchiwał zabłocone buciory Ryana, jakby to były najprzedniejsze żeberka.

- Do świąt Bożego Narodzenia zapewne będzie większy od ciebie.

Parsknęła śmiechem.

- Teraz to już na pewno przesadzasz!

- Ale tylko trochę. Wierz mi, to nie jest piesek salonowy. Z Lolka będzie ogromne psisko. Wystarczy spojrzeć na jego łapy. Podejrzewam, że twój piesczoszek ma w sobie coś z golden retrievera i bardzo dużo z bernardyna.

Cudownie. Sądziła, że bierze małą, uroczą suczkę, wylądowała zaś z psem, który w przyszłości miał osiągnąć rozmiary King Konga.

- Boże, nie nadążę z zarabianiem na jego żarcie.

- Masz koło domu ogród, po którym mógłby biegać? Duże psy potrzebują dużo miejsca - stwierdził autorytatywnie Ryan, jakby doskonale znał się na psach.

Ale chyba każdy zna się na nich lepiej niż ja, pomyślała smętnie Beth.

- Mam ogród, mam lasek, w sumie ponad hektar ziemi.

- Kupiłeś ten stary kolonialny dom przy Loring Road?

- Tak - odparła zaskoczona. - Skąd wiesz? Wzruszył ramionami.

- Od jakiegoś czasu był do kupienia.

- Śledzisz rynek nieruchomości?

- Jestem budowlańcem. - Niedbałym ruchem ręki wskazał na swoje ubranie, potem na zaparkowaną furgonetkę. - Wiem, co się buduje, co remontuje, co jest na sprzedaż. Całkiem niezła chałupa. Stara, ale solidna.

To prawda, dom był stary, solidny i zupełnie niepodobny do eleganckiego, sterylnie czystego mieszkania, które miała na Manhattanie. Właśnie ta odmienność się jej spodobała. Stare dachówki, ściany obite deskami, kwadratowe okna, schody. Chciała wbiegać na górę do sypialni i zbiegać w dół do kuchni. Chciała móc otworzyć drzwi, wyjść na zewnątrz, czuć trawę pod stopami. Chciała mieć ogródek, a za ogródkiem drzewa. Stojąc

w prog, chciała patrzeć na niebo, a nie w ścianę potężnego wieżowca.

- To ładna posiadłość - przyznał Ryan. - Lolek będzie zachwycony.

- I on, i ja - oznajmiła Beth. Popatrzył na nią z zadumą.

Wiedziała, o czym myśli... Że jest niezamężna, bezdzietna, z nikim nie związana. Wszystko się zgadza. Ciekawa była, jak się teraz zachowa, kiedy odgadł prawdę. Czy znów zacznie z nią flirtować? Czy znów sprowadzi rozmowę na tematy płci i miłości od pierwszego wejrzenia?

- Nie chciałbym się wtrącać w twoje prywatne sprawy, ale ponieważ mieszkasz tu od niedawna, ktoś powinien ci powiedzieć o Marcie Strossen. To nasza miejscowa swatka. Nie przepuści nikomu.

Beth uśmiechnęła się znużona. Nie chciałby się wtrącać, a jednak się wtrąca; założył, że ona jest osobą samotną, i oczywiście się nie pomylił. Miał rację; teoretycznie na jej widok serce zapalanej swatki powinno zabić mocniej.

- Gdybyś kiedykolwiek szukała męskiego towarzystwa

- ciągnął - wystarczy szepnąć Marcie słowo. Minutę później będziesz wyswatana.

- Wygląda na to, że już mam towarzystwo mężczyzny.

- Przeniosła wzrok na Lolka, któremu najwyraźniej znużyły się buty Ryana, bo patrzył wyczekująco na Beth, merdając wesoło ogonkiem.

- I to nie byle jakiego. Lolek to stuprocentowy samiec

- oznajmił żartobliwie Ryan.

W jego głosie, oprócz lekkiej kpiny, pobrzmiwały pytania. Świdrując Beth wzrokiem, uśmiechał się ciepło, serdecznie. Nagle poczuła, jak ogarniają strach; miała ochotę założyć ręce na piersi, skryć się przed niebezpieczeństwem.

Sądziła, że się z tego wyleczyła. Że pokonała w sobie ten lęk, to przeświadczenie, że wszyscy się na nią gapią. Wiedziała, że z pozoru niczym nie różni się od innych kobiet, a jednak w głębi

duszy wciąż nie była o tym przekonana. Nadal jej się wydawało, że każdy, kto na nią patrzy, od razu domyśla się prawdy. Zwłaszcza każdy facet.

Czy Ryan Walker zorientował się? Czy wie?

Na myśl o tym przeszły ją ciarki. Pocieszała się, że może kiedyś w przyszłości będzie umiała normalnie rozmawiać z mężczyzną, nie zadręczając się i nie odczuwając zażenowania. Tylko że ten dzień był jeszcze bardzo odległy i świadomość tego przepełniała ją smutkiem.

- No dobrze, komu w drogę, temu czas - powiedziała, siląc się na lekki, beztroski ton. - Miło było cię poznać

- dodała po chwili, bynajmniej nie z grzeczności.

Bo dopóki nie wpadła w sidła własnych zahamowań, naprawdę było jej bardzo miło. Jeszcze mocniej to sobie uzmysłowiła, kiedy ponownie zobaczyła czarujący uśmiech na ustach Ryana.

- Mam nadzieję, że spodoba ci się w Devon.

- Ja też.

Owinęła smycz wokół nadgarstka, zawiesiła torebkę na ramieniu, po czym odwróciła się i ruszyła w kierunku, skąd przyszła. Lolek wykonał posłusznie kilka kroków, a potem z całej siły się zaparł. Wykręcając łebek, popatrzył na Ryana i zaskomlał żałośnie.

- Powinnaś mu kupić kolczatkę - powiedział mężczyzna, - Nauczyłby się chodzić przy nodze.

- Kolczatkę? - spytała z grymasem na ustach.

- Tak. Choćby po to, żeby nie wbiegał na jezdnię.

- Ruch jest tu właściwie żaden - mruknęła Beth. - Trzy samochody na krzyż...

- Co innego powiesz, jeśli wpadnie komuś pod koła. Radzę ci nabyć porządną smycz, kolczatkę i rozpocząć tresurę. Musisz nauczyć psa, żeby nie uciekał. Przecież nie zawsze będę w pobliżu, żeby go łapać.



To prawda. Zresztą wcale nie chciała polegać na Ryanie ani jakimkolwiek innym mężczyźnie.

- W porządku - rzekła. - Zastanowię się...

- I daj znać, gdybyś potrzebowała pomocy budowlańca. Stare domy często wymagają naprawy.

Jęknęła cicho. Dlaczego mimo tylu lat nauki w najlepszych szkołach, mimo poważania, jakim cieszyła się wśród kolegów w pracy, ma tak przytępiony rozum? Kupiła stary, niemal zabytkowy dom, nie myśląc o naprawach czy remontach, i wzięła ze schroniska szczeniaka, nie zdając sobie sprawy, jakie rozmiary może w przyszłości osiągnąć. Może powinna podarować Ryanowi zarówno dom, jak i psa, a sama czym prędzej wrócić do Nowego Jorku?

Nie, nie podda się. Nie pozwoli, żeby cokolwiek ją pokonało. Zmierzyła się z najgorszym i wyszła z próby zwycięsko. A skoro wtedy jej się udało, teraz ze wszystkim sobie poradzi.

Nie ulegnie strachowi. Będzie cieszyć się życiem i uczyć na własnych błędach. Co z tego, jeśli czasem noga jej się powinie? Ma pieniądze, ciekawą pracę, zdrowie. To jest najważniejsze. A reszta... w swoim czasie. Wszystkiego się przecież można nauczyć.

Można się nawet nauczyć tego, jak postępować z takimi facetami jak Ryan. Bądź co bądź, całkiem nieźle sobie z nim dziś radziła.

Pomachawszy mu dłonią na pożegnanie, odwróciła się i znów ruszyła przed siebie, tym razem szarpiąc mocno za smycz. Lolek nie miał wyboru; chcąc nie chcąc, musiał dotrzymać jej kroku. Tak, całkiem nieźle sobie radziła. Zupełnie nieźle.

Ryan zawsze uważał, że kobieta w długiej spódnicy wygląda znacznie bardziej interesująco.

Spódnica mini czy szorty dobre są na krótką metę. Jak każdy facet z krwi i kości, nie odwracał oczu, jeśli w polu jego widzenia pojawiała się dziewczyna o ładnych, zgrabnych nogach. Lecz w sumie wolał, jeśli miała na sobie spódnicę, która

zakrywała kolana; wtedy natychmiast zaczął myśleć o tym, co się pod nią znajduje. Taka spódnica niczego patrzącemu nie narzucała. Nie zmuszała go do oglądania czegokolwiek. Jeśli już, to mogła wyłącznie pobudzać wyobraźnię.

Jeszcze wiele minut po tym, gdy Beth zniknęła z psem za rogiem, wyobraźnia Ryana była pobudzona.

Tak, miasteczku zdecydowanie przydałoby się więcej kobiet; zwłaszcza samotnych, atrakcyjnych kobiet nie obarczonych mężem i dziećmi, za to odznaczających się bystrością umysłu. Ryan większość życia spędził w Devon i znał tu niemal wszystkich, co było miłe, ale w pewnym sensie dość nużące. Dlatego, żeby urozmaicić sobie życie towarzyskie, często odwiedzał sąsiednie miasta na południe od Devon, Manchester i Nashuę. Lubił tam jeździć i nawet dobrze się bawił podczas tych wypraw, ale w głębi serca był lokalnym patriotą. Kochał Devon. Był jego nieodłączną częścią. Tu było jego miejsce.

I nagle w Devon pojawiła się piękna nieznajoma, którą zmęczyło wielkomiejskie życie. Kobieta w spódnicy za kolana. Ciekawość Ryana natychmiast została pobudzona. Kobieta o krótkich, jasnych włosach, pastelowo niebieskich oczach i ustach, które to rozchyłały się w uśmiechu, odsłaniając białe zęby, to ściągały się w ledwo skrywanym grymasie niezadowolenia, a potem znów układały w nieśmiałym, lecz zaskakująco ponętym uśmiechu.

Otrząsnął się. Przecież nie ma czasu stać beczynnie przy głównej ulicy i rozmyślać o uśmiechu ślicznej nieznajomej. Beth nie przyjechała do De von w poszukiwaniu męskiego towarzystwa. Gdyby zależało jej na znalezieniu męża, nie przeprowadziłaby się do małej, położonej z dala od świata miejsciny w stanie New Hampshire.

Stojąc na stopniu kabiny, Ryan odsunął na bok torbę z piciem i kanapkami przeznaczonymi dla swojej ekipy, po czym wsiadł do furgonetki i przekręcił kluczyk w stacyjce. Ponownie zaczął rozmyślać o Beth: co ją skłoniło do zamieszkania właśnie tu, w

tak małej, leżącej na uboczu miścinie? Praca? Możliwości pracy w Devon nie było wiele. Ze stroju dziewczyny nie udało mu się nic odgadnąć. Ale gdyby przyjechała tylko na krótko, nie kupowałyby domu przy Loring Road.

Czyli zamierza pobyc tu dłuższy czas. Nabyła psa, kupiła dom. I to nie byle jaki. Wybrała stary dom w stylu kolonialnym, liczący ze sto lat, ale solidnie zbudowany; to, że gdzieś tam był tknięty zębem czasu, doświadczone oko Ryana potrafiło wychwycić lepiej od innych. Cała posiadłość była przepiękna - kto wie, czy ziemia, na której stał dom, nie jest warta więcej od niego. Co prawda zimą jazda samochodem po Loring przypomina o ciarki. Czy taki mieszczuch jak Beth umie prowadzić samochód po oblodzonych drogach? Czy ma wóz z napędem na cztery koła?

Czy to go powinno cokolwiek obchodzić? Nie.

Kupiwszy dom na wzgórzu, Beth jednak zamierzała w nim zamieszkać. W dodatku sama jedna. Chociaż nie -nie sama, tylko razem z niezdarnym, nieposłusznym szczeniakiem, któremu przydałaby się porządna tresura. Dziewczyna kompletnie nie znała się na psach. Nie da się ukryć, że tu, w Devon, czekają niejedno wyzwanie.

W dodatku jeszcze nie wie o największym wyzwaniu, z którym przyjdzie się jej zmierzyć, pomyślał, skręcając na północ w stronę czterohektarowej posiadłości przy Rainor, gdzie bogata wdowa z Bostonu chciała zbudować devońską odmianę Pałacu Zimowego. Tak, przypuszczalnie Beth uważa, że z nowym psem i stuletnim domem będzie miała pełne ręce roboty; biedaczka nawet nie podejrzewa, co się stało, kiedy Ryan Walker przydeptał smycz, powstrzymując ucieczkę jej psa.

Roześmiał się cicho. Stało się bowiem to, że wpadła mu w oko, a Ryan jest wybornym myśliwym, który nigdy nie pułduje.

## ROZDZIAŁ 2

Lynne nie było przy biurku, kiedy Beth weszła do pokrytego gontem, wiktoriańskiego budynku, który stał przy jednej z przecznic Main Street i w którym mieścił się zespół adwokacki „Miller, Miller & Pendleton”. Najlepiej poinformowana osoba w firmie, zatrudniona na stanowisku recepcjonistki, a zarazem sekretarki, jeszcze nie wróciła z przerwy obiadowej. O ile Beth zdążyła się zorientować, Lynne znała się na wszystkim. Trudno było sobie wyobrazić, żeby kancelaria mogła bez niej dobrze funkcjonować, czasem jednak Lynne posuwała się stanowczo za daleko, chępiąc się swoją wiedzą.

Beth wiedziała, że na widok psa sekretarka zacznie się z niej bezlitośnie naigrawać, i oczywiście będzie miała rację. Ale Beth nie potrzebowała, aby ktokolwiek jej uświadamiał, jak głupio postąpiła; sama doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

A z drugiej strony rozpierała ją radość. Po raz pierwszy od dawna zachowała się jak normalna, pozbawiona kompleksów kobieta, która spotyka na ulicy przystojnego faceta. Zachowała się tak, jak to robiła przed laty, zanim wszystko w jej życiu się zmieniło.

Radości jednak towarzyszyła lekka trwoga. Podobnie Beth czuła się wtedy, gdy po otrzymaniu prawa jazdy wybrała się na samodzielną przejażdżkę samochodem ojca. Była dumna z siebie, a zarazem przerażona. Ogromną przyjemność, jaką miała z prowadzenia, bez przerwy przesłaniał koszmarny strach.

Tak jak szesnaście lat temu nie skasowała buicka ojca, tak i z dzisiejszej przygody wyszła bez większego szwanku: ego nienaruszone, zderzaki psychiczne nie pogięte. Najlepszym tego dowodem jest szczeniak, którego prowadzi na smyczy.

- Chodź, Lolek - powiedziała, nie pozwalając szczeniakowi obwąchiwać każdego skrawka pseudo perskiego dywanu leżącego na podłodze w pokoju, który kiedyś był salonem, a obecnie służył za recepcję oraz sekretariat firmy prawniczej.

Pies wykazywał szczególne zainteresowanie jednym rogim wyblakłego dywanu; wracał do niego raz po raz, nie zważając na to, że Beth szarpie za smycz i woła jego imię.

Przypomniała sobie radę Ryana: kolczatka. Kiedy Lolek zignorował ją, gdy po raz trzeci szarpnęła za elegancką, skórzaną smycz, pomyślała sobie, że kolczatka na pewno by się jej przydała. Tak, z największą rozkoszą zmusiłaby niegrzeczne stworzenie do posłuchu.

Jeszcze raz pociągnęła za smycz. Psina popatrzyła z wyrzutem, po czym z wyraźną niechęcią zostawiła dywan i podreptała za swoją panią. W korytarzu znajdowały się schody, potem dawna jadalnia, obecnie przerobiona na salę konferencyjną, następnie gabinety Cindy i Jeffa, a na końcu gabinet Beth. Niechęć, z jaką Lolek opuszczał dywan, ulotniła się po paru sekundach, w korytarzu bowiem pojawił się nowy, frapujący zapach. Pies wyczuł go i rzucił się pędem do przodu. Zaskoczona Beth z trudem dotrzymywała mu kroku. No proszę, pomyślała, powinno być tak, że to on reaguje na moje szarpnięcia, a nie na odwrot.

Popiskując radośnie, szczeniak wpadł przez otwarte drzwi do gabinetu Cindy Miller. Nie mając żadnego wyboru, Beth wpadła za nim. Cindy uśmiechnęła się; siedziała na małej kanapie pod oknem, karmiąc piersią Erykę. Żakiet od kostiumu powiesiła na oparciu krzesła, bluzkę miała rozpiętą, spódnice przykrytą kocykiem, żeby się nie zabrudziła. Mimo bałaganu, na który składały się stopy rzeczy niezbędnych przy niemowlęciu, sprawiała wrażenie osoby błogiej i szczęśliwej.

Lolek ucichł, jakby podświadomie wyczuł, że niemowlę na wpeł śpi. Oczy Eryki były zamknięte, pulchne nóżki w cienkich różowych śpioszkach nieruchome. Tylko usta się ruszały, rytmicznie ssąc matczyną pierś, oraz maleńka, idealnie ukształtowana rączka, która leciutko zaciskała się na piersi Cindy.

Beth patrzyła jak zahipnotyzowana. Trzeba być bezdusznym gburem, żeby nie wzruszyć się pięknym obrazem matki karmiącej dziecko. Widok był urzekający. Nawet Lolka ogarnął spokój. Położył się, wbił ślepią w sennego malucha i zaczął merdać ogonem.

Beth przeniosła wzrok z dziecka na Cindy, która miała potargane włosy i podkrążone od niewyspania oczy. Ale biła od niej błogość; miało się wrażenie, że tak jak jej piersi są przepełnione mlekiem, tak ona sama jest przepełniona miłością. Beth czuła się uprzywilejowana i zaszczycona, że może być świadkiem tak intymnej sceny pomiędzy matką a córką - swoją najlepszą przyjaciółką i swoją małą chrześniaczką.

Cindy i Beth poznały się pierwszego dnia na studiach prawniczych; od tej pory były sobie bliskie jak rodzone siostry. Wspólnie wynajmowały mieszkanie, chodziły razem na randki. Beth przedstawiła przyjaciółce Jeffa Millera, sympatycznego okularnika z trzeciego roku prawa, który często siadywał naprzeciw niej w bibliotece, a potem, kiedy Cindy z Jeffem się zakochali, była druhną na ich ślubie.

Gdy Beth zachorowała, Cindy dzwoniła do niej prawie codziennie, a kiedy Beth zoperowano, przyleciała do Nowego Jorku, żeby podtrzymać ją na duchu. Usilnie namawiała przyjaciółkę, żeby porzuciła pracę na Manhattanie i przyłączyła się do małego zespołu adwokackiego, który ona, Cindy, prowadziła z Jeffem w Devon. W okolicy wznoszono wiele nowych domów, a oni sami słabo orientowali się w gąszczu przepisów regulujących sprawy dotyczące kontraktów budowlanych oraz kupna i sprzedaży nieruchomości. Zawsze marzyli o kimś, kto by posiadał taką wiedzę jak Beth. Teraz zaś, po przyjściu Eryki na świat, po prostu muszą przyjąć do kancelarii wspólnika, bo inaczej nie podolają.

Beth długo się nie zastanawiała. Wprawdzie w nowojorskiej firmie zarabiała o wiele lepiej, ale na Manhattanie wszystko drożej kosztowało. Tempo pracy było zabójcze, sama praca

niezwykle wyczerpująca, a żądania szefów wygórowane. Kiedy śmierć zajrzała jej w oczy, Beth przewartościowała swoje życie, ustaliła na nowo priorytety.

Okazało się, że zostanie wspólnikiem w nowojorskiej firmie prawniczej i harowanie całymi dniami przestało być dla niej ważne; znacznie bardziej wołała chodzić boso po trawie i patrzeć na zmieniające się kształty chmur.

Przeprowadziła się więc do Devon właśnie po to, żeby chodzić boso po trawie, obserwować chmury i uczestniczyć w pierwszych cudownych miesiącach życia małej Eryki. Przeniosła się do spokojnego miasteczka, w którym mogła odpocząć, zwolnić tempo, nabrać sił.

Kiedy tak stała w drzwiach, przyglądając się, jak Cindy karmi córeczkę, nagle ogarnął ją smutek. Nie sądziła, aby kiedykolwiek dane jej było zostać matką; co prawda lekarze twierdzili, że jest to możliwe, ale na sobie tego po prostu nie wyobrażała. Zresztą nawet gdyby zdarzył się cud i urodziłaby dziecko, nie mogłaby go trzymać przy piersi, tak jak Cindy, i patrzeć, jak maleństwo ssie.

Nie mogłaby. Po prostu nie mogłaby i już. Była to jedna z tych nieprzyjemnych rzeczy, z jakimi ostatnio musiała się pogodzić.

Cindy uśmiechnęła się na widok szczeniaka, który tak nieoczekiwanie ucichł, po czym spojrzała na Beth.

- Jest rozkoszny! - zawołała.

- Jest okropny - powiedziała Beth, choć w skrytości ducha trudno jej było nie przyznać Cindy racji. - Zwalił mnie z nóg. Dosłownie. Najpierw owinał mi smycz wokół kostek, a potem takim pędem rzucił się do ucieczki, że rymnęłam na tyłek. W dodatku na oczach całego miasta.

Cindy roześmiała się dobrodusznie, starając się nie obudzić córeczki.

- Może jest okropny, ale jest również przeuroczy. Skierowała wzrok na Lolka, który wciąż leżał na środku pokoju, sapiąc

cicho i nie odrywając oczu od maleństwa. Patrząc na jego duże, wilgotne ślepią i wzruszający psi uśmiech, Beth wiedziała, że szczeniak zakochał się w dziecku, tak jak wcześniej zakochał się w niej, Beth, a później w Ryanie. Widać zwierzę było niezwykle kochliwe i nie znało pojęcia wierności. Lecz mimo swej zdradzieckiej natury, psina istotnie była czarująca.

- Straszny z niego rozrabiaka, ale nic na to nie poradzę. Zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia - wyznała Beth, schylając się, żeby podrapać Lolka za uszami.

Pies popatrzył na nią z miłością, natychmiast zapominając o tym, że przed chwilą obiektem jego uczuć była mała Eryka.

- Jestem z ciebie dumna - rzekła Cindy. - Wzięcie psa to duży krok. Jeszcze tydzień, a stracisz swój nowojorski akcent i jak rodowita devonka zawieszisz na drzwiach wieniec z wierzby.

Tuląc Erykę do siebie, Cindy podniosła się powoli z kanapy i podeszła do wózka spacerowego, który stał przy biurku. Wyregulowała oparcie, tak żeby znalazło się w najbardziej pochyłej pozycji, po czym delikatnie, starając się nie zbudzić dziecka, ułożyła je w wózku.

- Opiekunka Eryki miała wrócić pięć minut temu. Ja o drugiej muszę być w sądzie, a Jeff wyjechał do Manchesteru, żeby zdobyć potrzebne nam oświadczenie. Jak dobrze pójdzie, wróci dopiero na kolację.

- Mogę popilnować Eryki - zaoferowała Beth.

- Jasne - rzuciła Cindy, zapinając bluzkę. - Będiesz zajmować się dzieckiem, szczeniakiem i jeszcze w dodatku pracować, tak?

- A co to dla mnie? - spytała ze śmiechem Beth, przyjmując postawę kulturysty. - Nie zauważyłaś? Jestem supermenem!

- Lepiej opowiedz mi o swoim nowym przyjacielu - poprosiła Cindy, wskazując na psa, który miał tak rozanielony wzrok, jakby matkę Eryki również postanowił obdzielić swą miłością.

- Jak ma na imię?

- Lolek.



- Lolek? - Sięgając po żakiet, Cindy zamarła z ręką wyciągniętą w stronę krzesła. - Ty byś nigdy nie nazwała psa Lolkciem.

Ależ ona mnie świetnie zna, pomyślała ze śmiechem Beth i owijając smycz wokół nadgarstka, usiadła w fotelu naprzeciw biurka.

- No dobrze. A jak bym go nazwała?

- Bardziej dostojnie. Już prędzej Karol. Lub od biedy Marks.

- Nie ja wymyśliłam to imię.

- Akto?

- Facet, który mi pomógł. Kiedy pies mnie przewrócił i zaczął zwiewać, jakiś gość wyskoczył z furgonetki i go złapał. Potem kazał nazwać psa Lolkciem.

- A ty go posłuchałaś? Ty, która zawsze wszystko musisz postawić na swoim? Jestem zaskoczona! - Cindy rzeczywiście sprawiała wrażenie zaintrygowanej. Wkładając żakiet, spytała: - Kim jest ten człowiek, który zmusił cię do posłuszeństwa?

Beth westchnęła. Wiedziała, że jeśli zacznie kręcić, Cindy natychmiast nabierze podejrzeń i pytaniom nie będzie końca.

- Jakiś robotnik budowlany - odparła.

- Ryan Walker.- Ryan! - krzyknęła Cindy. Zaniepokojona, zerknęła pośpiesznie do wózka, na szczęście Eryka wciąż grzecznie spała.

- Poznałaś Ryana Walkera?

Nagle Beth poczuła się tak, jakby gorące promienie słońca padły jej na kark. Przypomniła sobie ciepłe spojrzenie oczu Ryana, jego wspaniale zbudowane ciało, włosy lśniące w promieniach słońca. A także sposób, w jaki mówił

O miłości od pierwszego wejrzenia.

- Z twojej reakcji domyślam się, że go znasz? - spytała, prostując się nieco w fotelu.

- Ale nie tak dobrze jak Jeff. On i Ryan razem tu dorastali. Ryan to świetny gość.

- Czyżby? - Beth była zła, że facet z furgonetki wzbudza w niej takie zainteresowanie.

- Prawdę mówiąc, niezły z niego drań. Ale jakże uroczy! - Cindy wsunęła do teczek kilka skoroszytów. - Najprzystojniejsza partia w mieście. Wszystkie baby mają na niego chętkę. I panny, i co poniektóre mężatki.

- Mówisz o sobie?

Cindy parsknęła śmiechem i pokręciła przecząco głową.

- Ja nie, ale ty się jakoś podejrzanie rumienisz...

- Wcale się nie rumienię. Po prostu duszno tu.

- Rumienisz się, rumienisz. - Cindy zamknęła teczkę

i spojrzała na Beth z zaciekawieniem. - Chciał cię poderwać?

- Nie. Dał mi do zrozumienia, że jestem totalną ignorantką, jeśli chodzi o psy.

- Bo jesteś.

- Punkt dla niego za spostrzegawczość. Dzięki niej domyślił się, że nie ma sensu mnie podrywać.

Nie chciała okłamywać Cindy, ale niewinny flirt na ulicy naprawdę nic nie znaczył. Cindy skrzywiła się i pogroziła Beth palcem.

- Przestań!

- Co?

- Myśleć tak, jak myślisz. Że nie jesteś warta tego, żeby facet spojrzał na ciebie z zainteresowaniem.

Beth zjeżyła się. Wszyscy odnosili się do niej taktownie, tylko Cindy pozwalała sobie na szczerość, niekiedy dość brutalną.

- Cindy, proszę cię. Ryan na pewno zauważył, że jestem kobietą. Nie mam co do tego wątpliwości. Ale nie jestem typem kobiety, za którą chciałby się uganiać.

- Dlaczego? Jesteś ładna, inteligentna... Dlaczego miałby nie chcieć się za tobą uganiać?

- Dobrze wiesz.

- Bo masz paskudny charakter?

Chociaż powiedziane to było żartem, w głosie Cindy wyczuwało się nutę krytyki. Jedna Cindy pozwalała sobie na ostre docinki wobec przyjaciółki. Czasem Beth przyjmowała je z pokorą, czasem je ignorowała, czasem odszczekiwała się. Tym razem słowa Cindy podziały na nią jak płachta na byka - może dlatego, że spotkanie z Ryanem uświadomiło jej istotę problemu. Usiłując zdusić w sobie złość, żeby nie obudzić dziecka ani nie przestraszyć psa, rzekła:

- Nie, do swojego charakteru nie mam zastrzeżeń. Mam je do swojego ciała. Nie powinno cię to dziwić.

- Właśnie dlatego, Beth, że masz taki charakter, a nie inny, robisz ze swojego ciała większy problem niż trzeba.

- Ach tak? Większy, powiadasz? Czy w tym wypadku mogą istnieć jakiegokolwiek obiektywne kryteria? Jeśli nie pamiętasz, to ci przypomnę: jestem wybrakowana.

- Brakuje ci tylko jednej rzeczy, która wcale nie jest aż tak ważna.

Zacisnąwszy ręce na oparciu fotela, Beth głęboko odetchnęła. Tylko Cindy potrafiła uderzyć ją w najczulszy punkt, dostrzec jej słabości, kompleksy, obawy. I jedynie od Cindy Beth akceptowała takie bolesne ciosy.

Oczywiście Cindy ma rację, przynajmniej teoretycznie. Beth nie ustępowała kobiecością żadnej dziewczynie. To, że w miejscu lewej piersi ma dziesięciocentymetrową szramę, nie znaczy, że jest osobą w jakiś sposób gorszą czy mniej atrakcyjną.

Ale większość mężczyzn nie zgodziłaby się z tą opinią. Mężczyźni głównie zwracają uwagę na wygląd kobiety i nawet jeśli wygląd nie jest najważniejszy, to jednak odgrywa dość istotną rolę. Wygląd przyciąga wzrok. Później, rzecz jasna, mężczyźni twierdzą, że charakter i osobowość mają większe znaczenie od ładnej buzi czy zgrabnej figury, ale to dopiero później. Na początku liczy się pierwsze wrażenie.

Dopóki Beth była ubrana, wyglądała normalnie. Rozebrana wyglądała jak dziwadło. Pomiędzy pierwszym spotkaniem a tym późniejszym okresem, kiedy mężczyzna zaczyna dostrzegać również osobowość kobiety, zwykle następuje moment, gdy kobieta zdejmuje ubranie. Ktoś taki jak Ryan Walker na pewno będzie oczekiwał, że idąc z nim do łóżka, kobieta się rozbierze. Beth na pewno nie zdoła oprzeć się pokusie. A wówczas...

Miała wrażenie, jakby chmura przysłoniła słońce, pozbawiając ją ciepła. Poczowała się nagle bezbronna, przerażona, niekompletna. Ale nic dziwnego, przecież jest niekompletna. Tej smutnej prawdy nic nie może zmienić.

Cindy tego nie rozumie. Nigdy nie stała przed lustrem, patrząc na swoje okaleczone odbicie i zalewając się łzami. Skąd ktoś taki jak ona, mający ładne, napełnione od mleka piersi, może wiedzieć, przez co Beth musiała przejść po operacji i z czym do dzisiaj nie potrafi się uporać?

- Nie mów mi, co jest dla mnie ważne, a co nie - mruknęła Beth, ledwo tłumiąc wściekłość.

Cindy uśmiechnęła się przeproszająco i pochyliła nad biurkiem, jakby chciała dosięgnąć przyjaciółki, pogładzić ją po rękę, ale po chwili się rozmyśliła.

- Masz rację - rzekła. - Nie wiem, co czujesz, ale wiem, jak wyglądasz. Wyglądasz wspaniale, więc nie powinnaś być taka spięta.

- Nie jestem - skłamała Beth.

- Wierzyć mi się nie chce, że Ryan nie próbował cię uwieść. A jeśli ślepek nie zauważył, z jaką cudowną dziewczyną ma do czynienia, to powinien czym prędzej udać się do okulisty. - Figlarny uśmiech rozjaśnił twarz Cindy.

- Oczywiście całkiem możliwe, że to ty nie zauważyłaś, jaki Ryan jest przystojny.

- Nie, nie zauważyłam - burknęła Beth.

Znów poczuła, jak robi się jej gorąco. Na samą myśl o Rynie była bliska omdlenia. Założyła nogę na nogę i owinęła smycz

wokół palca, starannie unikając pytającego spojrzenia Cindy. Przyjaciółka nie dała się nabrać.

- To niesamowite - powiedziała ironicznym tonem. - Ryan nie próbował cię poderwać, a ty z kolei nie zauważyłaś, że on mógłby pozować do reklamy bielizny Calvin Kleina, bo jest tak fantastycznie zbudowany...

- Rozmawialiśmy o psie - przerwała jej Beth.

- Aha. I w ogóle na siebie nie patrzyliście.

- Zgadłaś!

Cindy wybuchnęła śmiechem.

- Nie chcę cię martwić, Beth, ale ty i Ryan będziecie mieli wiele okazji do tego, żeby się spotykać i na siebie nie patrzeć. Jeff prowadzi sprawy Ryana.

- Szczęściarz z Jeffa.

- Tak, a teraz to szczęście przypadnie tobie w udziale. Jeff ma zamiar przekazać ci wszystko, co dotyczy Ryana.

Beth jęknęła niezadowolona.

- Dlaczego?

- Jesteś naszym ekspertem od nieruchomości - odparła Cindy.

- Ale Ryan jest budowlańcem.

- Jest właścicielem firmy budowlanej „Walker Construction” - wyjaśniła Cindy - a „Walker Construction” to jeden z naszych głównych klientów. Firmę założyli trzydzieści kilka lat temu ojciec i wuj Ryana, a teraz Ryan prowadzi ją ze swoim kuzynem Lanym. Ryan i Larry to najlepsi fachowcy na północ od Manchesteru. Nieopodal szosy 101 zbudowali dziesięć pięknych domów, w których mieszkańcy mogą spędzać zimowe urlopy. Cena wywoławcza każdego wynosi pół miliona dolarów. Dotychczas Jeff reprezentował interesy Ryana, ale ty masz do tego znacznie lepsze kwalifikacje.

Beth ogarnęła dziwna mieszanina niepewności i przerażenia.

- Nie mogę go reprezentować - sprzeciwiła się.

- Dlaczego?

- Bo nie mogę.

Nie mogła dlatego, że z nim flirtowała. Dlatego, że istotnie próbował się do niej zalecać, a jej to sprawiało przyjemność. Dlatego, że Ryan może uznać, iż skoro nie umiała poradzić sobie z młodym psiakiem, to tym bardziej nie poradzi sobie z prowadzeniem jego interesów. Dlatego, że za każdym razem, kiedy o nim myślała, robiło się jej gorąco i nie miała czym oddychać.

- Wybacz, moja droga, ale jesteśmy współnikami, ty, ja i Jeff. Utrata klienta oznacza utratę zarobków. Devon to małe miasto. Reprezentujemy każdego, kto nas o to prosi, i jesteśmy wdzięczni, że właśnie nas wybrał.

- Dobrze. W porządku - powiedziała Beth, starając się zachować spokój. Przecież w Nowym Jorku nieraz miała za klientów samotnych mężczyzn. Czasem w powietrzu wyczuwało się napięcie erotyczne, nie zwracała jednak na nie uwagi i teraz uczyni dokładnie to samo.

- Właśnie po to był nam potrzebny ekspert od nieruchomości, Beth. Żeby dbać o interesy takich ludzi jak Ryan. Wiem, że potrafisz czynić cuda. - Cindy zadumała się, po czym, uśmiechając się przebiegle, dodała: - Zresztą kto wie? Może Ryan też potrafi czynić cuda? Może dobrze ci zrobi...

- Lepiej niech nic mi nie robi. Jest zbyt... Zawahała się. Zbyt co? Zbyt przystojny? Zbyt pociągający? Cindy zachichotała pod nosem.

- No dobrze, słonko, przyznaj się. Ryan podrywał cię, a ty byłaś wniebowzięta, prawda?

- Może nie wniebowzięta, ale na pewno zachwycona - przyznała ze smętną miną Beth. - Ale to się już więcej nie powtórzy. Zwłaszcza że mam go reprezentować.

- Nie bój się, Ryan to zatwardziały kawaler. Chociaż może akurat tobie udałoby się zdobyć jego serce? - zażartowała Cindy. - W końcu każdego faceta można wybawić od starokawalerstwa.

- Nie mam najmniejszej ochoty wybawiać Ryana od czegokolwiek. Jeśli całe życie chce pozostać kawalerem, proszę bardzo.

- Wiesz co... - Cindy urwała; przez moment stała zadumana, pukając się lekko palcem w skroń, jakby tym sposobem chciała ponaglić pewną myśl, która kielkowała jej w głowie. - Uważam, że powinnaś skorzystać z okazji. - Wsunęła okryte pończochami stopy w buty, z torebki wyciągnęła szminek. - Od dwóch lat z nikim się nie spotykasz, prawda? Odkąd wykryto u ciebie nowotwór i ten łajdak, Peter, znikł z twojego życia.

- Nie umiał się pogodzić z moją chorobą. Nie winię go, że odszedł.

- A powinnaś! Gdyby był prawdziwym facetem, starałby się, żebyś miała w nim oparcie. Ale on był tchórzem i czym prędzej wziął nogi za pas.

- Większość mężczyzn postąpiłaby identycznie - zauważyła Beth kwaśno.

- Może tak, może nie. Nie wiem. - Cindy znów zaczęła bębnić palcem w skroń. - Rzecz w tym, że od dawna z nikim nie spałaś, ale boisz się trwalszego związku. Innymi słowy, brakuje ci chłopca, ale wolisz trzymać się od mężczyzn z daleka.

- Wcale nie...

Cindy nie zamierzała słuchać jej protestów.

- Jeśli zaś chodzi o Ryana - ciągnęła - stanowi on wręcz klasyczny przykład faceta, który nie chce się wiązać z żadną kobietą. Czyli idealnie się nadaje do twoich celów. Mogłabyś na nim poeksperymentować. Przypomnieć sobie, jak to się robi. No wiesz, poćwiczyć.

- Na miłość boską, Cindy! - Beth mimo woli parsknęła śmiechem. - Mam traktować Ryana jak worek treningowy? Jak przyrząd do ćwiczeń?

- Nie jak przyrząd do ćwiczeń, ale jak przyrząd do miłości. Od czegoś musisz zacząć, Beth.

- Nic nie zamierzam zaczynać. - Beth spoważniała. - A już na pewno nie z Ryanem. Dobrze wiesz, że tylko wyjątkowy człowiek mógłby mnie pokochać. A ja musiałabym go dobrze znać, musiałabym mu ufać...

- Moim zdaniem powinnaś skoczyć na głęboką wodę i nie myśleć o tym, że zamoczysz głowę. Kiedy ostatni raz byłaś z facetem w łóżku?

Beth zarumieniała się. Chociaż zawsze o wszystkim szczerze z Cindy rozmawiała, niektóre tematy sprawiały, że na jej policzkach zakwitały rumieńce; było to prawdziwe przekleństwo kobiet o tak jasnej jak jej cerze.

- Dość dawno - przyznała. - Miałam ważniejsze sprawy na głowie.

- Tak, ale już się z nimi uporałaś. Teraz jesteś zdrowa i czas najwyższy, żebyś rzuciła się w wir życia. Najlepiej z pomocą Ryana.

- Co ty wygadujesz, Cindy? Jakies wiry, jakieś skoki na głęboką wodę... Chcesz, żebym się utopiła?

- Dobrze. Nie rzucaj się, nie skacz, po prostu zamocz nogę. Z takim facetem jak Ryan chyba warto się popluskać.

W pokoju było stanowczo za gorąco. Beth niemal czuła, jak unosi się z niej para.

- A jeżeli nic z tego nie wyjdzie, to trudno - ciągnęła Cindy. - Zresztą, jak już mówiłam, Ryan jest zatwardziałym kawalerem.

- Spojrzała na zegarek i ruszyła do drzwi. - Boże, jeśli natychmiast nie wyjdę, spóźnię się i zostanę ukarana za obrazę sądu. Beth, kochanie, czy mogłabyś jednak popilnować Eryki, dopóki nie wróci opiekunka?

- Oczywiście.

- Lynne też powinna wrócić lada moment. Przepraszam cię, słonko.

- Nie szkodzi, zmiataj.

- Wiesz, naprawdę mi się wydaje, że Ryan to odpowiedni facet dla ciebie. Pomógłby ci na nowo odkryć uroki życia.



- Jazda stąd! - krzyknęła Beth, po czym zerknęła wystraszona na niemowlę.

Eryka wydała z siebie ciche westchnienie, ale nie obudziła się. Cindy zaś pomachała ręką i zniknęła za drzwiami.

Zostawszy sama w pokoju, Beth zamknęła oczy i, zmęczona, wypuściła powietrze z płuc. Była zła na Cindy - nie dlatego, że przyjaciółka poleciała do sądu, zostawiając jej dziecko na głowie, ale dlatego, że z takim uporem namawiała ją na wzięcie kochanka, którym miałyby być Ryan. Co jeszcze Cindy radziła? Aha, żeby się z nim popluskać. Żeby skoczyć na głęboką wodę. Zwariowała!

Beth miała świadomość, że gdyby zbliżyła się do Ryana, odkryłby o niej prawdę. Wierzyła natomiast w to, co powiedziała przyjaciółce, że jedynie wyjątkowy mężczyzna potrafiłby ją zaakceptować taką, jaką jest, a Ryan nie wydawał jej się do tego zdolny.

Lęk przed odrzuceniem sprawiał, że wznosiła wokół siebie niewidzialny mur obronny. Wciąż była krucha psychicznie, wciąż jeszcze leczyła rany. Nie zniósłaby tego, po prostu by się załamała, gdyby taki mężczyzna jak Ryan odwrócił się od niej z odrazą.

Cichy skowyt wyrwał Beth z zadumy. Otworzyła oczy i uśmiechnęła się do szczeniaka. Może psina jest głupiutka i niewierna, ale w tym momencie wpatrywała się w Beth takim wzrokiem, jakby świata poza nią nie dostrzegała. Beth wiedziała, że dla Lolka nigdy nie będzie osobą niekompletną. Nie będą mu przeszkadzały jej defekty czy braki.

Owszem, psiak jest strasznym łobuzem, ale za to darzy ją miłością wprost nieograniczoną.

Teraz merdał wesoło ogonem, spoglądając na Beth z uwielbieniem. Nie, nawet nie ma co liczyć, że jakikolwiek mężczyzna ofiaruje jej miłość równie wielką i bezwarunkową. Zwłaszcza taki mężczyzna jak Ryan. Dlatego właśnie wzięła sobie do towarzystwa psa.

- Ryan! Jesteś nareszcie! - zaszczębiotała Mitzi Rumson, idąc w jego stronę. Uśmiech miała szeroki, kształty bujne, obcasy zaś tak wysokie, że przy każdym kroku kołysała zmysłowo biodrami.

Buty, które tego dnia włożyła na nogi, wyjątkowo nie nadawały się do chodzenia po placu budowy; były wręcz niebezpieczne. Dookoła znajdowało się mnóstwo sprzętu, kamieni, różnego rodzaju śmieci, a ponadto ziemię znaczyły liczne koleiny. Nawet gdyby firma ubezpieczeniowa tego nie zażądała, Ryan sam by nalegał, żeby wszyscy członkowie ekipy budowlanej nosili solidne buty ze stalowymi osłonami na noskach.

Ale Mitzi Rumson nie pracowała u Ryana, toteż nie mógł jej nakazywać, jak ma się ubierać. Musiał jednak przyznać, że w butach na cienkich, wysokich obcasach jej nogi wyglądały świetnie. Lecz nogi Mitzi Rumson w każdych butach wyglądałyby świetnie; mogła być z nich dumna.

Z reszty ciała również - i chyba o tym wiedziała. Miała na sobie krótką, obcisłą spódnicę ze skóry, zieloną bluzkę z jedwabiu, której trzy górne guziki zostawiła rozpięte, dwie wysadzone kryształem górskim spinki, które przytrzymywały jej gęste, kasztanowate włosy oraz złotą bransoletkę, która pobrzękiwała, ilekroć Mitzi poruszyła lewą ręką.

Ryan stał przy furgonetce, czekając na natarcie. Mitzi brakowało skromności, lecz nie odwagi. Niewiele znał dwudziestosiedmioletnich dziewczyn o bujnych kształtach, minimalnie odzianych, a maksymalnie obwieszonych biżuterią, które z taką swobodą paradowałyby po brudnych, zakurzonych placach budowy. Ozdoby połyskujące na różnych częściach jej ciała musiały być warte tysiące dolarów: w uszach kolczyki, na rękę zegarek marki Rolex, na szyi liczne złote wisioriki, gruby złoty łańcuch na biodrach, zaś na kostce cienka bransoletka, która mieniła się złociście, gdy padały na nią promienie słońca.

Tutaj rzadko to się zdarzało. Wokół rosło sporo drzew, głównie sosen i świerków; ich igły tworzyły gęstą siatkę, przez którą z trudem przedzierało się słońce. Jeśli chodzi o drzewa, kilka z nich - oczywiście takich, które bardzo przeszkadzały w budowie - Mitzi pozwoliła ściąć, kilka innych kazała przesadzić, reszta miała zostać nietknięta.

Pracujący na placu mężczyźni musieli widzieć, jak Mitzi drepcze w stronę Ryana, bo wyłączyli sprzęt i sami też ruszyli do furgonetki. Ryan sięgnął po stojące na siedzeniu torby z zakupami, wyjął dwie kanapki i dwie puszki coli, jedną dla siebie i jedną dla Mitzi, a resztę jedzenia oddał ekipie.

- Ojej, kanapka dla mnie? - spytała zalotnie Mitzi. - Nie spodziewałam się.

- Jesteś tu tyle samo czasu co my - powiedział Ryan i opuściwszy klapę z tyłu furgonetki, wyłożył skrzynię czystym brezentem. - Pomyślałem, że zgłodniałaś. Chcesz usiąść?

Skinęła z uśmiechem głową. W tak krótkiej, ciasnej spódnicy nie miała dużej swobody ruchów, ale z pomocą Ryana zdołała się wygodnie usadowić.

Patrząc na jej miękkie, krągłe biodra, Ryan pomyślał sobie, że jeszcze pół godziny temu potrafiłby to wszystko lepiej docenić. Mitzi należała do kobiet, które chwalą się tym, co mają, miała zaś zmysłowe ciało, piękne włosy i mnóstwo pieniędzy. Pieniądze dostała dzięki hojności męża, który cały majątek zostawił jej w testamencie. Winston Q. Rumson zmarł w zeszłym roku, przypuszczalnie z uśmiechem na twarzy; żył osiemdziesiąt cztery lata, z czego ostatnich siedem w związku małżeńskim z Mitzi.

Zazwyczaj Ryan nic nie wiedział o prywatnym życiu swych klientów, ale kiedy Mitzi wynajęła firmę „Walker Construction”, aby zbudowała jej wymarzony, wart co najmniej milion dolarów dom na wspaniałym kawałku ziemi, mniej więcej w połowie drogi pomiędzy mieszkaniem, które miała w Bostonie, a domem letniskowym, który miała nad jeziorem

Winnepesaukee, opowiedziała Ryanowi o sobie wszystko: o tym, jak bardzo kochała Winnie'ego, jak okropnie za nim teraz tęskni, jak szczęśliwą uczyniła jego jesień życia i jaką on ją, Mitzi, uczynił bogatą kobietą.

W ciągu tych paru miesięcy, odkąd po raz pierwszy wkroczyła do jego biura, Ryan często odnosił wrażenie, że Mitzi znacznie sprawniej potrafi sobie radzić z każdą napotkaną na drodze przeszkodą niż jaskrawożółty buldożer, który stał w północno-wschodniej części posiadłości, przy kępie skazanych na wycięcie drzew. Miała bowiem niespożytą energię, uśmiech, który zwykłych śmiertelników powalał z nóg, biust, o jakim marzą wydawcy pism pornograficznych - i świadomie używała swoich atrybutów, by osiągnąć upragniony cel.

Na ogół osiągała cel, i to bez większych problemów. Ryan jednak nie dał się nabrać na jej sztuczki, chociaż bawiło go to, że biust Mitzi pojawiał się wszędzie ze dwie sekundy przed resztą jej ciała; bawiły go również niezwykle możliwości wokalne dziewczyny - modulując głos, umiała naśladować najróżniejsze kocie dźwięki, począwszy od cichego mruczenia, a kończąc na gniewnym prychaniu. Co jak co, ale przy Mitzi żaden mężczyzna nie mógł się nudzić; zawsze czymś zaskakiwała.

Wzięła kanapkę, po czym rozłożyła na kolanach serwetkę i uśmiechając się kokieteryjnie, rzekła:

- Wolałabym zjeść z tobą romantyczną kolację przy świecach. Może innym razem...

- Może - odparł krótko Ryan, uśmiechem pokrywając znużenie.

Wiecznie zdziwione oczy Mitzi i jej ponętnie wyeksponowane kształty jakoś na niego nie działały. Nie potrafił jej poświęcić uwagi, której tak bardzo była złakniona. Myślni wciąż wracał do szczupłej blondynki prowadzącej na smyczy nieposłusznego szczeniaka. Jedząc kanapkę,

roztargniony kiwał głową, podczas gdy Mitzi opowiadała mu o swoich pomysłach zagospodarowania terenu.

- Z tej strony posadzę różanecznik, a z drugiej runiankę japońską...

Raz po raz przywoływał w pamięci obraz Beth Pendleton, jej ładne, regularne rysy, niebieskie oczy, spojrzenie, które w jednej chwili było przyjazne i przenikliwe, w drugiej chłodne i nieufne.

- Ciekawe - trajkotała Mitzi - czy przyjęłaby się wistaria? Uwielbiam wistarię, ale może tu za zimno?

Rozmyślał o Beth, o jej delikatnych kostkach, gładkiej, mlecznej cerze, krótko przyciętych jasnych włosach okalających wąską twarz.

- Kochałam nasz dom w Boca Raton na Florydzie. Stał wśród tropikalnych roślin, wszędzie wyrastały palmy, hibiskusy...

Z rozbawieniem przypomniał sobie ignorancję Beth w sprawach psów.

Mitzi mówiła z coraz większym zapalem. Chciała, żeby duże, stylowe okna biblioteki wychodziły na ogród pełen ozdobnie przyszyżonych cisów i azalii...

A Ryan myślał o kłopotach, które czekają Beth, jeżeli ktoś jej nie wyjaśni, jak tresować psa. O tym, jak bardzo sam pragnąłby ją wybawić z tych kłopotów. Również o tym, o ileż bardziej intrygująca bywa kobieta, jeśli - w przeciwieństwie do Mitzi - nie wystawia wszystkiego na pokaz.

- I co sądzisz? Bo architekt twierdzi, że zbudowanie oranżerii od strony kuchni nie powinno być problemem.

- Co?

- Nie słuchasz, co mówię? - Mitzi westchnęła.

- Powiedziałam, że chcę mieć przy kuchni oranżerię. Architekt twierdzi, że to żaden problem.

- Przecież kuchnia znajduje się przy północnej ścianie domu, a oranżeria musi być od strony południowej.

- A dlaczego nie może być od północnej? - spytała Mitzi, wydymając wargi.

Ryan zignorował jej niezadowoloną minę.

- Za mało światła - wyjaśnił. - Oranżeria od strony kuchni zabrałaby ciepło z całego domu. Zimą byś nie wytrzymała. Jeśli upierasz się przy oranżerii, to trzeba ją zbudować od południowej strony.

- Ale architekt powiedział, że można z tyłu domu, za kuchnią. Posadziłabym mnóstwo roślin, również trochę ziół...

- Mitzi, posłuchaj. Kuchnia wychodzi na północ. Oranżeria musi być od południa.

- Och, na pewno sobie jakoś poradzisz - oznajmiła bogata wdowa, pochylając się ku Ryanowi tak, by mógł zajrzeć w jej dekolt. - Przestudiujemy plany i coś wykombinujemy. Może, na przykład, mógłbyś obrócić dom o sto osiemdziesiąt stopni? Oczywiście ja się na tym nie znam, ale ty, mój drogi, jesteś geniuszem i prędzej czy później wymyślisz coś, żeby wszystko było po mojej myśli.

Nie był w nastroju do kłótni. Uważnie wpatrywał się w swoją uśmiechniętą rozmówczynię, starając się odgadnąć, czy tak piękne, białe i równe zęby same jej wyrosły, czy ich wygląd jest zasługą dentysty. Usta miała pociągnięte jasno-różową szminką, delikatną w kolorze, która leciutko podkreślała naturalną barwę warg. Wyobraził sobie, że tak jak inni ćwiczą mięśnie brzucha czy ramion, Mitzi staje przed lustrem i ćwiczy uśmiechy.

Z łatwością mógł zmazać uśmiech z jej twarzy; wystarczyło powiedzieć, ile kosztowałoby obrócenie domu i dobudowanie oranżerii. Mitzi Rumson nie była przyzwyczajona do tego, aby się jej sprzeciwiano. Dziś jednak Ryan nie miał ochoty wdawać się w dłuższą rozmowę. Pochłonięty był czymś zupełnie innym: cudowną dziewczyną, mądrą, z poczuciem humoru, pełną determinacji...

Kim była? Dlaczego tak mocno zawładnęła jego wyobraźnią? Dlaczego fascynowała go znacznie bardziej od skąpo odzianej kobiety, która siedziała obok, spoglądając na niego zalotnie znad puszek coli? Dlaczego wracał myślami do szczupłej, bladej

blondynki, która do niedawna mieszkała w dużym mieście i która w najmniejszym nawet stopniu nie starała się wzbudzić sobą jego zainteresowania?

Do diabła! Przecież wie, gdzie Beth mieszka, poznał jej psa. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby któregoś dnia wpadł do niej po drodze z pracy. Mógłby spytać, jak się miewa Lolek, a przy okazji zorientować się, czy przypadkiem jej się nie spodobał...

Jest obca w Devon, pewnie nikogo tu nie zna; przydałby jej się ktoś znajomy, jakiś przyjaciel, który pokazałby jej okolicę, doradził w sprawie psa. Pomyślał, że mógłby odwiedzić ją nawet dziś wieczorem, kiedy skończy pracę. A nuż znów ma kłopoty ze szczeniakiem?

Niektórzy twierdzą, że droga do męskiego serca wiedzie przez jego żołądek. Co prawda Ryan nie był o tym do końca przekonany, zastanawiał się jednak, czy przypadkiem droga do kobiecego serca nie wiedzie przez jej psa?

RS



### ROZDZIAŁ 3

- W czerwcu nie powinno się nosić nic niebieskiego - oznajmiła Lynne. Siedziała przy dużym, dębowym biurku w sekretariacie firmy prawniczej należącej do Jeffa Millera i patrzyła na Ryana karcącym wzrokiem. - Kolor niebieski przyciąga meszki.

- Bzdury!

W południowej części stanu New Hampshire akurat teraz wypadał szczyt meszkowego sezonu. Jak co roku, małe krwiożercze owady odbywały wędrówkę z Massachusetts do Maine. Z obserwacji Ryana wynikało, że wcale nie miały żadnych preferencji - każdy kolor im odpowiadał. Swoją drogą, pomyślał gorzko, z taką ilością krwi, jaką ze mnie wyssały, hemofilik przeżyłby dziesięć lat.

- Przeczytałam to w piśmie naukowym - rzekła Lynne, spoglądając z dezaprobatą na niebieską bawełnianą koszulkę i sprane niebieskie dżinsy Ryana.

- Że kolor niebieski je przyciąga. Tak jak czerwień przyciąga byka.

- A ja czytałem, że byki nie odróżniają kolorów i że przyciąga je łopot materiału.

Widząc wyraz zaskoczenia na twarzy Lynne, Ryan uśmiechnął się triumfalnie. Nie miał pojęcia, czy byki potrafią odróżniać kolory czy nie; powiedział tak, żeby zamknąć Lynne usta. Znał ją od niepamiętnych czasów; chodziła do tej samej szkoły co on i Jeff, tyle że dwie klasy wyżej, i już wtedy była zarozumiałą mądralą, której się wydawało, że wszystko wie najlepiej. Nie znosiła, kiedy ktoś kwestionował jej nieporównywalnie wyższy intelekt. Jeff zawsze powtarzał, że gdyby Lynne nie była najwspanialszą sekretarką na świecie, natychmiast by ją wylał z pracy.

Teraz najwspanialsza sekretarka na świecie postanowiła nie ciągnąć rozmowy na temat ulubionych kolorów meszek, tylko skoncentrować się na swoich obowiązkach.

- Czy można wiedzieć, co cię dziś tu sprowadza? Bo jeśli się nie mylę, nie jesteś umówiony...

- Miałem nadzieję, że uda mi się pożyczyć minutę czasu Jeffa.

- Czasu się nie pożyczca - stwierdziła mentorskim tonem sekretarka. - Czas można komuś zająć, można go zmarnować, ale nie można go pożyczyć. Pożyczka zakłada zwrot, więc sam rozumiesz...

Ryan czuł, że powoli zaczyna tracić cierpliwość, wiedział jednak, że jeśli okaże złość czy zniecierpliwienie, Lynne z całą pewnością nie dopuści go do Jeffa.

- Wiesz co? - Posłał jej najbardziej seksowny uśmiech, na jaki umiał się zdobyć. - Pożyczę od Jeffa dziesięć minut, a przy okazji oddam mu kwadrans. To chyba dobry interes, nie sądzisz? Nawet w lombardach nie żądają pięćdziesięciu procent odsetek.

Lynne zacisnęła usta. Chociaż miała trzydzieści kilka lat, często zachowywała się jak dziewczica. Na przykład zawsze, kiedy Ryan uśmiechał się do niej uwodzicielsko, peszyła się, spuszczała wzrok, odruchowo poprawiała ręką włosy, a jej policzki czerwieśniały.

- Jeff naprawdę ma dziś napięty harmonogram...

- Wszyscy mamy napięte harmonogramy. Możesz wyłączyć drukarkę; zdaje się, że już skończyła...

Lynne obróciła się na krześle i widząc, że maszyna istotnie przestała drukować, wstała, żeby ją wyłączyć. Korzystając z okazji, Ryan ruszył w stronę korytarza.

Przez lekko uchylone drzwi gabinetu słysząc było głos Jeffa, który mówił wolno, wyraźnie, jakby wygłaszał przemówienie. Ryan otworzył drzwi nieco szerzej i zajrzał do środka. Jeff usiłował zawiązać pod szyją krawat, a jednocześnie rozmawiał przez telefon. - To nie ma żadnego znaczenia. - Spozrzegłszy

Ryana, gestem zaprosił go do pokoju. - Mam tu wszystkie dokumenty... - Do stojącego na biurku kubka z kawą wsypał torebkę słodziku. - Możesz mi wierzyć, Roger, to najlepsze z możliwych rozwiązań. Mój klient przyzna się do winy i obieca, że już nigdy nie będzie okradał samotnych wdów, a potem za karę odpracuje ileś godzin w czynie społecznym. Zgoda? W porządku, przygotuj co trzeba. Spotkamy się o dziewiątej trzydzieści.

Jeff Miller rozłączył się, po czym podniósł do ust kubek i siorbiąc głośno, pił gorącą kawę. Okulary zaszyły mu parą.

- Nie cierpię takich spraw - rzekł do Ryana, zdjął okulary i przetaił je grubszym końcem krawata. - Chętnie bym drania powiesił. Cholera, żeby tak naciągać te biedne staruszki!

- Więc dlaczego go reprezentujesz? - spytał Ryan, siadając w fotelu naprzeciw biurka.

- Jestem obrońcą z urzędu. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak nędznie mi płacą za obronę tego łotra. Cóż, taki mamy wymiar sprawiedliwości. - Pociągnął kolejny łyk kawy, po czym zmarszczył czoło i niemal zrobił zęza, usiłując dojrzeć supeł pod szyją. - Na co się gapisz?

Ryan nie zdawał sobie sprawy, że się na cokolwiek gapi. Po prostu zapadł w chwilowe otępienie. W nocy miał problemy z zaśnięciem, co ruz się budził, i od rana odczuwał tego skutki. Przed wyjściem z domu wypił mocną kawę, przygotował też termos z kawą na drogę, ale wciąż był półprzytomny i na niczym nie potrafił się skupić.

Myślał tylko o jednym: o Beth Pendleton.

To ona sprawiła, że ciskał się przez całą noc. Za każdym razem, gdy zapadał w sen, stawała mu przed oczami jej zgrabna sylwetka; przypominał sobie jej oczy, spojrzenie pełne tajemnic, usta kuszące, jak wiśnia słodkie, a zarazem cierpkie.

To było do niego niepodobne, żeby nie móc zasnąć z powodu kobiety, w dodatku takiej, której prawie nie znał, podczas gdy inna, którą znał i która posiadała niebywałe wręcz walory

zarówno natury fizycznej, jak i finansowej, jasno dawała mu do zrozumienia, że jest nim zainteresowana. Mitzi łąsała się do niego, obsypywała go komplementami, kręciła zalotnie biodrami - Ryan potrafił to wszystko docenić, ale...Beth Pendleton.

Po długim, męczącym popołudniu, które spędził na przekonywaniu Mitzi, że dobudowanie oranżerii tam, gdzie ona to sobie wymarzyła, jest totalnym nieporozumieniem postanowił odwiedzić Beth. Zapadał już mrok. Las rosnący przy Loring Road był niemal czarny, niebo nad nim ciemnogrnatowe, przecięte złocistymi smugami na horyzoncie. W powietrzu unosił się zapach świerków. Jadąc szosą wijącą się wśród pól, łąk i lasów Ryan cały czas - dopóki nie dotarł do osiedla - czuł się zadowolony, pewny siebie.

W domu paliło się światło. Jedno z okien było szeroko otwarte i ze środka dolatywało szczekanie psa oraz dźwięczny kobiecy głos. Nie potrafił odróżnić poszczególnych słów, ale wszystkie dochodzące z domu odgłosy zdawały się świadczyć o tym, że Beth i Lolek świetnie sobie radzą.

Wmawiał sobie, że przyjechał do Beth po to, by pomóc jej z niesfornym szczeniakiem. W rzeczywistości przyjechał dlatego, że chciał ją lepiej poznać, chciał sprawdzić, czy jej jasne włosy naprawdę są tak miękkie i delikatne, czy wieczorem, w sztucznym świetle, oczy ma równie niebieskie jak za dnia, czy jej usta istotnie są tak słodkie, a zarazem cierpkie jak wiśnie, czy może gorące i namiętne...

Ale nagle stracił odwagę.

Zaskoczyło go to. Nie należał do ludzi bojaźliwych czy niezdecydowanych. Jeżeli kobieta mu się podobała, przystępował do działania. Jeżeli on się jej również podobał, to świetnie. Jeżeli nie, to trudno.

Siedząc za kierownicą furgonetki stojącej na zwirowanym podjeździe, który prowadził pod drzwi domu, Ryan czuł, że jeśli Beth go odtrąci, nie będzie umiał przejść nad tym do porządku

dziennego. I dlatego odjechał, a potem spędził bezsenną noc, próbując zrozumieć, dlaczego nie wysiadł i nie zastukał do jej drzwi.

- No, co jest? - spytał Jeff, zostawiając w spokoju swój krawat i koncentrując się na spodniach. - Rozporek mam rozpięty czy co?

- Przepraszam. - Ryan poruszył energicznie głową, usiłując otrząsnąć się z zadumy. - Słuchaj, potrzebuję twojej rady. Mam drobny kłopot z Mitzi Rumson.

- Dlaczego to mnie nie dziwi? - Jeff spotkał Mitzi tylko raz, kiedy przygotował wstępną umowę dotyczącą budowy domu. Po wyjściu Mitzi on i Ryan dłużej rozmawiali o dziewczynie, jej zachowaniu i stroju niż o podpisanej przed chwilą umowie. - Czymże ci się naraziła ta szacowna niewiasta?

Ryan wydał z siebie przeciągły jęk, który częściowo był wynikiem zniecierpliwienia, a częściowo niewyspania.

- Po prostu jej odbiło i tyle. Jesteśmy gotowi, żeby ruszyć z budową, możemy już kopać i wylewać fundamenty, a ona nagle przychodzi i oznajmia, że chciałyby mieć oranżerię. Przy kuchni, od północnej strony domu...

- Zakładam, że tego nie było w projekcie?

- Oczywiście, że nie. A gdyby było, to przed podpisaniem umowy próbowałbym jej wybić z głowy tak kretyński pomysł.

- Spóbuj to zrobić teraz.

- Próbowałem, ale jej się wydaje, że ze wszystkim sobie poradzę. Pewnie, zbudowanie oranżerii nie stanowi żadnego problemu, tyle że w całym domu będzie zimno jak w psiarni. Do Mitzi to jednak zupełnie nie dociera, co rusz opowiada mi o swojej dawnej posiadłości w Boca Raton. Usiłowałem jej wytłumaczyć, że co innego dom na Horydzie, a co innego w New Hampshire, ale myślisz, że to coś dało? Skądże! Ja swoje, a ona swoje; trzepocze rękami i powtarza z uporem, żebym zbudował oranżerię przy kuchni. Nie wiem, co robić. Jeff wzruszył ramionami.

- Też nie wiem.  
- Potrzebuję rady. Jesteś moim prawnikiem.  
- Już nie. Właśnie od dziś twoim doradcą jest nasz nowy wspólnik.

- Macie nowego wspólnika? - zdumiał się Ryan.  
- Co się tak dziwisz? Przecież ci mówiłem, że chcemy przyjąć do firmy jeszcze jedną osobę.

Ryan potrząsnął głową.

- Pierwsze słyszę.

- Na pewno mówiłem. Może puściłeś to mimo uszu?

- Wątpię.

- Dobra, dobra. Pewnie marzyłeś o Mitzi Rumson, o jej milionach albo wdziękach... - Jeff uśmiechnął się łobuzersko, po czym wskazał ręką na okno. - Nie zauważyłeś nowej tabliczki przy wejściu do budynku?

- Jestem półprzytomny - mruknął Ryan. - Mam szczęście, że widziałem inne samochody na drodze.

Zresztą nawet gdyby był wyspany, to i tak przyjąłby ze zdziwieniem wiadomość o nowym wspólniku Jeffa i Cindy. Zawsze sądził, że Millerowie stanowią doskonale zgrany, dwuosobowy zespół, który ze wszystkimi sprawami umie sobie poradzić.

- W każdym razie teraz na tabliczce figurują trzy nazwiska. Namówiliśmy dawną znajomą ze studiów, żeby się do nas przyłączyła. I właśnie ona przejmie twoje sprawy.

Jeff zerknął na zegarek, z podłogi przy biurku podniósł teczkę i skierował się do drzwi.

- Jak to: przejmie?

- Przekazałem jej wszystkie dokumenty dotyczące umów i nieruchomości. Od dziś ona cię reprezentuje - oświadczył Jeff, idąc w stronę tylnego wyjścia.

Ryan zaniepokojony ruszył za przyjacielem.

- Dlaczego? Przecież jako do prawnika nigdy nie miałem do ciebie zastrzeżeń. Nie chcę twojej znajomej ze studiów.

- Myślę, że ją zechcesz.

I nagle zza zamkniętych drzwi na końcu korytarza doleciało Ryana znajome szczekanie. Beth? Czyżby to ona była nową współpracowniczką Jeffa i Cindy? Jeśli tak, to owszem, bardzo ją chciał. Jeff zapukał do drzwi gabinetu, po czym je uchylił.

- Lecę do sądu, Beth - oznajmił - a tobie przyprowadziłem klienta. - Zdecydowanym ruchem wepchnął Ryana za próg, pomachał mu na pożegnanie i szybko się oddalił. - Tylko bądź dla niego miła! - zawołał przez ramię. - Nie pozwól, żeby pogryzł go twój pies!

Ryan odprowadził Jeffa gniewnym spojrzeniem, po czym odwrócił się i rozejrzał po królestwie Beth. Gabinet jeszcze nie był do końca urządzony: w rogu tkwiła wysoka sterta kartonów, wzdłuż jednej ściany stały do połowy puste półki z drewna tekowego, kilka zaś oprawionych grafik -głównie barwnych abstrakcji - czekało na powieszenie. Przy oknie znajdowało się miejsce pracy: ogromne, prostokątne biurko z drewna tekowego i skórzany fotel z wysokim oparciem.

Ale Beth nie siedziała w fotelu. Stała na niedużej drabinie, trzymając w rękach stos oprawnych w skórę książek, które najwyraźniej miały stanąć na najwyższej półce. Pies szczekał entuzjastycznie i ganiał wokół drabiny.

Ryan zamknął pospiesznie drzwi gabinetu, żeby Lolek nie wybiegł na zewnątrz, po czym rzucił się w jego stronę, chcąc go złapać, zanim ten potrąci drabinę. W tym momencie psisko istotnie ją potrąciło. Beth krzyknęła i upuściła książki na półkę przed sobą. Wystraszony szczeniak skoczył w kierunku Ryana, który potknął się i wpadł na drabinę. Gdyby nie wyciągnął rąk i nie chwycił się półki, przewróciłby drabinę na podłogę, a wraz z drabiną przewróciłby Beth. Gdyby nie chwycił się półki, nie wylądowałby z policzkiem przytkniętym do bioder Beth.

Po chwili świadom, że drabina już się nie przewróci, wyprostował ręce i odsunął się od półki, a tym samym od Beth.

Tak bardzo pragnął przytulić się do niej, przesunąć dłońmi po jej biodrach, wziąć ją w ramiona...

Ale jak wynikało ze słów Jeffa, Beth jest teraz jego doradcą prawnym, a doradców prawnych nie bierze się w ramiona, przynajmniej w godzinach pracy. Poza tym szalony kundel szarpał go za nogawkę spodni, usiłując odciągnąć od swojej pani.

- Nic ci się nie stało? - spytał, uwalniając nogawkę z zaciśniętych na niej psich zębów.

- Nie, nic - odparła lekko zziębnięta.

- Dzięki, że nie zwałaś mi książek na głowę. Wyglądają na ciężkie.

Cofnął się parę kroków i wziął na ręce psa, żeby mogła swobodnie zejść z drabiny. Nie potrafił jednak oderwać spojrzenia od jej bioder, talii, drobnych piersi rysujących się pod białą bluzką. Na oparciu fotela leżał lniany żakiet w tym samym niebieskim kolorze co spódnica - w tym samym niebieskim kolorze co jej oczy.

- Są ciężkie. Pełno w nich wiedzy prawniczej - rzekła. Przeszła za biurko i sięgnęła po żakiet. Dopiero gdy go włożyła, uniosła głowę i napotkała wzrok Ryana. Poprawiła włosy, po czym zaczerwieniła się i uśmiechnęła. - Dzień dobry, Ryan.

Lolek zaszczekał cicho, potem zaczął się wyrывać. Kiedy Ryan postawił go na podłodze, szczeniak czmychnął w stronę sterty kartonów.

- Nie chcę się wtrącać - powiedział Ryan - ale z tego, co wiem, ludzie na ogół nie zabierają do pracy psów, chyba że są niewidomi, a pies służy im za przewodnika.

Beth roześmiała się speszona.

- Chciałam zostawić go w domu, ale za każdym razem, kiedy zamykałam drzwi, tak strasznie pisał, a w dodatku miał taką smutną minę... Poza tym bałam się, że mi zniszczy meble. Cały wczorajszy wieczór spędził na obgryzaniu nóg stołu w kuchni i nóg kanapy. Czy to normalne u psów?



- Tylko u nie wytresowanych.

Korciło go, żeby poprawić jej niesforny kosmyk, który opadł na niewłaściwą stronę przedziałka. Korciło go, żeby poprawić kołnierzyk jej zakietu, który był nieco przekrzywiony. Po prostu marzył o tym, by móc jej dotknąć. Urzekła go swoją dziewczęcą niewinnością, a zarazem dyskretną elegancją, która widoczna była choćby w doborze biżuterii. Małe złote kolczyki, które miała w uszach, i skromny złoty łańcuszek na szyi stanowiły przeciwieństwo pobrzękujących przy każdym kroku ozdób Mitzi.

Beth spojrzała bezradnym wzrokiem na szczeniaka, który zębami i pazurami rozdzierał na strzępy kawałek szarego papieru.

- Nie musisz trzymać psa w domu - oznajmił Ryan.

- Zwłaszcza w taki ciepły, słoneczny dzień jak dziś możesz go zostawiać w ogrodzie.

- Jeśli go nie przywiążę, to ucieknie. A nie chciałabym go wiązać na cały dzień.

Schyliła się i zabrała psu podarty arkusz papieru. Lolek zaszczeakał oburzony.

- Powinnaś dać mu do gryzienia jakąś zabawkę albo starą skarpetę - zauważył Ryan. - Coś, co będzie mu wolno zniszczyć. No i powinnaś kupić specjalną smycz, na której mógłby w miarę swobodnie biegać.

- No tak! Wczoraj kazałeś mi kupić kolczatkę, dziś mówisz, żebym dała psu starą skarpetę i kupiła specjalną smycz do biegania. - Pogryziony przez Lolka papier wrzuciła do kosza na śmieci. - Ciekawe, jakich mi jeszcze rad udzielił.

- Wychowanie szczeniaka wymaga trochę pracy.

- Domyślam się, że też masz psa?

- Nie w tym momencie. Jednego miałem w dzieciństwie, a drugi zdechł mniej więcej rok temu. Jakoś nie mogę się zdobyć na wzięcie kolejnego. - Uśmiechnął się przebiegle. - Za każdym razem, gdy nachodzi mnie ochota, przypominam sobie, ile

trzeba włożyć czasu i wysiłku, żeby wychować szczeniaka. Wtedy natychmiast mi się wszystkiego odechciewa.

- Tak, to rzeczywiście jest dość czasochłonne - szepnęła.

- Gdybym wcześniej wiedziała...

- To co? Nie wzięłabyś Lolka? Pokręciła głową i wybuchnęła śmiechem.

- Wzięłabym. Jest taki cudny.

- A ty taka poczciwa.

Zerknęła niepewnie na Ryana, po czym wzruszyła ramionami.

- Wychowanie Lolka to dla mnie nowe wyzwanie, a ja lubię trudne sprawy.

Ryan też lubił trudne sprawy. Prawdziwym wyzwaniem była teraz dla niego inteligentna, elegancka młoda prawniczka, ale tę informację musiał oczywiście zachować w tajemnicy. Zamiast tego rzekł:

- Potrzebuję porady prawnej i zdaje się, że mam jej szukać u ciebie. - Oparł się o drabinę i nagle coś sobie uzmysłowił.

- Nie sprawiasz wrażenia zdziwionej, że tu przyszedłem.

- Cindy powiedziała mi, że Jeff prowadzi twoje sprawy - przyznała. - I że pewnie mi je przekaże, skoro jestem specjalistką od umów i nieruchomości.

- Rozmawiałaś o mnie z Cindy? Beth uśmiechnęła się.

- Wspomniałam jej tylko o ucieczce Lolka. A skoro go złapałeś...

- Opisałaś mnie jako rycerza w lśniącej zbroi?

- Nie, jako gościa w wytartych dżinsach, który wysiadł ze starej furgonetki.

- I walecznie ruszył ci na pomoc?

Zastanawiał się, dlaczego nagle w jej obecności traci pewność siebie. Dlaczego czuje się tak spięty? Dlaczego nie potrafi spytać jej wprost, czy nie wybrałaby się z nim na kolację? W gabinecie nastąpiła cisza, którą Beth przerwała dopiero po dłuższej chwili.

- No dobrze, więc co mogę dla ciebie zrobić?

Miał mnóstwo ciekawych propozycji, ale postanowił je przemilczeć. Uznał, że tu, w jej gabinecie, dokąd przyszedł po radę, powinien zachowywać się jak klient rozmawiający ze swoim prawnikiem.

- Mam problem z umową. Ale jeszcze się do końca nie urządziłaś, więc...

- Nic nie szkodzi. - Przysunęła do biurka stojące w rogu składane, metalowe krzesło. - Jeśli przeszkadza ci bałagan, możemy przejść do sali konferencyjnej.

Nie chciał nigdzie iść. Chciał zostać tu, w gabinecie Beth, razem z nią i jej bałaganem.

- Nie, nie przeszkadza - powiedział i widząc, że nie może rozłożyć składanego krzesła, ruszył w stronę biurka, żeby jej pomóc.

Stali obok siebie, walcząc z upartymi zawiasami. Ich ręce niemal się stykały. W pewnym momencie Ryan poczuł delikatny zapach perfum o nieco korzennej nucie. Krzesło ani drgnęło. Ryan odsunął Beth na bok, jedną rękę zacisnął na siedzeniu, drugą na oparciu krzesła i napierając z całej siły, wreszcie się z nim uporał.

- Dzięki - rzekła Beth, czując, jak oblewa się rumieńcem.

- Szlachetny rycerz zawsze do usług - zażartował. - Jak widzisz, psy i krzesła nie stanowią dla mnie problemu, natomiast wszelkie kwestie prawne przerastają mnie.

- Pewnie myślisz, że na niczym się nie znam, co? Faktycznie, w rozkładaniu krzesel i wychowywaniu psów nie jestem dobra, ale jeśli chodzi o porady prawne, nie mogłeś lepiej trafić.

- Wierzę ci.

Mówił prawdę. Jeżeli jego przyjaciel ma zaufanie do Beth, to musi być doskonałą prawniczką. Jednakże zaufanie, jakie Ryan w niej pokładał, wynikało z czegoś więcej. Po prostu instynktownie czuł, że jest osobą inteligentną, odważną, obdarzoną poczuciem humoru. Nie zdziwiłby się, gdyby się

okazało, że nieposłuszne psy i składane krzesła to jedyne dwie rzeczy na świecie, które sprawiają jej kłopot.

Okrzyżła biurko i usiadła w skórzanym fotelu. Skupiona, poważna i - mimo schludnego, skromnego stroju - ogromnie pociągająca, wyglądała tak, jak przystało na prawniczkę.

- Nie powinnaś nosić koloru niebieskiego w okresie, gdy meszki migrują - powiedział, siadając na chybottliwym metalowym krześle. ,

- Oj, nie! - Beth parsknęła śmiechem. - Już Lynne zrobiła mi wykład na ten temat!

- Mnie też. - Wskazał na swoją niebieską koszulę.

- Lubię błękit i mam gdzieś migrujące meszki! Jak będę chciała włożyć coś niebieskiego, nie powstrzymają mnie żadne owady.

Postanowił skorzystać z okazji.

- Ładnie ci w niebieskim - powiedział. - Idealnie współgra z kolorem twoich oczu. Swoją drogą, mają niezwykle odcień...

Nagle urwał, nie będąc pewnym, czy prawiać jej komplementy, nie łamie jakichś zasad. Nigdy dotąd się nad takimi sprawami nie zastanawiał. Beth sięgnęła po stojący w onyksowym piórniku długopis i zaczęła się nim bawić. Starannie unikała wzroku Ryana.

- No dobrze, powiadasz więc, że masz problem, tak? - spytała nieco podniesionym głosem, jakby usiłując pokryć zmieszanie.

Na nic moje komplementy, pomyślał Ryan, po czym nie chcąc się jej bardziej narazić, rzekł:

- Tak. Chodzi o to, że buduję dom dla Mitzi...

- Mitzi?

- Ona nazywa się Margaret Rumson, ale prosiła, żeby zwracać się do niej Mitzi.

Beth skinęła głową i ponownie skierowała na Ryana oczy, błyszczące i przejrzyste niczym błękitny topaz. Były naprawdę piękne, ale nie zamierzał się nimi głośno zachwycić - nie chciał powtórzyć błędu. Przynajmniej nie zamierzał się nimi

zachwycać teraz, w gabinecie Beth. Pocieszał się, że na pewno nadarzy się jeszcze niejedna okazja, kiedy będzie mógł do woli podziwiać nie tylko oczy, ale również usta i resztę jej ciała.

- Otóż Mitzi zażyczyła sobie, żeby przy kuchni dobudować oranżerię. Rozmawiała z architektem, który na jej życzenie wprowadził zmiany w projekcie. Problem w tym, że kuchnia mieści się od północnej strony. Próbowałem wyjaśnić Mitzi, że oranżeria wychodząca na północ to nieporozumienie. Tłumaczyłem, że to oznacza utratę ciepła w całym domu i jeżeli naprawdę zależy jej na oranżerii, powinna poprosić architekta, żeby zaprojektował od nowa parter, tak aby kuchnia wychodziła na południe. W przeciwnym razie dom trzeba będzie postawić w zupełnie innym miejscu.

- I co ona na to?

- Co ona na to? Że na pewno sobie poradzę - odparł z przekąsem, który miał świadczyć o tym, że nie do końca podziela optymizm Mitzi.

- Musisz się zabezpieczyć.

- W jaki sposób?

- Należy sprawdzić, czy w umowie, którą podpisałeś z panią Rumson, znajduje się punkt mówiący o tym, że nie ponosisz żadnej odpowiedzialności za wszelkie wprowadzone później zmiany lub poprawki. W razie czego trzeba spisać nową umowę. Nie masz przypadkiem tej umowy przy sobie?

- Nie, dokumenty trzymam w biurze, a przyjechałem tu prosto z domu. Ale Jeff na pewno ma kopię.

Beth sięgnęła po telefon i połączyła się z sekretariatem.

- Lynne? Potrzebna mi umowa, którą Jeff przygotował dla pana Walkera w sprawie budowy domu dla pani Marga-ret Rumson. Czy mogłabyś mi ją znaleźć? - Przez chwilę słuchała w milczeniu, po czym rzekła: - Czyżby? Dzięki za wiadomość. - Odłożywszy słuchawkę, wyszczerzyła w uśmiechu zęby. - Lynne uważała za właściwe poinformować mnie, że pani Rumson jest osobą niezwykle majątną.

- Podobno.

- Lynne we wszystkim doskonale się orientuje.

- Podobno - powtórzył i wybuchnął śmiechem.

Beth zawtórowała mu. Pies nie chciał być gorszy: zaczął szczekać i ganiać po pokoju.

- No dobrze, Ryan. Wyjaśnij mi, na czym polega ta specjalna smycz, którą mam kupić dla Lolka.

Bawiło go, że ktoś może z taką łatwością poruszać się w skomplikowanym świecie prawa, a zarazem być tak totalnie zielony, jeśli chodzi o zagadnienia związane z wychowaniem psów.

- Tak zwana biegówka? Jest to urządzenie, które pozwala psu w miarę swobodnie poruszać się po danym terenie. Występuje w kilka odmianach, ale najbardziej popularna przypomina sznur do suszenia bielizny. Koniec smyczy mocuje się do kółka, które suwa się po linie rozciągniętej między dwoma słupkami. Pies jest przywiązany, czyli nie ucieknie, a jednocześnie może pokonywać całkiem spore odległości.

- To znaczy, że trzeba wbić w ziemię dwa słupki?

- Niekoniecznie. Czasem wystarczy umocować linę do drzew. Jak chcesz, mogę ci pomóc.

- Nie, dzięki. Sama sobie poradzę.

- Nie byłbym tego taki pewien - rzekł z uśmiechem.

- Naprawdę chętnie pomogę.

- Uważasz mnie za idiotkę, prawda? - Wciąż się uśmiechała, ale w jej głosie zabrzmiała groźna nuta.

- Uważam, że jesteś doskonałą prawniczką. Musisz być świetnym fachowcem, bo inaczej Jeff nie przyjąłby cię do zespołu - odparł szczerze, po czym znudzony własnym poprawnym zachowaniem, postanowił zaryzykować.

- Uważam również, że jesteś niezwykle atrakcyjną kobietą, natomiast jeśli chodzi o biegówki i tresurę psów, to owszem, jesteś idiotką.

Z twarzy Beth usiłował wyczytać reakcję. Zaskoczona, wytrzeszczyła oczy i rozchyliła lekko wargi. Policzki się jej zaczerwieniły. Co ją bardziej dotknęło? Komplement, że jest atrakcyjną kobietą czy to, że nazwał ją idiotką?

Nawet gdyby chciał Beth przeprosić, nie mógłby, bo w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Ale nie chciał przeproszać, bo wcale nie żałował swych słów. Zresztą miał wrażenie, że Beth jest nie tyle oburzona zniewagą, co zakłopotana komplementem.

Kiedy Lynne otworzyła drzwi, Lolek z radosnym ujadaniem rzucił się w jej stronę.

- Kiepsko to widzę - zawyrokowała sekretarka, kolaniem odsuwając psa na bok. - Cindy z niemowlakiem, ty z psem... Przecież to biuro, a nie zoo. Będiesz musiała coś wykombinować, bo tak nie da się pracować.

- Wiem, wiem, wykombinuję - obiecała Beth, posyłając Ryanowi porozumiewawcze spojrzenie.

- Kupię specjalną smycz, żeby mógł biegać po ogrodzie.

Podeszła do Lynne, która stała w drzwiach, zasłaniając sobą wyjście, żeby pies nie wybiegł na korytarz, i wzięła od niej teczkę z dokumentami. Ryan odwrócił się i chwycił Lolka, który wciąż ganiał po pokoju. Pies zaczął mu się wiercić na kolanach, liżąc go po rękach. Lynne potrząsnęła z dezaprobatą głową.

- O zwierzęta trzeba dbać. Pilnować, żeby przebywały na powietrzu i miały dużo ruchu. Niedawno wyszła książka „Aerobik dla czworonogów”. Powinnaś ją przeczytać, Beth - poleciła i wycofała się na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

- „Aerobik dla czworonogów”? - szepnęła Beth, przykładając rękę do ust, żeby zdławić śmiech.

Ryan pogroził jej żartobliwie palcem.

- Powinnaś również przeczytać „Ćwiczenia izometryczne dla czworonogów”. I oczywiście ten słynny bestseller „Piesmaki, psia dieta”.

Beth nie wytrzymała: odrzuciła w tył głowę i wybuchnęła niskim, gardłowym śmiechem. Ryana aż przeszły dreszcze. Po raz pierwszy widział Beth tak nieskrepowaną. Pragnął widzieć ją taką częściej, ale w zupełnie innych okolicznościach. Jego myśli podążały niebezpiecznym torem. Zanim jednak zdołał powściągnąć wodze fantazji, Lolek wbił mu w nadgarstek swoje małe, ostre ząbki.

- Przestań! Nie wolno! - krzyknął na psa, zaciskając mocno rękę wokół jego pyszczka.

- Nie wolno! Nie, nie, nie! - Z ręką zaciśniętą na psim pysku, postawił zwierzę na podłogę.

- Nie wolno - powtórzył i zwolnił uchwyt.

Pies przysiadł, opuścił łeb i zaczął żałośnie skomleć. Beth spoglądała na niego wystraszona.

- Boże, coś ty mu zrobił?

Ryan obejrzał nadgarstek. Widniały na nim czerwone ślady po ugryzieniu, krwi jednak nie było; ząbki nie przebiły skóry. Zerknął na Beth. Sprawiała takie wrażenie, jakby bardziej przejmowała się stanem zdrowia swego kundla niż stanem zdrowia klienta.

- Ukaralem go. Tak się uczy zwierzęta dyscypliny.

- Ale... przecież mogłeś mu wyrządzić krzywdę!

- To on mnie mógł wyrządzić krzywdę. Niedobry pies! - powiedział ostrym tonem, kiedy Lolek podniósł łeb.

Pies opuścił mordkę z powrotem na łapy i znów zaskomlał. Ryan nagle zauważył, że Beth przygląda mu się z zainteresowaniem. Niemal zaczął żalować, że z nadgarstka nie cieknie mu krew. Może poczułaby wyrzuty sumienia? Może zaczęłaby wokół niego skakać, opatrywać mu ranę? Wyobraził sobie, jakie to by było miłe.

Nie miał jednak szczęścia. Na twarzy Beth malował się raczej wyraz zaciekawienia i zdumienia niż troski o jego, Ryana, stan zdrowia.

- Biedak boi się krzyku...



- Nie szkodzi. Trzeba go nauczyć, że nie wolno gryźć ludzi. Trzeba nauczyć słowa: „Nie!”. Pies musi być posłuszny, bo inaczej możesz mieć duże kłopoty. Osoba pogryziona może wystąpić do sądu o odszkodowanie. Jesteś prawnikiem, sama wiesz najlepiej...

- Mam krzyczeć na biedaka? Przecież to malutki szczeniaczek.

- Nie musisz krzyczeć, ale powinnaś być stanowcza. Niektórzy radzą dać klapsa gazetą czy czymś takim.

- Co to, to nie! Nigdy bym go nie uderzyła.

- W porządku. Nie stosuj klapsów. Ucz dyscypliny w inny sposób. Za pomocą kolczatki i podniesionego głosu.

Miała taką minę, jakby chciała się rozplakać.

- Myślałam, że można zwierzę nauczyć posłuszeństwa metodą marchewki, dając mu coś w nagrodę, kiedy jest grzeczne.

- Owszem, niektóre można, ale wątpię, czy z Lolkiem to poskutkuje.

- No dobrze - mruknęła niezadowolona. - W takim razie kupię kolczatkę.

Ryanowi zrobiło się jej żal. Miała gołębie serce, a rzadko się zdarzało, by srogi, bezwzględny prawnik był w głębi duszy takim mięczakiem.

- Noo - powiedział łagodnie, świadom, że Beth potrzebuje wsparcia. - Przecież nikt ci nie każe znęcać się nad psiną. Po prostu musisz Lolka wytresować, żeby nie gryzł ludzi. A jeśli już koniecznie musi kogoś gryźć, to niech gryzie innych prawników.

- Jak twój nadgarstek? - spytała trochę poniewczasie i podeszła obejrzeć ranę.

Dłoń miała chłodną, jedwabistą w dotyku. Opuszkami palców leciutko przesuwała po jego skórze. Niewiele było do zobaczenia, ot, kilka coraz mniej wyraźnych śladów po zębach. Ryan pragnął, żeby stała przy nim jak najdłużej. Obróciła mu rękę, ponownie badając palcami nadgarstek. Paznokcie miała

starannie przycięte, pomalowane bezbarwnym lakierem. Ryan wstrzymał oddech, rozkoszując się jej niewinnym dotykiem. Tak łatwo byłoby zacisnąć rękę na ręce Beth, przyciągnąć ją do siebie, zbliżyć jej dłoń do swoich ust. Tak niewiele było trzeba, żeby nastrój uległ zmianie, żeby rozmowa zeszyła na inny temat niż psy i ich tresura...

Nagle Beth puściła rękę Ryana i cofnęła się krok. Po jej twarzy przemknął cień smutku.

- Nie wolno gryźć moich klientów - powiedziała do psa, który patrzył na nią ze skruchą w oczach. - Nikogo nie wolno gryźć. Nawet prawników.

- Powinnaś mówić krótko, zwięźle. Najlepiej po prostu krzyknąć: „Nie!”

- Nie chcę na niego krzyczeć. Chcę, żeby mnie kochał. Jej słowa zdumiały Ryana. To naturalne, że człowiek

chce, aby zwierzę go kochało i nie ulega najmniejszych wątpliwości, że Lolek uwielbia Beth, a ona jego. Jednakże można było niemal odnieść wrażenie, że Beth czuje się nie kochana - jakby nie zasługiwała na niczyją miłość. Postanowił o nic nie pytać.

- Psy lubią tresurę. Lolek będzie ci wdzięczny za kilka lekcji dobrego wychowania.

- Tak myślisz?

W jej spojrzeniu, oprócz powątpiewania, pojawił się błysk nadziei. Coś zdecydowanie jest z Beth nie tak, coś, czego Ryan nie rozumiał, czego się nie domyślał. Cokolwiek to jest, bardzo go zaintrygowało. Pragnął poznać tę kobietę lepiej, odkryć jej tajemnicę. Podejrzewał, że spędzi jeszcze wiele bezsennych nocy, usiłując ją rozgryźć.

- Wiesz co? Wezmę Lolka na spacer, a ty w tym czasie przejrzyj umowę - zaproponował. - Gdzie smycz?

- Nie musisz z nim wychodzić.

Myliła się. Musiał oddalić się od niej choć na kilka minut, aby odzyskać równowagę psychiczną. Musiał przemyśleć całą

sytuację, zastanowić się, czy naprawdę chce zgłębić tajemnicę Beth. Czy naprawdę chce poświęcić czas i energię na to, żeby odkryć, co ją cieszy, co wywołuje jej uśmiech, a co sprawia, że czasem z jej pięknych, niebieskich oczu wyziera smutek?

Wskazał ręką na teczkę z dokumentami, którą Lynne przed chwilą dostarczyła.

- Przeczytanie umowy zajmie ci parę minut. Nie ma sensu, żebyśmy ci przeszkadzali.

Beth nie zaprotestowała. Podała mu smycz, która leżała na półce, niewidoczna za kartonami.

- Dziękuję - szepnęła, uśmiechając się nieśmiało. Przez moment sprawiała wrażenie, jakby chciała coś

jeszcze powiedzieć, ale potem się rozmyśliła. Patrząc na Lolka, pochyliła się i zaczęła go czule głaskać, jakby tym sposobem pragnęła zapewnić sobie trochę psiej miłości.

- Nie bój się, nic mu nie będzie. - Widząc lęk i niepewność w jej oczach, Ryan usiłował ją pocieszyć. - Lekka tresura naprawdę go nie zniechęci.

- Obyś miał rację - rzekła. - Niektórzy ludzie łatwo się zniechęcają.

Ryan w ostatniej chwili ugryzł się w język. Lolek nie jest człowiekiem, miał ochotę powiedzieć. Lolek jest psem. Ale nagle zrozumiał, że tajemnicze obawy, które gnębią Beth, dotyczą ludzi, a nie zwierząt.

Pies zaszczekał radośnie. Ryan przypiął smycz do obróżki, po czym raz jeszcze przyjrzał się Beth. Zupełnie nie wygląda na przebojową prawniczkę - raczej na kruchą, zagubioną dziewczynkę, która nie wie, gdzie jest ani co robi.

Czując na sobie spojrzenie Ryana, zmusiła się do uśmiechu, po czym wstała z kolan i wróciła do biurka, do teczki, w której leżała umowa. Kolejny uśmiech, tym razem bardziej pewny siebie, świadczył o tym, że gotowa jest zostać w gabinecie sama i zając się pracą.

Ruszył z psem do wyjścia. Zanim opuścił budynek i znalazł się na zewnątrz, poczuł, że w głowie zaczyna mu się przejaśniać. Powoli wyzwalał się spod uroku Beth, spod dziwnej aury smutku i zmysłowości, która od niej emanowała. Lubił sytuacje proste, nieskomplikowane, lubił kobiety proste i nieskomplikowane. Nie ulegało zaś wątpliwości, że Beth się do nich nie zalicza.

Powinien dać sobie spokój, przestać narzucać się z jakąkolwiek pomocą. Chciał wkraść się w łaski Beth, oczywiście w nadziei, że uda mu się wkraść do jej łóżka. A przecież jest tyle innych kobiet na świecie. Nawet w Devon znalazłoby się parę. Na przykład Mitzi Rumson, która tak szczerze roztacza swe wdzięki. A gdyby się rozejrzeć, to poza Mitzi też by się jeszcze kilka znalazło...

Lecz Ryana zawsze kusiło wyzwanie, Beth zaś rzeczywiście potrzebowała pomocy przy psie.

Do diabła, nigdy nie cofał się przed nieznanym, a już zwłaszcza wtedy, gdy podejrzewał, że za cierpliwość i wytrwałość może go czekać wspaniała nagroda. Postanowił więc, że jeszcze się wstrzyma, że jeszcze nie da za wygraną.

## ROZDZIAŁ 4

Ma zobaczyć się z nim w piątek, a potem drugi raz w sobotę. Dwa dni z rzędu. Na samą myśl o tym zaczęła odczuwać zdenerwowanie.

Nalała wody do psiej miseczki; stawiając ją na podłodze w kuchni, przypomniała sobie, że nie tak dawno temu myśl o spotkaniu z mężczyzną przyprawiała ją o obłędne przerażenie. Pocieszała się w duchu, że tym razem wcale się nie boi. Nie, po prostu czuje się nieswojo, to wszystko.

Piątkowe spotkanie ma dotyczyć interesów. Tamtego poranka, kiedy została sama w biurze, uważnie przeczytała umowę, którą Ryan podpisał z panią Rumson, i doszła do wniosku, że należy ją sporządzić od nowa. Wprawdzie Jeff spisał się całkiem nieźle, jednakże pewne punkty można było sformułować lepiej i zapewnić Ryanowi - jako wykonawcy - większe bezpieczeństwo. W takiej postaci, w jakiej umowa istniała teraz, Ryan odpowiadałby finansowo za wszelkie szkody, które mogłyby powstać w wyniku niefrasobliwości pani Rumson i jej nieoczekiwanych kaprysów. Na przykład, gdyby należała na zbudowanie oranżerii po niewłaściwej stronie domu i gdyby się później okazało, że w wyniku zmiany pierwotnych planów system ogrzewczy niedostatecznie spełnia swe zadanie, wówczas Ryan z własnej kieszeni musiałby pokryć koszty zamontowania większego systemu ogrzewczego, niż to wynika z początkowych specyfikacji.

Beth uważała, że umowa powinna precyzyjnie określać stopień odpowiedzialności wykonawcy, ale nie była pewna, czy Ryan pozwoli jej cokolwiek zmienić. Czy będzie miał do niej zaufanie, skoro zachowywała się przy nim jak osoba roztrzepana i mało zorganizowana? A przecież naprawdę знаła się na sporządzaniu umów.

- Jeff jest doskonałym prawnikiem - powiedziała Ry-anowi, kiedy wrócił z psem ze spaceru. - Ale wierz mi, kontrakty nie są jego najmocniejszą stroną.

- Sam mi to ciągle powtarza - przyznał Ryan. - Mój kuzyn Larry zajmuje się w naszej firmie księgowością i finansami. Ponieważ Jeff twierdził, że nie czuje się na siłach reprezentować interesów „Walker Construction”, Larry znalazł nam prawnika z Manchesteru. Ale w zeszłym roku facet przeszedł na emeryturę, więc zmusiłem Jeffa, żeby wziął nas pod swoje skrzydła.

- Zmusiłeś go?

- Prośbą, groźbą i szantażem. Powiedziałem mu, że jeśli się nie zgodzi, pogadam z zaprzyjaźnioną czarownicą i namówię ją, żeby rzuciła urok na jego nie narodzone dziecko. Jeff nie jest głupi. Uznał, że lepiej nie ryzykować.

- I szybciotko zaproponował mi pracę - rzekła Beth, nie potrafiąc oprzeć się uśmiechowi, jaki Ryan jej posłał.

- I co, naprawdę sądzisz, że lepiej sobie poradzisz niż Jeff?

Beth postanowiła odrzucić fałszywą skromność.

- Jestem o tym głęboko przekonana - oświadczyła. -Swoją drogą chętnie bym przejrzała umowy, które przygotował dla was ten prawnik z Manchesteru. Jeżeli mam reprezentować twoją firmę, chciałabym się zorientować, na jakie warunki się zgodzaliście.

- Innymi słowy, z jakich tarapatów przyjdzie ci nas wyciągać, tak? - Wyszczrzył w uśmiechu zęby. - W porządku. Każdego dnia możesz wpaść do firmy. Wystarczy, jak powiesz Larry'emu, że chcesz przejrzeć akta. A tymczasem co zmieniamy w umowie z Mitzi?

Słuchał w milczeniu, podczas gdy Beth tłumaczyła mu punkt po punkcie, co jej zdaniem należy inaczej sformułować, a co trochę bardziej sprecyzować. Następnie poprosiła Lynne, żeby uzgodniła z panią Rumson dogodny termin. Spotkanie zostało wyznaczone na piątek o dziewiątej trzydzieści rano.

Beth była pewna, że doskonale sobie ze wszystkim poradzi. W Nowym Jorku negocjowała znacznie bardziej skomplikowane umowy i ani razu się nie zdarzyło, aby klient, którego reprezentowała, miał jakiegokolwiek pretensje czy zastrzeżenia.

Ale tamci klienci nie widzieli jej poza biurem, nie widzieli w sytuacji, kiedy była całkiem bezradna. Ryan Walker zaś widział ją i zobaczy ponownie w sobotę, kiedy przyjdzie założyć w ogrodzie linę, żeby pies mógł w miarę swobodnie biegać. Tego dnia ona, Beth, nie będzie pewną siebie prawniczką, która wyjaśnia klientowi zawile kruczki prawne; nie, tego dnia będzie zwykłą kobietą, właścicielką psa, a to oznacza, że prawdopodobnie znów się czymś zblądni.

Nie powinna się tak bardzo przejmować tym, jakie wrażenie wywołuje na Rynie. Właśnie dlatego kupiła Lolka - żeby mieć kogoś, kogo mogłaby kochać całym sercem, bez zastrzeżeń, kogoś, kto odwzajemniałby jej uczucie, nie zwracałby uwagi na to, kim jest, co sobą reprezentuje i jak wygląda.

Przez chwilę obserwowała, jak szczeniak głośno pije z miseczki, rozlewając wodę na wszystkie strony. Mimo późnej pory na dworze wciąż było upalnie. Właśnie wrócili z kilometrowego spaceru i prawdę mówiąc, jej też bardzo chciało się pić.

Z górnej półki w lodówce wyjęła butelkę wody mineralnej. Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy powinna zachować się tak, jak przystało na osobę kulturalną i dobrze wychowaną, czyli nalać wody do szklanki, ale uznała, że przecież nie ołśni Lolka swoimi manierami, więc zrezygnowała ze szklanki, podniosła butelkę do ust i pociągnęła kilka łyków.

Żałowała, że w butelce jest woda, a nie dietetyczna cola. Już prawie dwa lata nie piła coca coli; tęskniła za jej smakiem, za charakterystycznym sykiem, który się rozlegał po zerwaniu kapsla, za zastrzykiem energii, której dostarczała kofeina. Ale taka była umowa, którą zawarła z sobą albo z Bogiem - chyba

jednak z Bogiem, choć nie była pewna -a mianowicie, że jeśli przeżyje, to nigdy więcej nie tknie napojów gazowanych, zawierających groźne, chemiczne składniki. Bóg wywiązał się z obietnicy, więc ona też musi dotrzymać słowa.

Pociągnęła jeszcze jeden łyk, po czym zakręciła butelkę i odstawiła ją do lodówki. Lolek wciąż stał nad miseczką, chłepcząc wodę. Nic dziwnego; stracił sporo płynu w czasie spaceru, bo co kilka kroków przystawał i popuszczał parę kropli. Kiedyś czytała, że w ten sposób psy znaczą swoje terytorium. Jeśli istotnie tak jest, to najwyraźniej Lolkowi wydaje się, że połowa Loring należy do niego.

Beth nie miała wątpliwości, że szczeniak wrócił do domu z całkiem pustym pęcherzem, ale widząc, jak łączywie opróżnia wodę z miski, pomyślała sobie, że za chwilę znów będzie chciał wyjść i coś poznać. Była zbyt zmęczona, żeby brać go na drugi wieczorny spacer, więc na podłodze w kuchni, w samym rogu, rozłożyła grubą warstwę gazet; miała nadzieję, że Lolek ograniczy znakowanie do sekcji sportowej i gospodarczej. Podłoga w kuchni pokryta była brzydkim, szarym, w dodatku podrapanym linoleum, które Beth zamierzała wymienić na coś ładniejszego, gdy tylko pies nauczy się załatwiać poza domem. Nie chciała, żeby traktował linoleum jak swoją własność, którą może znaczyć i brudzić, ilekroć ma na to ochotę. Co jak co, ale to naprawdę żadna frajda rozpoczynać dzień od szorowania podłóg.

Po jakie лихо kupiła psa? Dlaczego?

Wiedziała dlaczego, kiedy podniósł swoją śliczną mordkę i spojrzał jej w oczy. Był tak cudowny, tak radosny. Tak całkowicie pozbawiony jakichkolwiek hamulców. Aż mu tego zazdrościła.

- Staram się, piesku - powiedziała. - Staram się być taka jak ty. Wyzbyta kompleksów.

Rozległo się pełne zachęty szczekanie.



Uśmiechając się, wsypała do drugiej miseczki trochę suchej karmy, dodała parę łyżek sosu ze słoika oraz resztkę wczorajszego kotleta. Szczeniak rzucił się do miseczki i merdając ogonem z szybkością ponad dźwiękową, zabrał się do jedzenia.

Przyglądała mu się przez chwilę, po czym wyszła z kuchni. Chciała wziąć prysznic, bo koszulkę miała mokrą od potu. Liczyła na to, że przez kilka najbliższych minut pies będzie zajęty jedzeniem i nie napsoci.

A jeśli zacznie rozrabiać, szkody będą ograniczone do jednego pomieszczenia, pomyślała, zamykając za sobą drzwi. Drzwi kuchenne były równie brzydkie jak podłoga - stare, drewniane, zniszczone, u dołu mocno porysowane, zupełnie jakby poprzedni właściciel zamykał je kopniakiem. Postanowiła, że podczas remontu wyrzuci je, a na ich miejsce wstawi lekkie, oszklone.

Każę również zamontować wiatrak u sufitu, może nawet dwa: jeden w kuchni, drugi w salonie. Latem dom się nagrzewał i mimo otwartych okien w środku było duszno. Tak, wiatraki bardzo by się przydały. Do salonu kupi elegancki, o szerokich skrzydłach, taki, jak widziała w filmie „Casablanca”, a do kuchni skromniejszy, pasujący do dębowego stołu i krzeseł. Tylko że obracający się wiatrak u sufitu będzie zwiewał ze stołu serwetki. Może więc lepiej zamontować wiatrak w oknie, taki jak ten w sypialni? Z kolei wiatraki pod sufitem zawsze jej się ogromnie podobały.

Roześmiała się, zaskoczona zmysłem dekoratorskim, który się w niej nagle obudził. Kiedy mieszkała w Nowym Jorku, ani razu nie przyszło jej do głowy, żeby cokolwiek zmieniać czy upiększać. Ale nic dziwnego; tyle czasu spędzała w biurze, że po prostu szkoda jej było fatygi, by zajmować się mieszkaniem. Tym bardziej że nie traktowała wynajętego mieszkania jak swego domu; było to miejsce, gdzie odbierała korespondencję i

gdzie wpadała, by przespać się po dwunastogodzinnym dniu pracy.

Co innego chałupa w Devon - zamierzała ją przekształcić w prawdziwy dom, w przytulne gniazdko, do którego chętnie się wraca. Chciała kupić piękną, mosiężną kratę do postawienia przed kominkiem, znaleźć barwny dywan do salonu, pomalować ściany w jadalni na kojący nerwy, zielony kolor. Jednego tylko nie była pewna, mianowicie czy posiada jakikolwiek talent plastyczny, lecz to nie miało znaczenia. W końcu na wychowaniu psów też się nie zna, a mimo to wzięła ze schroniska szczeniaka.

Po wejściu do sypialni pierwsze kroki skierowała do okna, żeby włączyć wiatrak. Przez moment stała tam, spoglądając na ogród za domem i rozmyślając o psinie, o sobotnim spotkaniu, o Rynie.

Nie była przekonana, czy słusznie zrobiła, godząc się na to, żeby przyszedł do niej do domu. Ryan jednak nalegał. Wyjaśnił z niezbitą logiką, że przecież ona, Beth, nie zamontuje między drzewami liny tak, aby Lolek mógł swobodnie ganiać po ogrodzie, bo po prostu się na tym nie zna. Na psach zresztą też.

Trochę się bała soboty. Kiedy Ryan się pojawi, będzie musiała zaproponować mu coś do picia. Wtedy on wejdzie za nią do środka i nagle ona znajdzie się sam na sam z wysokim, przystojnym mężczyzną. On skieruje na nią swoje cudowne, piwne oczy i uśmiechnie się łobuzersko, a ona przypomni sobie bliskość jego ciała, kiedy przytrzymał ją na drabinie. Przypomni sobie, co Cindy mówiła o skoku na głęboką wodę - wiedziała, że będzie ją to kusilo.

Ale wiedziała też, że taki skok jest niemożliwy, że nigdy się nie zdarzy, więc nie powinna w ogóle o nim myśleć.

Musi przestać się zadręczać. Ryan Walker jest jej klientem. Kto wie, może kiedyś w przyszłości zaprzyjaźnią się, ale to wszystko. Na nic więcej nie powinna liczyć.

Psiakość, gdyby tylko nie był tak piekielnie pociągający! Albo gdyby ona była odrobinę bardziej pociągająca! I gdyby dwa lata temu w jej życiu nie zaszła taka dramatyczna zmiana.

Z drugiej strony, gdyby nie ta zmiana, nie byłoby jej tutaj. Nie kupiłaby uroczej, starej chałupy, nie wzięłaby ze schroniska psa, nie spotkałaby Ryana Walkera i nie musiałaby zwalczać żadnych pokus.

Odwróciwszy się od okna, ściągnęła koszulkę i dżinsowe szorty, które włożyła po przyjściu z pracy. Tak, weźmie prysznic i od razu poczuje się lepiej.

Zdjęła stanik, z lewej miseczki wysunęła wkładkę ortopedyczną i przyjrzała się sobie w lustrze nad toaletką. W ciągu ostatniego roku zdażyła się przyzwyczaić do swego wyglądu. Rzadko kiedy wzdrygała się na widok swego niesymetrycznie uformowanego ciała, na widok płaskości w miejscu, gdzie dawniej była wypukłość, na widok blizny, jedynej widocznej pozostałości po chorobie, którą lekarze usunęli skalpelem. Nauczyła się nie roztkliwiać nad sobą; traktowała bliznę tak, jakby to była rana odniesiona na polu bitwy, i powtarzała w duchu, że przecież wojnę wygrała.

Dziś jednak nie myślała o sobie jak o rannym na wojnie żołnierzu. Myślała o sobie jak o kobiecie. I niestety to, co widziała, nie bardzo się jej podobało.

Cała reszta nie jest najgorsza, uznała, mierząc się dokładnie wzrokiem. W trakcie chemoterapii straciła włosy, ale już odrosły i nawet wołała się w krótkiej fryzurce. Twarz miała taką samą jak zawsze, trochę za szczupłą, o zbyt wystających kościach policzkowych, ale w sumie dość ładną. Ramiona - szerokie, ręce i nogi - chude. Kiedy jako dziecko przez kilka lat chodziła na lekcje baletu, nauczycielka ciągle jej powtarzała, że ma idealne warunki fizyczne, by zostać baletnicą. Tak się jednak złożyło, że brakowało jej talentu.

Patrząc obiektywnie, to pomijając lewą stronę klatki piersiowej, ciało miała całkiem niezłe. Jak na jej widok może

zareagować mężczyzna? Nie lekarz, tylko prawdziwy mężczyzna, mężczyzna z krwi i kości. Peter zmył się, zanim jeszcze miał okazję ujrzeć ją po operacji. Dwa tygodnie po tym, gdy powiedziała mu o diagnozie, doszedł do wniosku, że sobie nie poradzi, że jest to ponad jego siły. Zupełnie jakby spotkanie się z kobietą chorą na nowotwór piersi było czymś trudniejszym od bycia kobietą z rakiem piersi.

Przypomniała sobie, co na temat reakcji mężów i narzeczonych mówiły kobiety, z którymi rozmawiała w czasie terapii grupowej. Mąż Evelyn okazał się fantastycznym facetem; codziennie przynosił jej kwiaty i twierdził, że ma najpiękniejszą żonę na świecie. Gdyby istniała nagroda dla największego drania roku, narzeczony Tammy śmiało mógłby konkurować z Peterem; zerwał z Tammy nazajutrz po jej operacji. To były dwie skrajne reakcje, reakcje pozostałych mężczyzn mieściły się gdzieś pośrodku, to znaczy panowie czuli się niezręcznie, ale podtrzymywali swoje panie na duchu, kochali je, choć nie przepadali za ich okaleczonymi ciałami.

Ale czy można się dziwić? Większość chłopców w Ameryce dojrzewa z „Playboyem” w ręku. Jako niewinni, niedoświadczeni nastolatkwie marzą o tym, żeby na tylnym siedzeniu samochodu pomacać w ciemności piersi dziewczyny. Jako dorośli faceci za największy wynalazek od czasów penicyliny uważają staniki o specjalnych miseczkach, uwypuklające biust. W świadomości mężczyzn piersi są jednym z najważniejszych atrybutów kobiecości.

Nie ruszając się sprzed lustra, Beth zamknęła oczy i ponownie zaczęła dumać o Ryanie. Był zabawny, cierpliwy, śmiał się z nią, a nie z niej - nawet wtedy, gdy robiła z siebie idiotkę. Ponadto - był mężczyzną, którego uśmiech i spojrzenie wyraźnie wskazywały na to, że ma wobec niej jakieś plany.

Podjeżdżała, że gdyby do czegoś doszło, to taki facet jak on oczekiwałby znakomicie zbudowanej kochanki. To chyba naturalne. Prawdę mówiąc, pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się

Beth w oczy, kiedy ujrzała Ryana, była jego sylwetka. Jeżeli ona zwraca uwagę na wygląd fizyczny, nie może mieć mu za złe, że on interesuje się tym samym.

Westchnawszy cicho, cofnęła się sprzed lustra i dumnym krokiem przeszła do łazienki.

Zamierza w pełni cieszyć się życiem, a to oznacza, że nie zamierza rezygnować z seksu. Jednak co do seksu i Ryana... Nie. Akurat ten skok na głęboką wodę nie wchodzi w grę. Nie chciała, by Ryan podwinął ogon pod siebie i - tak jak Peter - uciekł ile sił w nogach. Co to, to nie. Ryan nigdy nie zobaczy jej takiej, jaką sama się przed chwilą widziała w lustrze.

Jedyny skok, na jaki w tym momencie mogę sobie pozwolić, to skok do wanny lub pod prysznic, pomyślała i odkręciła kurki z wodą.

Zjawił się w kancelarii dziesięć minut przed czasem. Do piątku Beth poczyniła w gabinecie ogromne postępy.

Wszystkie książki stały już na półkach, dywan leżał na podłodze, grafiki wisiały na ścianie. Dzięki notatce, którą Jeff i Cindy zamieścili w lokalnej prasie, informującej o przyjęciu do zespołu specjalistki od spraw nieruchomości, miała - poza Ryanem - dwoje nowych klientów. Poza tym po raz pierwszy od tygodnia nie musiała przed wyjściem do pracy myć w kuchni podłogi.

Ubrana w jasnoszary, bawełniany kostium składający się ze spódnicy i żakietu, stanęła rano przed obliczem Lynne, która długo i uważnie mierzyła ją wzrokiem.

- Kolor szary wzbudza respekt - oznajmiła wreszcie.

- Gdyby nie to, że przyprowadziłaś psa, byłabym pewna, że dzisiejsze spotkanie zakończy się sukcesem.

- Próbuję go nauczyć dobrych manier - powiedziała Beth przepraszającym tonem i szarpnęła za smycz, kiedy Lolek, wachając z upodobaniem dywan, energicznym krokiem ruszył w swój ulubiony róg. - Wyobraź sobie, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny ani razu nie załatwił się na podłodze

w kuchni. Ale bałam się zostawić go w domu na cały dzień. Zniszczyłby wszystko.

- Więc przyprorowadziłaś go, żeby tu wszystko niszczył?

- spytała Lynne z naganą w głosie.

- To już ostatni raz. Jutro montuję specjalne urządzenie, żeby mógł biegać po ogrodzie, kiedy jestem w pracy.

Postanowiła nie wchodzić w szczegóły. Gdyby wspomniała, że Ryan obiecał jej pomoc, Lynne przyssałaby się do niej jak Lolek do starej, wełnianej skarpety, którą dostał do gryzienia. I pewnie śliniłaby się tak samo jak on.

- No tak. Ale jeżeli zamkniesz zwierzę w swoim gabinecie, może nabawić się klaustrofobii - stwierdziła autorytatywnie sekretarka. - Psy, zwłaszcza te, które mają za mało ruchu, zachowują się neurotycznie, gdy sieje zostawia w zamkniętych pomieszczeniach. Radzę ci przywiązać go z tyłu na werandzie, przynajmniej na czas spotkania z klientem.

- Na werandzie?

Pomysł ten nie bardzo przypadł Beth do gustu. Przecież pies może się zerwać ze smyczy. Może uciec lub gorzej

- wbiec na jezdnię prosto pod koła samochodu.

- Daj, ja się nim zajmę - powiedziała Lynne tonem nie znoszącym sprzeciwu; brzmiało to jak rozkaz, a nie oferta pomocy. - Zawsze wożę w bagażniku kawałek sznura. W sali konferencyjnej jest kawa i dzbanek zimnej wody. Pani Rumson i jej prawnik zjawią się lada chwila.

Beth nie zdziwiła się, słysząc, że Lynne wozi w bagażniku sznur. Zapewne wozi z sobą również lampę lutowniczą, zapas puszek z zupą i trzydzieści tomów encyklopedii Ame-ricana. Lynne nie tylko wszystko wie, ale i na wszystko jest przygotowana.

- No dobrze.

Niechętnie wręczyła sekretarce smycz i patrzyła, jak szczeniak, merdając wesoło ogonem, oddała się w stronę drzwi

prowadzących do ogrodu za domem. Ledwo znikł za jednymi drzwiami, kiedy otworzyły się drugie - te od frontu

- i do środka wszedł Ryan. Na jego widok Beth natychmiast zapomniała o psinie. O ile poprzednim razem, ubrany w wytarte dżinsy i bawełnianą koszulkę, wyglądał fantastycznie, to teraz w marynarce i krawacie wyglądał wręcz zabójczo.

Przypomniała sobie mężczyzn, z którymi pracowała w Nowym Jorku. Zawsze zjawiali się w biurze modnie wystrojeni; ci, co liczyli poniżej pięćdziesięciu lat, nosili idealnie skrojone, eleganckie garnitury Armaniego, starsi - garnitury Brooks Brothers. Jedni i drudzy buty mieli lśniące, starannie wypastowane, włosy przycięte, szyje ozdobione krawatami wartymi co najmniej sto dolarów.

Ryan diametralnie się od nich różnił, co Beth cieszyło, ale również ogromnie złościło. Cieszyło dlatego, że przyjemnie było zatrzymać na nim wzrok, a złościło... no cóż, złościło dokładnie z tego samego powodu.

Stara, tweedowa marynarka, którą miał na sobie, była trochę powyciągana na łokciach i zbyt obszerna w ramionach. Brązowa koszula była lekko pomięta, wąski krawat w paski stanowił relikwyt poprzedniej dekady. Uzupełnieniem stroju były spodnie w kolorze khaki oraz skórzane mokasyny. Jeśli chodzi o fryzurę - widać było, że spędził nieco czasu przed lustrem, ale włosy wciąż miał za długie. Innymi słowy, wyglądał jak mały łobuziak, którego dorośli zmusili, aby ubrał się porządnie na niedzielną mszę.

Prawdopodobnie w swym poprzednim życiu Beth musiała się podkochać w małym łobuziaku wystrojonym jak do kościoła, bo na widok Ryana poczuła, że serce zaczyna jej bić jak oszałałe.

- Cześć - powiedział takim tonem, jakby stał zakurzony i brudny przy zaparkowanej na placu budowy furgonetce. - To co, uczynisz mnie dziś bogatym człowiekiem?

Wiedziała, że uśmiech pozwoli jej się rozluźnić, uodpornić na oszałamiającą urodę Ryana. Był jej klientem, a ona jego prawniczką, poza tym nic ich nie łączyło.

- Może nie uczynię cię bogatym, ale na pewno dopilnuję, żebyś nie zbankrutował - obiecała.

- Świetnie. To kiedy zaczynamy?

- Jak tylko przyjdzie pani Rumson. Masz ochotę na kawę?

- Sądziłem, że podawanie kawy należy do obowiązków Lynne - rzekł, wchodząc za Beth do sali konferencyjnej. - A może to jej uwłacza?

- Na razie Lynne zajmuje się Lolkiem - wyznała Beth.

- A gdzie się psina podziewa?

- Lynne uznała, że najlepiej przywiązać go na werandzie. Powinnam była zostawić go w domu, ale bałam się... no wiesz, że mi wszystko zniszczy.

- Od poniedziałku będziesz mogła spokojnie wychodzić, nie obawiając się o stan domu.

Wsunął ręce do kieszeni i posłał Beth uśmiech, ciepły, zniewalający, który zdawał się mówić: jutro do ciebie przyjdę, spędzimy razem cały poranek, będziemy we dwoje, tylko ty i ja...

Wprost nie do wiary. Ona, osoba trzydziestodwuletnia, która do niedawna pracowała w jednym z najlepszych zespołów adwokackich w Nowym Jorku i która wyszła zwycięsko z wielu ciężkich prób, boi się nalać klientowi kawę do filiżanki, ponieważ jego uśmiech sprawia, że drżą jej ręce. W tym momencie bynajmniej nie czuła się zaprawioną w bojach prawniczką; przeciwnie, miała wrażenie, że jest naiwną nastolatką, która dziwnym zbiegiem okoliczności znalazła się sam na sam z najprzystojniejszym chłopakiem z całej szkoły.

Zwłaszcza dziś powinna być opanowana i skupiona. Powinna olśnić Ryana swoją wiedzą i pewnością siebie. W sobotę może zachowywać się jak roztrzepana idiotka, ale nie dziś, nie podczas spotkania w interesach.



Wziąwszy się w garść, podeszła do pięknego, wbudowanego w ścianę, mahoniowego kredensu, który pamiętał czasy, gdy obecna sala konferencyjna służyła jako elegancka jadalnia. Wytarła dyskretnie ręce o papierową serwetkę, postawiła filiżankę na spodeczku, podniosła dzbanek z kawą - i niemal wszystko rozlała, bo akurat w tym momencie rozległ się dźwięczny głos Cindy:

- Rany boskie, Ryan! Aleś ty dziś wystrojony! Własnym oczom nie wierzę!

Beth zazdrościła przyjaciółce, że potrafi zachowywać się swobodnie w towarzystwie Ryana, podczas gdy ona sama trzęsa się jak liść osiki. Ostrożnie odstawiła dzbanek na miejsce i odwróciła się do współpracownicy.

- Cześć, Cindy - powiedziała. - Dokąd lecisz? Cindy podniosła oczy do nieba.

- Do sądu. Rozłączyć to, co Bóg złączył. Innymi słowy, sprawa rozwodowa. - Dla większego efektu westchnęła głęboko i zabawnie zmarszczyła nos. - Nienawidzę rozwodów. Zawsze mam ochotę chwycić klientkę za ramiona i całej siły nią potrząsnąć.

- A gdzie współczucie dla biednej, zawiedzionej w miłości istoty? - spytał Ryan, mrugając porozumiewawczo do Beth.

- Nic na to nie poradzę, nie mam do tych ludzi cierpliwości. Pobierają się w pośpiechu, a potem płaczą i żałują. Czy naprawdę nie mogliby się porządnie zastanowić, zanim staną przed ołtarzem i zmarnują sobie życie? - Zdegustowana pokręciła głową, po czym uśmiechnęła się drwiąco. - Z drugiej strony muszę przyznać, że płacą mi całkiem nieźle, żebym im to życie choć trochę odmieniła.

- Wiesz, Cindy, jeśli twoja córka zgodzi się wyjść za mnie, nigdy się z nią nie rozwiodę - oznajmił Ryan. - Powiedz jej, że chętnie poczekam, aż osiągnie pełnoletność.

- Obawiam się, że kolejka do jej ręki będzie bardzo długa. Podejrzewam, że moja mała dziewczynka złamie nie

jedno męskie serce. Już teraz całkowicie podporządkowała sobie Jeffa, który skacze wokół niej i spełnia każde żądanie.

- Ja też wokół niej skaczę. Jak myślisz, Beth? Nie sądzisz, że tworzylibyśmy z Eryką wspaniałą parę?

- Myślę, że jesteś dla niej ciut za stary - powiedziała Beth, nie potrafiąc przyłączyć się do zabawy.

Wcale nie o to chodzi, że jest zazdrosna o córkę przyjaciółki - to byłoby absurdalne. Wyczuwała jednak, że za żartobliwym tonem Ryana coś się kryje. Dawał do zrozumienia, że jest romantykiem pragnącym wielkiej miłości, facetem, który ma dużo do zaoferowania i który świadom jest kobiecych wdzięków.

Zmuszając usta do uśmiechu, Beth spytała Cindy:

- Zdasz napić się z nami kawy?

- Niestety, nie. Bawcie się dobrze beze mnie. - Cindy mrugnęła do przyjaciółki i po chwili zniknęła, niemal rozplynęła się w powietrzu.

Stokrotne dzięki! - Beth miała ochotę krzyknąć. Nie potrzebowała, żeby Cindy zachęcała ją do czegokolwiek ani przypominała jej, co traci. I bez tego czuła się dostatecznie speszona w towarzystwie mężczyzny, który był tak przystojny, że na jego widok nawet zakonnica nie powstrzymałaby się od grzesznych myśli.

- Śmietanka? Cukier? - spytała, napełniając filiżankę.

- Nie, dziękuję.

- Rozgość się, ja tymczasem pójdę po teczkę z dokumentami.

Uniosła filiżankę, odwróciła się i, zaskoczona, niemal ją upuściła. Ryan stał tuż obok, o wiele za blisko.

Biorąc filiżankę z kawą, niechcący otarł ręką o palce Beth. Omal nie podskoczyła. Przypomniała sobie, jak wczoraj dotykała jego nadgarstka, sprawdzając, czy pies nie wyrządził mu krzywdy. Nagle znów zapagnęła ująć jego dłoń. Na miłość boską! Przecież nie ma trzynastu lat, żeby z wypiekami na twarzy marzyć o dotknięciu ręki chłopaka.

- Pójdę po dokumenty - powtórzyła, chcąc czym prędzej wyzwolić się spod uroku jego zagadkowego uśmiechu, oczu o barwie kawy, lekko cytrynowego zapachu wody po goleniu...

Pośpiesznie opuściła salę konferencyjną. W gabinecie oparła się o biurko i kilka razy odetchnęła głęboko

- wciągając powietrze nosem, wypuszczając ustami, tak jak ją tego nauczyła pracownica społeczna, która prowadziła w Nowym Jorku zajęcia terapeutyczne dla kobiet po mastektomii.

„Przeszłyście wszystkie bardzo wiele, powiedziała im, i teraz musicie opanować technikę relaksyjną, która pozwoli wam pozbyć się napięcia. Dzięki niej szybciej wróćcie do zdrowia, szybciej zdobędziecie siłę potrzebną do dalszego życia. A zatem, moje drogie, zaczynamy. Wciągamy nosem powietrze... dobrze... wstrzymujemy oddech... dobrze... i powoli wypuszczamy powietrze”.

Beth oddychała, stosując się do instrukcji. Czuła, jak napięcie ją opuszcza, jak jej ciało się relaksuje. Znow była osobą dorosłą, doświadczoną prawniczką, specjalistką od nieruchomości, która za moment będzie renegocjować umowę klienta. W porządku, Beth, powiedziała do siebie w myślach. Niczego się nie bój. Nic złego się nie stanie.

Zgarnęła z biurka dokumenty, wzięła przenośny komputer, jeszcze raz wciągnęła głęboko powietrze, po czym -znacznie bardziej spokojna i opanowana niż przed chwilą

- opuściła gabinet. Kiedy wróciła do sali konferencyjnej, Ryan stał przy otwartym oknie i rozmawiał z kimś przez siatkę.

- Cześć, kolego. Pamiętasz mnie, co? Na pewno pamiętasz!

Beth zmarszczyła czoło.

- Rozmawiasz z Lolkiem? - spytała, kładąc na stole przyniesione z gabinetu rzeczy. - Zdaje się, że Lynne miała go przywiązać do werandy.

- Przywiązała, ale na bardzo długim sznurze.

Beth zbliżyła się do okna i zaciekawiona wyjrzała na dwór. Zobaczyła mocno napięty sznur, który sięgał niemal do samego

okna, a na jego końcu uwiązanego Lolka. Na widok swojej pani psisko zaszczekało radośnie.

- Przykro mi, malutki - powiedziała do szczeniaka. - Musisz zostać w ogrodzie.

Pies ponownie zaszczekał, jednoznacznie dając do zrozumienia, że się z nią nie zgadza. Ale Beth była większa od niego - niedługo to się zmieni, pomyślała, patrząc na ogromne psie łapy - więc na razie to ona miała decydujący głos.

Stanowczo, choć z ciężkim sercem, odwróciła się plecami do ukochanego psa. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, lecz nie popełniła tego błędu, aby spojrzeć na niego jeszcze raz. Gdyby tak zrobiła, psina wlepiłaby w nią swoje smutne, lśniące ślepie, a wtedy Beth na pewno by nie wytrzymała - przelazłaby przez okno i uwolniła szczeniaka ze sznura.

W drzwiach pojawiła się Lynne.

- Przyszła pani Rumson ze swoim prawnikiem, panem Beebe'em - oznajmiła.

- Wprowadź ich, proszę - powiedziała Beth.

Odsunęła się od okna, ignorując narastające crescendo pisków nieszczęśliwego Lolka, i posłała Ryanowi uśmiech, który zdawał się mówić: Nie bój się, pójdzie nam jak po maśle. Następnie zbliżyła się do stołu, rozwinęła kabel, schyliła się i włączyła komputer do kontaktu tuż nad podłogą, a kiedy wyprostowała się, ujrzała stojącą w drzwiach Mitzi Rumson. Pewność siebie, którą cudem zdołała odzyskać, natychmiast ją znów opuściła.

Mitzi Rumson... no cóż, po prostu zapierała dech. Ubrana w jaskraworóżowy, szyty na miarę kostiumik, którego spódnica ledwo zakrywała pośladki, była oszałamiająca. Zdaniem Beth, pod przewiązanym szarfą zakietem kobieta nie miała na sobie nic - nic poza perfumami „Obsession”, których odurzający zapach wydobywał się spomiędzy jej bujnych piersi.

Beth oderwała wzrok od biustu klientki i spojrzała nieco wyżej, na szyję, na której wisiał sznur idealnie dobranych pereł

o centymetrowej średnicy. Podobnej wielkości perły, wokół których połyskiwały brylanty, zdobiły uszy kobiety. Sam naszyjnik i kolczyki wystarczyłyby, żeby sfinansować nowy kaprys młodej wdowy, czyli budowę oranżerii.

Zmuszając się do uprzejmego uśmiechu, Beth wyciągnęła na powitanie dłoń.

- Pani Rumson, prawda? Jestem Beth Pendleton i reprezentuję pana Walkera. Serdecznie zapraszam.

Mitzi Rumson podała Beth rękę. Skórę miała jedwabistą w dotyku.

- Bardzo mi miło - powiedziała głosem tylko odrobinę mniej zmysłowym, niż się Beth spodziewała. - A to jest Herman Beebe, mój prawnik z Bostonu. Hermie? Poznaj prawniczkę Ryana.

Beth zauważyła, że uczestnicy dzisiejszego spotkania mówią do siebie po imieniu. Nie przeszkadzało jej to.

Herman Beebe był wysokim, chudym jak trzcina, nijakim z wyglądu mężczyzną około sześćdziesiątki o cerze równie szarej jak włosy.

- Dzień dobry - powiedział, witając się najpierw z Beth, potem wymieniając uścisk dłoni z Ryanem.

Kiedy Ryan podszedł przywitać się z Mitzi, ta cmoknęła go poufale w policzek. Ryan zerknął spod oka na Beth, która z całej siły starała się nie okazać irytacji. Podejrzewała, że zanim spotkanie dobiegnie końca i wszyscy obecni złożą podpisy na nowej umowie, zmienionej na korzyść Ryana, Mitzi minie ochota do jakichkolwiek czułości.

Po chwili do pokoju weszła Lynne, żeby podać kawę. Wszyscy zajęli miejsca przy stole, Ryan naprzeciw Mitzi, prawnicy twarzą do siebie. Beth nie wiedziała, czy wyobraźnia płata jej figla, ale była gotowa przysiąc, że Mitzi specjalnie się tak usadowiła, aby Ryan miał jak najlepszy widok na jej dekolt.

Przestań! - zganiła się w duchu. Przestań sobie wyobrażać Bóg wie co! Może Mitzi używa perfum „Obsession”, lecz

prawdziwą obsesję ma ona, Beth. Obsesję na punkcie biustu. Nie mogła się równać z Mitzi nawet wtedy, gdy miała obie piersi, a co dopiero teraz!

Prawdę mówiąc, w ogóle nie może się równać z Mitzi Rumson. Mitzi jest zachwycająca pod każdym względem: biodra ma rozkosznie zaokrąglone, talię cienką jak osa, urodę wyzywającą, lecz niezwykle efektowną. W porównaniu z nią Beth czuła się jak szara myszka.

Była zła na siebie; wprost nie mogła uwierzyć, że przejmuje się czymś tak błahym i nieistotnym jak czyjś wygląd. Nawet jako zakompleksiona, nieśmiała nastolatka nigdy nie traciła czasu na porównywanie się z koleżankami i zamartwianie, że którejś pod jakimś względem nie dorównuje. Po prostu nie widziała powodu, żeby przysparzać sobie dodatkowych cierpień.

Teraz zaś była dorosłą kobietą, która za moment ma przystąpić do pracy i pokazać wszystkim, co potrafi - a w środku czuła się zagubiona i nic niewarta. Powinna być silna, nikomu nie pozwolić się doprowadzić do takiego stanu, zwłaszcza Mitzi.

Po chwili jednak uświadomiła sobie, że to nie Mitzi wywołuje w niej poczucie niepewności. Winę ponosi Ryan, który wprawdzie siedzi obok niej, Beth, ale cały czas spogląda na wspaniałą istotę naprzeciw siebie. Tak, to przystojny, niemodnie ubrany Ryan jest tą osobą, której obecność najbardziej jej teraz doskwiera.

Do diabła z tym wszystkim, pomyślała w duchu. Ona, Beth, zajmie się interesami Ryana, a Mitzi - jeśli ma ochotę - niech zajmie się nim samym.

- No dobrze - powiedziała rzeško, kiedy Lynne postawiła przed każdym filiżankę kawy. - Czy możemy zaczynać? Otóż umowa...

- Chciałbym zwrócić uwagę na fakt, że pani klient zaakceptował ją bez zastrzeżeń - przerwał jej Herman Beebe

głosem tak cierpkim i piskliwym, że Beth aż ciarki przeszły po plecach. - Nie widzę zatem powodu, dlaczego mielibyśmy wprowadzać jakiegokolwiek poprawki.

- Powód jest taki, panie Beebe, że pańska klientka zażyczyła sobie pewnych zmian w stosunku do oryginalnych planów. Zmiany te nie są objęte istniejącą umową.

- Istniejąca umowa zawiera kilka punktów mówiących o możliwości wprowadzenia zmian...

- Drobnych zmian, panie Beebe. Nie takich, które z czasem mogą wpłynąć na obniżenie wartości domu. Mój klient pragnie się zabezpieczyć; nie chce ponosić odpowiedzialności za to, że na skutek owych zmian nastąpi znaczna dewaloryzacja domu.

- Podpisał umowę. - Herman Beebe potrząsnął w powietrzu zapisanymi kartkami. Wyglądało to niezwykle dramatycznie, ale cały efekt psuł piskliwy głos mężczyzny.

- Ależ, Hermie, kochany - powiedziała cicho Mitzi.

- Jeśli trzeba spisać nową umowę, to spisemy nową umowę. Nie rozumiem, dlaczego się upierasz. Beebe zmarszczył czoło.

- Bo jestem pewien, że bez trudu znalazłabyś innego wykonawcę. Takiego, co respektowałby umowę, którą podpisał z własnej woli.

- Nie chcę innego wykonawcy. - Mitzi wyduła wargi, po czym patrząc Ryanowi w oczy, oznajmiła lekko ochryłym głosem: - Chcę Ryana.

Beth zakasłała. Ryanowi zadrżały kąciki ust i po chwili uśmiech rozjaśnił jego twarz. W tym momencie zza okna dobiegł żaloszny skowyt.

- O Chryste! - Mitzi poderwała się na nogi. - Tam jest jakieś zwierzę!

- To tylko Lolek - rzekł uspokajająco Ryan.

- Lolek? - Mitzi, przerażona, uniosła ręce do gardła.

- Chcesz powiedzieć, że to człowiek tak wyje? Jezu, biedak musi być ranny! - Mimo butów na wysokich obcasach, zdecydowanym krokiem okrążyła stół i podbiegła do okna.

Zaniepokojona skowytem, jaki wydał uwiązany do sznura szczeniak, Beth również poderwała się z miejsca.

- Lolek to mój pies - wyjaśniła, przyłączając się do Mitzi, której perfumy z bliska wręcz zwały z nóg.

Na widok obu kobiet Lolek zaczął ujadać radośnie.

- Och, jaki on słodki! - zawołała Mitzi, wytrzeszczając szeroko oczy. - Jaki śliczniutki! Cześć, skarbenku! - Pomachała do psa przez okno. - Cześć, cudna mordko!

Oczywiście psiak natychmiast się w niej zakochał. Postawił uszy, wbił w nią swoje duże, lśniące oczy i merdając ogonkiem, przekreślił w bok łebek, jakby się pytał: naprawdę uważasz, że jestem śliczny?

- Chcesz do nas przyjść, malutki? Czy Loluś chce przyjść do ciotki Mitzi? No powiedz...- Jeszcze nie jest nauczony dobrych manier - ostrzegła ją Beth.

- Nie szkodzi. Ciocia Mitzi lubi małych łobuziaków, zwłaszcza tak rozkosznych jak on. Fafelku, jakiś ty uroczy! - paplała Mitzi. - No, chodź do nas, malutki! Pomożesz nam spisać umowę, dobrze?

Beth przygryzła wargi. Z jednej strony podejrzewała, że jeśli będzie miała jakiegokolwiek obiekcje do wpuszczenia psa, Mitzi będzie miała obiekcje do nowej umowy. Z drugiej strony wcale jej się nie podobało, że biedny Lolek stoi pod oknem z sznurem wokół szyi niczym przestępca skazany na powieszenie.

- Powiem Lynne, żeby go przyprowadziła - rzekła w końcu, odwracając się od okna.

Idąc w stronę drzwi, by przekazać sekretarce polecenie, podchwyciła spojrzenie Ryana, który wciąż szczerzył zęby w czarującym uśmiechu. Tym razem uwodzicielska siła jego spojrzenia skierowana była na nią, na Beth, zupełnie jakby była jedyną obecną w pokoju kobietą. Jedyną, którą widział; jedyną, która się dla niego liczy.



## ROZDZIAŁ 5

Nie mógł oderwać od niej wzroku. Była niesamowita. Fenomenalna. I mimo że nie zachowywała się zalotnie, mimo że nikogo nie kokietowała, była bardziej seksowna niż jakakolwiek przestawicielka prawa, z jaką się w życiu zetknął.

Negocjacje trwały już ponad godzinę, a Ryan nadal wpatrywał się w Beth zafascynowany. Nie zdradzała żadnych emocji, żadnego zniecierpliwienia czy złości; emanowała spokojem i pewnością siebie, ale było w niej coś tajemniczego, coś, co sprawiało, że mężczyzna chciał wiedzieć, jaka jest, gdy zdejmuje maskę i pozwoli sobie na chwilę wytchnienia.

Podczas negocjacji ani razu sobie na nią nie pozwoliła.

Z kolei Mitzi zachowywała się jak Mitzi, czyli dąsała się, wydymała swoje pełne, pociągnięte szminką wargi, trzepotała rzęsami, co rusz prosiła Hermana, żeby dolał jej kawy, po czym ni stąd, ni zowąd mówiła do niego:

- Wiesz, Hermie, całkiem mi się ten punkt podoba. Nie sądzę, żeby mógł mi zaszkodzić.

Hermie zaś od początku do końca sprawiał wrażenie osoby głęboko nieszczęśliwej i totalnie nie przygotowanej, choć - trzeba mu to przyznać - kawę nalewał bardzo ładnie, nie brudząc, spodeczka.

No i był jeszcze Lolek. Lynne oczywiście zaczęła protestować, kiedy Beth poleciła jej przyprowadzić psa, i nie proszona wygłosiła długi wykład na temat średniowiecznych procesów, które toczyły się w ogromnych publicznych salach; czworonogi krążyły po kamiennych posadzkach, tu i ówdzie leżały wiązki siana, wszędzie zaś wały się zwierzęce odchody.

- Od tamtej pory cywilizacja poszła do przodu, ale jak widać, nie wszyscy to dostrzegli - mruknęła pod nosem, po czym zgodnie z poleceniem przyprowadziła psa do sali konferencyjnej.

Lolek pognał prosto do Mitzi, która natychmiast wzięła go na ręce i posadziła sobie na kolanach. Szczeniak dokładnie obwąchał jej spódnicę, po czym oparł się łapkami o ramiona kobiety i złożył na jej brodzie mokrego całusa. Beth spięła się; chciała wziąć psa i zestawić go na podłogę, ale okazało się, że ani obwąchiwanie, ani lizanie zupełnie Mitzi nie przeszkadza. Przeciwnie, była zachwycona.

- Jejku, jakiś ty uroczy!

- Przepraszam - powiedziała cicho Beth. - Nie jest jeszcze zbyt dobrze wychowany. Dopiero czeka go tresura.

- Mali chłopcy nigdy nie są zbyt dobrze wychowani - oznajmiła z wszystkowiedzącą miną Mitzi.

- Z czasem jedni dają się łatwo wytresować, a inni do końca pozostają niepokorni i zbuntowani.

Herman chrząknął speszony, Beth uśmiechnęła się nieznacznie.

- A ty, śliczniutki? - szczebiotała Mitzi, zwracając się do Lolka. - Pozwolisz się okiełznać czy wyrośniesz na dzikusa?

- Wyrośnie na dzikusa - mruknął pod nosem Herman. Mitzi posłała adwokatowi karcące spojrzenie, po czym

z wprawą wydymając wargi, zdjęła psa z kolan i delikatnie postawiła go na podłodze.

- W porządku - rzekła. - Skoro płacę od godziny, nie będę marnować więcej czasu. Więc na czym skończyliśmy?

Wrócili do omawiania umowy. Przez resztę poranka pies, znudzony toczącą się przy stole rozmową, krążył po pokoju, obwąchiwał kąty, od czasu do czasu przewracał się na wznak i szorował karkiem o dywan, skomlał, dyszał i patrzył tęsknym wzrokiem w okno, jakby marzył o tym, aby znów znaleźć się na dworze.

- Chyba mu się pić chce - zauważyła w pewnej chwili Mitzi.

- Może trzeba dać mu wody...

- Dam, jak tylko skończymy pracę - obiecała Beth, skoncentrowana na wynegocjowaniu jak najlepszych warunków dla swego klienta.

Ryan obserwował ją ze zdumieniem. Wiedział, jak bardzo Beth troszczy się o szczeniaka, ale najwyraźniej nic nie było w stanie jej rozproszyć, kiedy zajmowała się pracą. Nic, nawet ukochane psisko. Dziś była osobą twardą, nieugiętą, z głową na karku, a nie w chmurach.

Podobnie jak Lolek, który nie mógł usiedzieć spokojnie, Ryan również przenośił się z miejsca na miejsce - tyle że myślami; na moment przystawał tu, potem przeskakiwał tam, badał, węszył, sprawdzał. I tak jak Lolek, który kręcił się pomiędzy Beth a Mitzi, omijając Hermana, tak też myśli Ryana obracały się wokół obu kobiet.

Tego dnia Mitzi była totalnym przeciwieństwem Beth. Zamiast skupić się na dyskusji, która bądź do bądź dotyczyła budowy jej domu, co rusz rozpływała się w zachwytach nad psem. Nie miała w sobie nic z hardości i stanowczości Beth. Po prostu sprawiała wrażenie osoby miękkiej, uległej. Z wyglądu też: miała zaokrąglone biodra, wydatny biust, chmurę gęstych włosów. Gdyby nagle pojawił się przybysz z innej planety i spytał Ryana o definicję słowa „kobiecość”, Ryan wiedział, że nie musiałby nic mówić - wystarczyłoby wskazać na Mitzi.

Odkrył ze zdziwieniem, że znacznie bardziej od kobiecości Mitzi intryguje go rzeczowość Beth. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu podniecał go jej profesjonalizm oraz sumienność. Nigdy dotąd nie przepadał za ludźmi ambitnymi, którzy żyją tylko pracą i za wszelką cenę dążą do sukcesów. Był spokojnym, łagodnym człowiekiem i lubił spokojne, łagodne kobiety, a jednak...

Sam nie był pewien, co go tak urzekło. Może determinacja, z jaką uderzała palcami w klawisze komputera, a może sposób, w jaki marszczyła nos, kiedy analizowała poszczególne punkty umowy. Może jej skromność, to, że bluzkę miała zapiętą po

samą szyję, a może to, że mimo skupienia, mimo że zmierzała prosto do celu jak doświadczony pilot podczas burzy, zawsze leciutko gładziła stopą Lolka po brzuchu, gdy psina podchodziła blisko. To, że w tym samym czasie potrafiła robić dwie różne rzeczy, nogą jedno, a głową coś zupełnie innego, zakłócało poczucie równowagi Ryana, nie mówiąc o tym, że działało na niego podniecająco.

Beth ponownie zapisała coś w komputerze, po czym przewróciła stronę w swoim egzemplarzu umowy.

- Zostało jeszcze kilka punktów.

- Moim zdaniem ten ustęp u góry szóstej strony można zostawić jak jest - oznajmiła Mitzi. - Dotyczy nie domu, lecz ubezpieczenia, prawda?

- Dotyczy odpowiedzialności finansowej.

- No tak, - ale... - Uśmiech rozpromienił twarz Mitzi; nawet brylantowe kolczyki w jej uszach nie świeciły tak jasno jak iskierki w jej oczach. - Oboje jesteśmy ubezpieczeni, i ja, i Ryan. Mnie nie interesuje, na jaką sumę on jest ubezpieczony, uważam więc, że jego nie powinno obchodzić moje ubezpieczenie. Nie rozumiem, dlaczego miałby mieć cokolwiek do powiedzenia w tej sprawie...

- Wyjaśnię to pani - rzekła Beth. - Otóż jeśli wynikną problemy spowodowane jakąkolwiek zmianą w stosunku do oryginalnych planów, pani firma ubezpieczeniowa będzie starała się odzyskać pieniądze z firmy ubezpieczeniowej Ryana, i dlatego Ryan powinien się zabezpieczyć. Firmy ubezpieczeniowe dogadują się między sobą, wypłacają odszkodowania, a potem podnoszą klientom stawki.

- A nie mogłabym załatwić z moim ubezpieczycielem, żeby ewentualne szkody pokrył z mojej polisy, bez dochodzenia odszkodowania z firmy Ryana?

Trzepocząc rękami, Mitzi popatrzyła pytająco na Hermana, który ocknął się z zadumy i zaczął studiować odpowiedni ustęp. Ryan był ciekaw, czy Mitzi płaci za usługi Hermana tyle samo

co on za usługi Beth. Znając jednak stosunek Mitzi do pieniędzy, podejrzewał, że Herman zarabia znacznie lepiej. Oczywiście jego zdaniem, Hermie jako prawnik niewart był złamanego grosza, ale może Mitzi po prostu lubi mieć przy sobie kogoś, kto by jej nalewał kawę.

Lolek, wreszcie usatysfakcjonowany głaskaniem po brzuszku, ułożył się na nodze swej pani, oparł łebek o przednie łapki i westchnął błogo. Ryan poczuł lekkie ukłucie zazdrości. Sam też chętnie przytuliłby się do Beth, chociaż może niekoniecznie do jej nogi.

Dlaczego bez przerwy fantazjuje na temat Beth? Dlaczego nie na temat Mitzi? Nie chodzi mu o samą inteligencję, bo przecież młoda wdowa na swój sposób też jest mądrą kobietą. Nie chodzi mu również o urodę, bo co jak co, ale pod tym względem niczego Mitzi nie brakuje. Dlaczego więc Beth? Co go ciągnie do tej samej kobiety co Lolka? Dlaczego ta skromna blondynka sprawia, że jest bliski obłędu?

Stanowi zagadkę. W jej konserwatywnym stroju i enigmatycznym spojrzeniu kryje się wiele tajemnic. Jest osobą kompetentną, a zarazem łatwo wprawić ją w zakłopotanie. Ubóstwia swojego psa i pozwala mu na wszystko, z kolei w pracy rządzi niepodzielnie i w niczym nie ustępuje. Kiedy uśmiecha się do Ryana, jej uśmiech zdaje się mówić i „tak”, i „nie”, czasami „nie wiem”, czasem „chciałabym” albo „boję się”.

- Obecna umowa powinna cię zadowolić...

Ryan wrócił myślami do rzeczywistości i skupił się na słowach Beth. Starał się na nią nie patrzeć, żeby ruchy jej warg przypadkiem go nie rozpraszały. Mniej więcej orientował się, co zawierają poszczególne punkty umowy, ale tylko mniej więcej, bo Jeff aż tak dokładnie mu wszystkiego nie tłumaczył.

- Biorąc pod uwagę budowę oranżerii, przerobiłam ustęp dotyczący gwarancji na ogrzewanie domu. Zabezpieczyłam cię

również na wypadek, gdyby zamarzyły rury doprowadzające wodę do podgrzewanego basenu na zewnątrz.

- Muszę się z tym przespać - oświadczyła Mitzi, składając swój egzemplarz. - Nigdy się do niczego nie zobowiązuję, dopóki z daną sprawą się nie prześpię. Uważam, że w łóżku człowiek najlepiej poznaje swoje najgłębsze uczucia. Chyba się pani ze mną zgadza?

Beth posłała Mitzi słaby uśmiech, ale najwidoczniej słowa wdowy wprawiły ją w zakłopotanie, bo - ku uciesze Ryana - oblała się rumieńcem. Kolejny przykład świadczący o jej skomplikowanej, pełnej sprzeczności naturze. Z jednej strony jest inteligentną prawniczką, która wiele lat żyła i praktykowała w dużym mieście, a z drugiej strony jakiegokolwiek aluzje do łóżka czy seksu sprawiają, że natychmiast traci rezon.

Nagle pod stołem rozległo się głośne chrapnięcie. Beth parsknęła śmiechem i wyciągnęła nogę spod psiego łba.

- Ktoś, kto zasypia w trakcie spotkania z klientem, nigdy nie zostanie wziętym prawnikiem.

- Nie szkodzi. I tak jest cudowny - zaszczebiotała Mitzi, a kiedy pochyliła się, żeby popatrzeć na śpiącego psiaka, biust omal nie wysunął się jej z wycięcia żakietu. - Zazdroszczę pani. Chciałabym mieć takiego psa, ale za dużo podróżuję. Od czasu do czasu muszę wpaść i do domu w Boca, i do chałupy nad jeziorem Winnepesaukee, i do rezydencji na placu Louisburg. Pewnie mogłabym kupić takiego zabawnego, małego pieska, któremu wiąże się kokardkę na czole, i wszędzie go z sobą wozić, ale wtedy już zupełnie nikt nie traktowałby mnie poważnie - dokończyła Mitzi ze śmiechem.

Ryan nie był pewien, jak zareagować: czy powinien zaprotestować, czy również wybuchnąć śmiechem, czy po prostu milczeć. Zerknął na Hermana, ale ten miał taką minę, jakby cierpiał na niestrawność. I nagle po swej lewej stronie usłyszał śmiech Beth, niski, gardłowy, zmysłowy, który przyprowadził go o dreszcz.

Popatrzył na nią zaintrygowany. Rozbawienie jednej harmonizowało z wesołością drugiej. To było tak, jakby obie odbierały na tej samej fali, całkiem niedostępnej dla mężczyzn, i jakby wspólnie odkryły jakąś nieznaną prawdę o samotnych kobietach, psach, no i może facetach.

Ciekaw był, co je tak rozśmieszyło, ale żadna nie zamierzała go wtajemniczać. Zdał sobie sprawę, że długo będzie musiał badać, węszyć, drażnić, zanim zdoła rozszyfrować zagadkę, jaką stanowi dla niego Beth.

Kobiety szczerze, nieskomplikowane... O ileż łatwiejsza jest z nimi znajomość. Oferują proste, niewyszukane przyjemności, nie wprowadzają zamętu. Nie zmuszają do tego, aby wyteżać intelekt, nie zostawiają ran w sercu. Ale z jakiegoś powodu Ryana kusila próba rozwikłania zagadki, poznania odpowiedzi.

Najzwyczajniej w świecie pragnął Beth.

- Mówiłeś, że to jest jak sznur do wieszania bielizny, do którego doczepia się smycz - powiedziała Beth, patrząc, jak Ryan wyciąga z furgonetki drewnianą szpulę z nawiniętym na nią spłaszczonym kablem.

Stała na podjeździe, z rękami wetkniętymi do kieszeni dzinsowych rybaczek, i rozpaczliwie walczyła z sobą, by zachować spokój. Wczoraj w pracy była niemal uosobieniem opanowania. Owszem, w pierwszej chwili przeżyła szok, Mitzi bowiem wyglądała jak modelka w katalogu z erotyczną odzieżą, ale później już ani razu nie straciła zimnej krwi.

Prawdę mówiąc, Beth poczuła do Mitzi sympatię. Każdy, kto lubił Lolka, z miejsca był przez nią akceptowany. W dodatku Mitzi była o wiele bardziej inteligentna, niż to się innym wydawało. Hermana, na przykład, całkowicie sobie podporządkowała; w sprawie umowy biedak właściwie nie miał nic do gadania.

Tego ranka Beth nie występowała jako doradca prawny. Sobotnie spotkanie z Ryanem dotyczyło wyłącznie jej i jego, a ponieważ nie znajdowali się na neutralnym gruncie, tylko u niej

przed domem, była okropnie zdenerwowana i znacznie mniej pewna siebie, niżby sobie życzyła.

Miał na sobie sprane jasnoniebieskie dzinsy, czarną koszulkę i stare buty sportowe. Wyglądał w tym stroju młodzieńczo, może nawet zbyt młodzieńczo; stanowił jakby dwunożny odpowiednik Lolka, tyle że potencjalnie mógł wyrządzić sporo więcej szkód.

Patrząc na swoje chude, nieopalone łydki, Beth zaczęła żałować, że nie włożyła długich spodni albo szortów. Sięgające kolan rybaczki były nudnym, nijakim strojem, chętnie noszonym przez kobiety, którym jest gorąco, a które boją się obnażyć trochę więcej ciała. Bawełniana bluzka bez rękawów zachodziła wysoko pod szyję. Na myśl o obcisłym, różowym zakiecie Mitzi, Beth uśmiechnęła się cierpko pod nosem. Na coś takiego ona sama nigdy nie będzie mogła sobie pozwolić, przynajmniej nie w tym życiu.

Widząc Ryana, Lolek zaczął radośnie ujadać. Ciągnął za smycz, której koniec Beth oplótła wokół nadgarstka, wyrwał się, z całego serca pragnąc podbiec do mężczyzny i czule się z nim przywitać.

- Mam wszystko, co nam potrzeba - oznajmił Ryan, wyjmując z furgonetki zwój sznura i kilka metalowych kółek.

- Tak zwaną biegówkę oraz elektryczne ogrodzenie. Pomyślałem sobie, że to może lepiej zda egzamin. - Sięgnął po skrzynkę z narzędziami, po czym zgarnął wszystko w ramiona i ruszył w stronę domu.

- Elektryczne ogrodzenie? - powtórzyła zdziwiona. Okrzyknął wrywającego się psa, po czym wskazał brodą na dom.

- Kawał solidnej roboty, no nie? - spytał.

- Mam nadzieję. - Beth uśmiechnęła się niepewnie.

- Nie chciałabym, żeby dach mi się zwałił na głowę.

- Ostatni raz widziałem tę chałupę z bliska jakieś pięć lat temu, kiedy mój znajomy instalował tu piec w salonie. Pamiętam, że sprzedałem mu jakieś materiały, które mi zostały z



poprzedniej budowy. W każdym razie zazdrościłem właścicielom pieca. Myślę, że wciąż porządnie grzeje.

- Nie wiem. Jest czerwiec, środek lata. Na razie chłodzenie jest ważniejsze od ogrzewania.

- Słusznie - przyznał ze śmiechem, po czym dodał: -W starych domach zawsze się coś psuje, ale ogólnie rzecz biorąc, nie powinnaś mieć żadnych większych kłopotów czy niespodzianek. Hej, mały! Przestań mi deptać po nogach! - zawołał do psa.

Lolek podniósł na moment łeb, po czym znów zabrał się do wachania.

- Typowy samiec - stwierdziła Beth. - Nie słucha, co się do niego mówi.

- Niektórzy samce słuchają.

- Na przykład? - Pociągnęła ostro za smycz.

- Na przykład Hermie Beebe. Trudno było temu zaprzeczyć.

- Tak, ale Hermie Beebe słuchał Mitzi Rumson. Podejrzewam, że każdy facet dałby się Mitzi okręcić wokół palca.

- A gdyby któryś się stawiał, to znając Mitzi, myślę, że włożyłaby mu kolczatkę i szybko przywołała do porządku.

Kolczatki. Elektryczne ogrodzenia. Sznury i metalowe kółka. Beth niemal zaczęła żałować, że ktoś jej nie przywołał do porządku, zanim straciła rozum i kupiła psa. Tresura upartego czworonoga wydawała się jej znacznie większym wyzwaniem niż końcowy egzamin z prawa.

- To elektryczne ogrodzenie... na czym ono polega? Bo wiem, że na farmach mają ogrodzenia pod napięciem, żeby krowy nie wychodziły poza wyznaczony teren...

- To działa na podobnej zasadzie, tylko nie wiem, czy tu się sprawdzi.

- Nie sprawdzi się. Na pewno nie - oznajmiła stanowczo.

- Nie życzę sobie, żeby metalowe ogrodzenie otaczało mój dom. Zwłaszcza takie, przez które przebiega milion woltów prądu.

Widząc jej oburzenie, Ryan wybuchnął śmiechem.

- Całe ogrodzenie składa się z jednego wąskiego drutu, który w dodatku puszczone jest pod ziemią. Nic nie widać.

- Więc po co go w ogóle montować? W jaki sposób powstrzyma Lolka przed ucieczką?

- W taki, że Lolek będzie nosił specjalną obrozę. Jeśli przekroczy ukryty pod ziemią drut, kopnie go prąd.

- Kopnie go prąd? - W głosie Beth zabrzmiało przerażenie.

- Nie denerwuj się. Poczuje tylko lekkie szczygnięcie. Nawet go nie zaboli. Jedynie trochę przestraszy i zmusi do cofnięcia się.

- Chcesz mi ukatrupić psa - powiedziała oskarżycielskim tonem.

- Mylisz się. Chcę go uchronić przed śmiercią. Inaczej mógłby wpaść pod koła nadjeżdżającego samochodu - wyjaśnił Ryan. - W ten sposób zaś będzie miał większą swobodę ruchu, niż gdyby był przywiązany do biegówki.

Dotarli na tył domu. Przez moment Ryan wpatrywał się w mały ganek, następnie rozejrzał się po ogrodzie, po rosnących tu i ówdzie drzewach, trawie, po czym ponownie utkwiał wzrok w ganku.

- Taras - mruknął cicho pod nosem.

- Słucham?

- Potrzebny ci taras. Duży, piękny taras. Te drzwi prowadzą do kuchni, prawda?

Pies plątał się między nogami mężczyzny, co rusz ciągnąc mocno za smycz, którą Beth trzymała owiniętą wokół nadgarstka. Celem wizyty Ryana było zapewnienie psu bezpieczeństwa i Lolek robił co mógł, żeby przypadkiem nikt o nim nie zapomniał.

Beth nie liczyła na to, że w świecie, który zamieszkują takie kobiety jak Mitzi, ona - Beth - może zająć miejsce w sercu Ryana, czuła jednak, że powoli rodzi się między nimi nić sympatii. Spodziewała się, że oboje przypadną sobie do gustu,

ale nie spodziewała się, że Ryan tak bardzo się zapalił do wykonywania przeróbek w jej domu.

- Pomyśl tylko, Beth - mówił z przejęciem. - Taras szerokości pięciu metrów, długości siedmiu. - Cudem nie upuszczając na ziemię narzędzi i innych przedmiotów zabranych z furgonetki, kreślił w powietrzu to, co widział oczami wyobraźni. - Mogłabyś wynieść na zewnątrz stół, krzesła, jadać tu posiłki...

- Mieliśmy zamontować biegówkę dla Lolka - wtrąciła nieśmiało.

- Albo jeszcze lepiej: ogromna weranda z dachem i siatką w oknach. Wtedy mogłabyś jeść na dworze niezależnie od pogody.

- Po co mam jadać na werandzie, skoro mogę w kuchni albo w jadalni?

- Bo miło przebywać na powietrzu, a powietrze w De-von jest czyste i pachnie świeżością. - Na widok niepokoju w oczach Beth, roześmiał się. - Przepraszam, to choroba zawodowa. Jestem jak rzeźbiarz, który widząc kawałek gliny, natychmiast chce coś ulepić.

- Mój dom to nie kawałek gliny - oburzyła się, choć prawdę mówiąc, spodobał się jej pomysł tarasu, który byłby swego rodzaju przedłużeniem domu i z którego rozciągałby się widok na pobliski las.

Lolek głośnym szczekaniem zaczął domagać się uwagi.

- No dobrze, piesku - powiedział Ryan. - Dziś zajmijmy się tobą. Czyli albo montujemy biegówkę, albo elektryczne ogrodzenie. Ja jestem za ogrodzeniem...

- Naprawdę nie będzie go bolało?

- Poczuję najwyżej tyle...

Ryan wyciągnął rękę i uszczypnął lekko Beth. Istotnie, nie bolało. Przypominało bardziej pieszczotę niż szczypnięcie. Ze zdziwieniem spostrzegła, że w miejscu, gdzie jej dotknął, nie pozostał nawet ślad.

- Jak widzisz, nie boli, a pies będzie bezpieczny.

Podniosła oczy i napotkała jego świdrujący wzrok. Ryan stał dosłownie parę centymetrów od niej.

Ale ja nie jestem psem! - miała ochotę krzyknąć. Nie chcę żyć za ogrodzeniem!

Nie była to jednak prawda. Zależało jej bowiem na tym, aby mieć poczucie bezpieczeństwa, zaś przekroczenie niewidocznej, magicznej granicy wiązało się z ryzykiem, którego się bała. Z ryzykiem, które nie było tego warte. Niewinny, platoniczny flirt, proszę bardzo, ale wiedziała, że to Ryanowi nie wystarczy, a z chwilą, kiedy by się zorientował w sytuacji, kiedy zrozumiałby, dlaczego ona zawsze nosi luźne, zapięte pod szyją bluzki, uciekłyby gdzie pieprz rośnie. Wcale nie miałyby do niego pretensji. Każdy mężczyzna by tak postąpił. Dlatego też nie widziała powodu, żeby eksperymentować i świadomie zbliżyć się do ogrodzenia, gdyby wynikiem takiego zbliżenia miało być wyłącznie porażenie prądem.

- Potrzeba by strasznie dużo tego drutu, żeby otoczyć cały teren - oznajmiła lekkim tonem.

- To prawda, ale pomyślałem, że można by ogrodzić tylko kawałek za domem, mniej więcej hektar ziemi. Wtedy Lolek miałby trochę słońca, trochę cienia, w sumie całkiem sporo miejsca. Mógłby ganiać za wiewiórkami, potem chleptać wodę z miseczki, którą zostawiałabyś mu pod tarasem...

- Pod jakim tarasem? - zdziwiła się. - Nie mam... - Nagle wybuchnęła śmiechem.

- Ale możesz mieć. Możesz mieć najwspanialszy taras na świecie. I ja mogę ci go zbudować.

Wtem tknęło ją, że może wizyta Ryana ma ukryty cel. Że może wcale nie przyszedł tu kierowany troską o bezpieczeństwo Lolka ani z przyjaźni do niej, lecz z egoistycznych pobudek, licząc na zarobek. Może niepotrzebnie się przejmuje? Może jego zmysłowy uśmiech wcale nic nie znaczy?

Poczuła się jak idiotka. Po prostu ubzdurała sobie, że pomiędzy nią a Ryanem nawiązuje się nic sympatii. Czerwieniąc się ze wstydu, pochyliła głowę i spytała:

- Ile to będzie kosztować?

- Taras? Zależy od wielkości. Używam najlepszych gatunkowo materiałów, ale...

- Nie. Chodzi mi o dzisiejszą robotę.

Oderwał wzrok od ganku i spojrzał na Beth. Poranne promienie słońca sprawiały, że rysy jego twarzy nabrały wyjątkowej ostrości.

- Nie wygłupiaj się. Zdobyłem to wszystko za darmo. Pewien dostawca był moim dłużnikiem, więc...

Czuła się coraz bardziej nieswojo.

- A robocizna? A czas?

- Tak, za robociznę zwykle słono sobie liczę, ale od ciebie niczego nie chcę.

- Dlaczego?

Położył przyniesiony z wozu sprzęt na ziemi, po czym zacisnął ręce na ramionach Beth i lekko nią potrząsnął.

- Ocknij się. Przecież sam zaproponowałem ci pomoc. Dlaczego miałbym cokolwiek za nią brać?

- Boja ci liczę za swoje usługi.

- To zupełnie co innego. Za twoje usługi płacę nie ja, lecz firma, i firma będzie budować twój taras, jeśli się na niego zdecydujesz. Ale ogrodzenie dla Lolka montuję ja, Ryan Walker, osoba prywatna, która ma ochotę wyświadczyć ci przyjacielską przysługę. A może nie tyle tobie, co tej nieposłusznej psinie - dodał, patrząc, jak Lolek obwąchuje skrzynkę z narzędziami. - Czy wyraziłem się dość jasno?

Owszem, wyraził się jasno. Ale nie to było ważne; ważne było ciepło, które biło z jego dużych, twardych rąk i powoli rozchodziło się po całym jej ciele. Była zdumiona swoją reakcją; miała wrażenie, że wszystko w niej wibruje, płonie, a

przecież dotyk Ryana był neutralny, nic nie znaczył, niczego nie obiecywał.

- Dobra. - Puścił ją i schylił się po narzędzia.

- Czyli podziemne ogrodzenie, tak?

- Jeśli jesteś pewien, że Lolkowi nic się nie stanie... Zadrzała, jakby z chwilą, gdy zabrał ręce, zrobiło jej się

zimno. Korciło ją, żeby potrzeć ramiona, spróbować wzniecić wygasły żar.

- Zobaczysz, Lolek będzie zachwycony - obiecał.

- Nareszcie będzie mógł ganiać do woli, nie bojąc się, że straci drogę albo wpadnie pod samochód. Prawda, mały? -

Podrapał psa za uszami, ten zaś wyszczerzył zęby w psim uśmiechu.

Świetnie, pomyślała Beth i postanowiła uodpornić się na wdzięki Ryana. Niech szczeniak wodzi za nim rozkochanym wzrokiem.

- Co mam robić? - zawołała, patrząc, jak mężczyzna obchodzi ogród za domem, liczy kroki, wyznacza w głowie teren do ogrodzenia.

- Kiedy? Teraz? - Nawet na nią nie spojrział. Wlokąc za sobą nogę, rysował kreskę w miękkiej ziemi. - Przygotuj dzban mrożonej herbaty.

Doskonale, pomyślała. Pójdzie do kuchni i przygotuje dzban herbaty. Nie będzie mu wchodzić w drogę.

Zsunęła z ręki smycz i przywiązała ją do jednego ze słupków przy ganku: niech głupia psina siedzi na dworze i wodzi oczami za swym idolem. Sama zaś udała się do kuchni; po chwili otwierała i zamykała z hukiem szafki, odkręcała krany, tacką z lodem raz po raz waliła o blat, jakby usiłowała zabić karalucha. Kilka kostek lodu wleciało prosto do zlewozmywaka.

Uspokój się, zganiała się w duchu. Weź parę głębokich oddechów. Nie pozwól, żeby Ryan się do ciebie zbliżył. Nie pozwól, by rozbudził w tobie uczucia i sprawił, że niepomna niebezpieczeństw odcumujesz łódź od brzegu i wypłyniesz na

głęboką wodę. Chociaż przez moment kusilo ją, by zaszaleć, to jednak wiedziała, że w gruncie rzeczy nie jest jeszcze gotowa na tak ryzykowny krok - na to, aby przekroczyć magiczną linię i dostać od życia kopa.

Przyjechała do Devon, aby odzyskać zdrowie, a nie po to, by od nowa cierpieć. Dopóki będą znajomymi, przyjaciółmi, Ryan nie może jej skrzywdzić.

Po godzinie łały się z niego strugi potu.

Beth obserwowała przez okno kuchenne, jak Ryan kopie płytki, wąski rów, umieszcza w nim drut, po czym zasypuje rów ziemią. Widziała, że twarz ma lśniąca od potu, że włosy opadają mu w strąkach na szyję, że koszula lepi mu się do pleców. Kilka razy wychodziła do ogrodu, by spytać, czy na pewno nie potrzebuje pomocy. Za pierwszym razem odpowiedział, że nie; za drugim - poprosił o szklankę wody.

- Przygotowałam mrożoną herbatę - rzekła.

Uśmiechnął się, wierzchem dłoni otarł pot z czoła i oznajmił cicho, że tylko wizja mrożonej herbaty trzyma go jeszcze przy życiu.

A zatem, pomyślała ze smutkiem, facet haruje ciężko, zlewa się potem, napręża mięśnie, bezwiednie dając wspaniały popis swoich możliwości fizycznych... i jedyne, czego chce od niej w zamian, to szklanka zimnej herbaty.

Próbowała wmówić w siebie, że tylko tyle gotowa jest mu ofiarować, tylko tę szklankę herbaty, ale wiedziała, że się okłamuje; patrząc, jak Ryan pracuje, czuła się pobudzona. Ruszyła w stronę drzwi, żeby jeszcze raz zaproponować swą pomoc, kiedy nagle zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę i ustawiła się tak, aby podczas rozmowy móc obserwować widok za oknem.

- Halo?

- Cześć. Jak leci?

Uśmiechnęła się pod nosem, dobrze wiedząc, o co Cindy tak naprawdę pyta. Widocznie przyjaciółka nie mogła się doczekać,

kiedy Beth zadzwoni do niej i zda sprawozdanie z wizyty Ryana.

- Świetnie. A co u ciebie? Wszystko w porządku?

- Tak.

Chyba jednak nie całkiem wszystko było w porządku, bo z drugiego końca linii dolatywał płacz Eryki, głośny jak ryk syreny alarmowej.

- Co się dzieje? Coś małej dolega?

- Nie. Po prostu Jeff uczy się ją przewijać.

- Jezu, jak ona ryczy.

- Wiem. Ma bardzo silne płuca. Wyobraź sobie, że takie odgłosy stale towarzyszą mi w domu. Ale dość o mnie. Pomówmy o tobie.

- Lepiej nie - powiedziała Beth.

- Ryan jeszcze nie wyszedł? Zabezpiecza teren dla twojego kudłatego przyjaciela?

- Stara się zabezpieczyć. A Lolek zupełnie oszalał na jego punkcie.

Faktycznie, odkąd Beth zostawiła go na dworze, aby dotrzymywał Ryanowi towarzystwa, szczeniak wydawał z siebie same radosne odgłosy.

- To może jednak Lolek jest samiczką? Albo samcem o skłonnościach homoseksualnych?

- Lolek, moja droga - odparła Beth - ma bzika ma punkcie każdego, kto go głaszcze po brzuszku.

- Mądry piesek. - Cindy wybuchnęła śmiechem. - Słuchaj, jeśli nie masz planów na wieczór, to może będziecie wpadli do nas na kolację? Ty i Ryan.

- Ja i Ryan? Pozwól, że cię o coś spytam, tak z czystej ciekawości. Czy zaproszenie jest ważne tylko dla nas dwojga? Czy gdybym chciała przyjść bez Ryana, to zostałoby cofnięte?

- Ależ skąd! - W głosie Cindy brzmiała nuta oburzenia

- Za kogo ty mnie uważasz! Jeżeli chcesz przyjść sama, proszę bardzo, przyjdź sama. - Na moment zamilkła, po czym



dodała lekkim, żartobliwym tonem: - Ale nie miej do mnie pretensji, jeśli tak się akurat złoży, że Jeff zaprosi Ryana.

Beth wciągnęła gwałtownie powietrze. Ryan właśnie zdjął koszulę, ukazując szerokie ramiona, opalone na złocisty brąz; miały kolor koniaku i jak koniak mogły przypawić o zawrót głowy. Osoba obdarzona instynktem samozachowawczym wiedziałaby, że w tym momencie należy czym prędzej zamknąć oczy.

Widocznie Beth tego instynktu nie posiadała. Stała jak zahipnotyzowana, patrząc, jak Ryan przeciera koszulą szyję i kark, a potem wolno wkłada koszulę z powrotem, zostawiając ją nie zapiętą.

Zła na siebie, odwróciła się od okna. Wystarczył jeden rzut oka na ramiona i plecy Ryana, by pozbyła się wszelkich złudzeń; facet tak świetnie zbudowany po prostu nie jest dla niej.

- Cindy, wyświadczyć mi drobną przysługę, dobrze? Nie próbuj mnie wyswatać.

- Chryste, Beth, zaprosiłam cię na kolację, nie na orgię!

- Zaprosiłaś nas, nie mnie. A to różnica.

- Ale z ciebie uparty osioł.

Trudno, pomyślała Beth. Nie czuła się jeszcze na siłach, aby wdawać się w jakiegokolwiek romanse. Zamieniając Nowy Jork na Devon sądziła, że jest gotowa rozpocząć nowe życie, zapomnieć o przeszłości, wreszcie być normalną kobietą, a nie pacjentką po operacji. Ale się myliła. Czuła się coraz lepiej fizycznie i psychicznie, wiedziała jednak, że jeśli zamierza prowadzić życie towarzyskie, powinna spotykać się z mężczyznami, którzy nie byłiby tak przeraźliwie przystojni.

- Nie gniewaj się - rzekła do przyjaciółki - ale wolałabym zostać dziś sama.

- Jak chcesz.

Nagle Eryka zawyła tak głośno, że Beth podskoczyła.

- Zdaje się, że Jeff coraz gorzej sobie radzi - stwierdziła Cindy.

- Lepiej ratuj moją chrześniaczkę, zanim tatuś zrobi jej krzywdę.

- Boże! - Cindy parsknęła śmiechem. - Właśnie rozpadło się pudło z mokrymi chustkami do mycia pupy niemowlaka. Cała podłoga jest nimi zavalona. Już idę, Jeffrey! - zawołała do męża. - Spokojnie, nie panikuj!

Na drugim końcu linii Beth słyszała głos Jeffa, na szczęście był jednak zbyt przytłumiony, aby mogła zrozumieć poszczególne słowa.

- No dobra, Cindy, leć do męża. Biedak potrzebuje cię bardziej niż ja.

Pożegnały się szybko. Zanim Beth odłożyła słuchawkę, złość i napięcie z niej wyparowały. Przecież Cindy chciała jak najlepiej. Próbowwała wciągnąć ją z powrotem w świat żywych - w świat, w którym ludzie kochają się, a przynajmniej od czasu do czasu uprawiają miłość. Owszem, Beth tęskniła za takim światem, za takim życiem, ale nie zamierzała do niego wracać, dopóki sama nie poczuje się na siłach.

Zresztą Jeff pewnie nie miał ochoty na gości, chociaż kto wie, do wieczora może mu się odmienić. Wyobraziła sobie, jak stoi po kostki w stercie wilgotnych chustek, z wyjąca, wiercąca się Eryką na rękach. Obraz był tak śmieszny, że zarechotała pod nosem.

- Co cię ubawiło?

Odwróciła się zaskoczona. W progu stał Ryan, brudny, spocony, zmęczony. I zapiął koszulę - za co powinna być mu wdzięczna.

- Rozmawiałem z Cindy. Okazało się, że Jeff i Eryka... Urwała, zdając sobie sprawę, że Ryan w ogóle jej nie

słucha. Rozglądał się po kuchni, badał ją wzrokiem niemal centymetr po centymetrze, poczynając od ściany przy drzwiach wychodzących do ogrodu, przez szafki, lodówkę, drzwi

prowadzące do jadalni, kuchenkę, kolejne szafki, zlew, stół z krzesłami, a kończąc na oknie oraz podłodze.

- Przydałby się tu generalny remont - zawyrokował wreszcie.

- Jest takie mądre przysłowie: Jak masz coś miłego do powiedzenia, to mów, jak nie masz, to milcz.

- Przepraszam. - Uśmiechnął się. - Po prostu ta kuchnia ma niesamowity potencjał.

Wybaczyła mu. Była coraz bardziej przychylnie nastawiona do pomysłu tarasu, toteż ciekawiło ją, jakie jeszcze Ryan ma propozycje. A kuchnia istotnie wymaga remontu.

- Niesamowity potencjał? Zamieniam się w słuch.

- No więc gdybym miał pieniądze, odnowiłbym ten stary kredens, zainwestował w nową podłogę, dokupił kilka sprzętów. Na środku wstawiłbym wielki stół z kuchenką i ladą do krojenia. Poza tym wyrzuciłbym mały porcelanowy zlew, na jego miejsce dał podwójny, z nierdzewnej stali, a na szafki położyłbym nowe blaty. Byłoby pięknie. Wszyscy pożółkliby z zazdrości.

- Pożółkliby?

- Na sto procent. - Podeszedł do zlewu, odkręcił kurek z zimną wodą i opłukał twarz. - Uf, znacznie lepiej... A teraz czy mogę prosić o szklankę mrożonej herbaty?

- Skończyłeś ogrodzenie?

- Tak. Wszystko gotowe. Zaraz włożymy Lolkowi obrozę i zrobimy próbę generalną. Tylko najpierw chciałbym się czegoś napić...

- Oczywiście. - Wyjęła z lodówki dzban.

- Co to? - spytał, wskazując na dużą metalową skrzynię stojącą w rogu, nieopodal szafki na miotły.

Sięgając po szklanki, Beth obejrzała się przez ramię.

- Lynne mówiła, że w ten sposób można nauczyć zwierzę czystości. Nie wiem, czy to skutkuje, ale...

- Skutkuje, skutkuje - zapewnił ją Ryan. - Umieszczasz tam psa na noc. Pies się w skrzyni nie załatwi, bo nigdy nie załatwia

się tam, gdzie śpi. Potem stopniowo rozszerzasz obszar psiej sypialni, żeby obejmowała cały dom.

- Dotychczas tylko raz z tego korzystałam. Rano wypuściłam Lolka na dwór, no i sukces! Po raz drugi od tygodnia nie musiałam zmywać przed śniadaniem podłogi.

- Gratulacje! - Otoczył ją ramieniem i uściskał ciepło. Wmawiała w siebie, że to tylko przyjacielski gest, że nic

się za nim nie kryje, lecz mimo to poczuła, jak robi jej się gorąco, Płoneła w środku tak jak wtedy, gdy ściągnął koszulę i zobaczyła jego nagi tors. Płoneła jak zawsze wtedy, gdy jej dotykał, gdy stał w pobliżu, gdy na niego patrzyła. Zanim się odsunęła, sam opuścił rękę.

- Wiesz, co by tu pasowało? - spytał, otwierając ciężkie, solidne drzwi prowadzące do jadalni.

- Tak, przeszklone drzwi.

- No właśnie. Rozjaśniłyby wnętrze, bo trochę tu za ciemno. Przydałaby się też nowa podłoga. Najlepiej dęb...

- Dębowa - powiedziała w tej samej sekundzie i wybuchnęła śmiechem.

On również się roześmiał.

- Myśli wielkich ludzi chodzą tymi samymi torami - rzekł.

Beth nałała herbaty i podeszła do Ryana.

- Zamierzam zająć się kuchnią, ale najpierw chcę mieć pewność, że pies mi jej nie zapaskudzi. A swoją drogą ciekawe, ile taki remont mógłby kosztować?

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że gdy poda mu szklanę z napojem, znajdzie się tuż koło Ryana. Spoglądał na nią błyszczącymi oczami; jego zgarnięte w tył włosy lśniły od kropli wody, ciało promieniowało żarem. Mimo że był spocony, pachniał czysto, świeżo. Jego bliskość aż ją bolała.

- Mógłbym ci złożyć ofertę...

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiała, że oferta, o której Ryan mówi, dotyczy nie jej jako kobiety, lecz jako osoby

zlecającej remont. Wiedziała, że musi się wziąć w garść, ochłonać, ale nie mogła przecież odwrócić się na pięcie i zwiać.

- Przyznaj się - powiedziała żartobliwym tonem, choć serce waliło jej jak oszalałe - po prostu chcesz, żebym cię zatrudniła.

- Owszem. A wtedy z przyjemnością spełnię wszystkie twoje życzenia.

Zaczerwieniła się, lecz brnęła dalej z kamiennym wyrazem twarzy.

- Nikomu nie zdradzam swoich życzeń, póki nie wiem, ile to mnie będzie kosztować.

Wyraźnie bawiły go te dwuznaczności. Oparł się wygodnie o blat, zagradzając Beth przejście.

- Tanió lub drogo. To zależy, co chcesz.

- Chcę... - Przełknęła ślinę. Dlaczego, myślała, próbując opanować nerwy, jego oczy są tak chmurne, a jednocześnie tak jasno lśnią? Dlaczego spojrzenie ma tak obiecujące, wargi tak kuszące, ciało tak męskie? - Chcę mieć kuchnię, na widok której wszyscy pożółkną z zazdrości.

- Czyli idziemy na całość? - spytał cicho, głosem lekko ochrypłym, w którym brzmiały dziesiątki aluzji. - To mi się podoba.

- Ale muszę znać koszty.

- Tak? - Uniósł brwi. - Sądziłem, że lubisz ryzyko. Kupiłaś Lolka, nie wiedząc, co cię czeka...

- Kupiłam Lolka, bo się od razu w nim zakochałam - wyjaśniła.

Czuła, że swędzi ją szyja, ale nie mogła się podrapać, bo obie ręce trzymała zaciśnięte na śliskiej szklance z herbatą, której Ryan jeszcze od niej nie wziął.

- A gdybym ci obiecał, że zakochasz się w przerobionej kuchni?

Czarował ją, a ona z trudem mu się opierała. Z jednej strony zdawała sobie sprawę, że to wszystko są żarty, zabawa, z drugiej

zaś strony pragnęła, aby niewinny flirt przerodził się w coś więcej.

- Zakochać się można w człowieku, nie w pomieszczeniu - powiedziała cicho.

- Słusznie - szeptem przyznał jej rację.

Nie wytrzymała. Oddychała szybko, krew dudniła jej w skroniach. Nie mogła pojąć, jak to się stało - w jednej minucie rozmawiali o przeszklonych drzwiach i dębowej podłodze, a w następnej o miłości i podejmowaniu ryzyka. Nagle Ryan pochylił się wolno w jej stronę; spojrzenie miał pytające, usta kuszące.

W tym momencie szklanka z mrożoną herbatą wysliznęła jej się z dłoni i spadła z hukiem na podłogę.

RS

## ROZDZIAŁ 6

- Więc razem wzięliśmy się do zmywania podłogi - powiedział Ryan.

Jego kuzyn, Larry, siedział przy biurku w siedzibie firmy „Walker Construction”, która mieściła się w niedużym magazynie na River Street, w południowej części Devon. Jedną czwartą magazynu zajmowały pomieszczenia biurowe, w pozostałej części znajdowały się ciężarówki, traktory, narzędzia oraz łazienka z prysznicem, żeby po pracy chłopcy mogli zmyć z siebie brud, zanim wyjdą do miasta.

Jeśli chodzi o wystrój biura, nacisk położony był na wygodę, nie na estetykę. Ściany, pomalowane na neutralny beżowy kolor, zawieszono były planami budowy oraz mapami terenu. Podłogę pokryto czarną terakotą. Naprzeciw okna stały metalowe segregatory; biurka również były szare i metalowe. W całym budynku nie było chyba ani jednego fotela czy krzesła, które by nie skrzypiało.

Klimatyzator szumiał jednostajnie, świetlówki cicho syczały. Larry odchylił się w fotelu, który oczywiście natychmiast zaskrzypiał, i oparł nogi na biurku. Następnie, zdziwiony, zmarszczył czoło i podrapał się po głowie.

- Poczekaj, Ryan, nie wiem, czy cię dobrze zrozumiałem. Chciałeś poderwać babkę, a skończyło się na tym, że razem mylicie podłogę?

- Była cała zachlapana herbatą. Najpierw Beth pochwaliła mi się, że już dwie noce pies nie nasikał jej w kuchni, a zaraz potem sama rozlała herbatę. Na szczęście szklanka się nie stłukła, bo byłoby znacznie gorzej.

- Wiesz, stary, nie chcę cię krytykować, ale do tej pory jakoś lepiej sobie radziłeś z kobietami - zauważył kwaśno Larry.

- Oj, lepiej, lepiej.

Wciąż zdumiony wizytą u Beth, pokręcił z niedowierzaniem głową. Zupełnie się tamtego sobotniego ranka nie spisał. Byli

dosłownie o krok od pocałunku. On pochylił się w jej stronę, ona uniosła twarz. Pochylił się jeszcze bardziej, ona wstrzymała oddech, zamrugła nerwowo rzęsami. Tak niewiele ich dzieliło...

Nagle brzęk - i wszystko przepadło. Roześmiali się na widok brunatnej kałuży na podłodze, po czym zakasali rękawy i wzięli się do roboty. Ledwo sprzątnęli, Lolek zaczął szczekaniem domagać się, by wpuścić go do środka, więc Beth czym prędzej naląła Ryanowi drugą szklanekę herbaty i poszła otworzyć psu drzwi. Najwyraźniej minęła jej ochota do pocałunków.

Ciągle nie był pewien, czym zawinił - jeśli w ogóle zawinił. Zazwyczaj nie miał tego rodzaju problemów z kobietami. Jeśli czuł, że dojdzie do pocałunku, to zwykle miał rację. Jeżeli zaś nie odbiera! żadnych pozytywnych sygnałów, wówczas trzymał się od kobiety na dystans. Beth wysyłała więcej sygnałów niż satelita telewizyjny, a on niczym czuła antena odbierał absolutnie wszystkie. Rozlana herbata nie powinna była w niczym zaszkodzić.

- No cóż, jest jeszcze Mitzi Rumson - powiedział Larry.

- Mówiłeś, że to całkiem sympatyczna osoba.

Ryan westchnął głośno i wywrócił oczy do nieba. To nie Mitzi śniła mu się po nocach, nie o niej myślał podczas dwóch długich, samotnych wieczorów, to nie obraz Mitzi spędzał mu sen z powiek.

- Nie w tym rzecz, Larry. Gdybym koniecznie szukał towarzystwa, zwróciłbym się do Marthy Strossen. Na pewno by mi kogoś znalazła.

Larry jęknął żałośnie. Miejskowa swatka nieraz dała mu się we znaki.

- Radzę ci unikać jej jak ognia - rzekł.

- Zgoda. A jeśli chodzi o Beth... No cóż, nic strasznego się nie stało. Myślałem, że mam jakąś szansę, ale się pomyliłem. Zdarza się.



- Owszem. Niektórym nawet częściej niż innym -mruknął pod nosem Larry i roześmiał się, wskazując na siebie palcem.

Jego kontakty z płcią przeciwną układały się zupełnie inaczej niż Ryana. To znaczy, prawie nie istniały. Owszem, na przestrzeni lat był związany z kilkoma kobietami, z ostatnią nawet chciał się żenić - i pewnie ożeniłby się, gdyby w porę nie zobaczył, jak swarliwą i niedojrzałą osobą jest jego narzeczona. Wprawdzie doszedł już do siebie po tej niemiłej przygodzie, ale jeszcze nie potrafił zdobyć się na odwagę, by nawiązać nowy romans.

Ryan i Larry, synowie dwóch braci, zawsze byli z sobą blisko. Jako nastolatek Ryan zwykle prosił dziewczynę, z którą się umawiał na ranek, żeby przyprowadziła koleżankę dla jego kuzyna. Kobiety, które znały Larry'ego, darzyły go ogromną sympatią. Był przystojny, inteligentny, z poczuciem humoru, ale był też nieśmiały, zamknięty w sobie... i, niestety, pozbawiony charyzmy.

Przez pewien czas, gdy chodzili do szkoły średniej, popularność, jaką Ryan cieszył się wśród dziewczyn, powodowała spięcia między kuzynami. Ale potem, gdy obaj mieli siedemnaście lat, zmarł ojciec Larry'ego. To chłopców bardzo do siebie zbliżyło. Ojciec Ryana zaopiekował się młodym bratankiem, a potem, kiedy chłopcy skończyli szkołę, zatrudnił ich w firmie, którą założył ze zmarłym bratem.

Poza charyzmą Larry'emu brakowało chęci do pracy fizycznej, ale nie miało to większego znaczenia. Po śmierci ojca Ryana kuzyni podzielili się obowiązkami według swoich upodobań. Larry zajmował się robotą papierkową, Ryan zaś doglądał prac budowlanych. Zapomnieli o dawnych konfliktach i wspólnymi siłami, w ciągu kilku lat, zwiększyli zyski firmy o pięćdziesiąt procent.

A jednak zdumiało Ryana, że zwraca się do swego nieśmiałego kuzyna o poradę w sprawach sercowych.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi. Całe życie mieszkała w dużym mieście. Jest wykształcona, inteligentna. Może uważa, że nie pasujemy do siebie intelektualnie? Że za bardzo od niej odstaje?

- Daj spokój, Ryan. Jeśli naprawdę tak sądzi, to nie warto się z nią zadawać.

Ryan westchnął głęboko.

- Rzecz w tym, że mi się podoba. Coś mnie do niej ciągnie. s

Larry przyjrzał się bacznie swojemu kuzynowi. Widząc, że ten po raz pierwszy w życiu czuje się zakłopotany z powodu kobiety i zupełnie nie wie, jak postąpić, uśmiechnął się, starając się dodać mu otuchy.

- Może ty też jej się podobasz, ale może po prostu boi się ciebie? Może nie jest pewna...

- Boi się? Ona? - Ryan wybuchnął śmiechem. - Nie żartuj. Jest naszym nowym prawnikiem. Żebyś ją widział w piątek, Larry, kiedy renegocjowała nasz kontrakt z Mitzi! Była niesamowita! Ten zar w jej oczach...

- Który nagle zamienił się w lód, gdy chciałeś ją pocałować...

- Cholera, wychodzę z formy - powiedział kwaśno Ryan, nie potrafiąc ukryć rozczarowania. Dlaczego akurat teraz, kiedy poznał Beth?

Zastanawiał się, co go w niej tak bardzo pociąga. Dlaczego nie może przestać o niej myśleć? Czy dlatego, że mu się opiera? Co by było, gdyby w sobotę, kiedy skończył pracę w ogrodzie, pozwoliła mu się pocałować? Czy w poniedziałek nadal by do niej wzdychał?

- Daj jej chwilę oddechu - powiedział Larry.

- Niech się oswoi z nowym otoczeniem. Przecież ledwo się tu sprowadziła. A swoją drogą, dlaczego to ona nas reprezentuje? Jeff świetnie sobie dawał radę.

- Jest lepsza od Jeffa.

- Pewnie. A ty jesteś super obiektywny.

- No dobra. - Przez chwilę Ryan przesuwiał papiery po swoim zagraconym biurku.

- Zamówiłem ekipę do prac wykończeniowych w domkach w Lyndeborough. Chyba wpadnę tam i poudaję szefa.

Wstał, odpychając fotel. Skrzypienie, które się rozległo, było tak głośne, że niemal zagłuszyło terkot telefonu. Larry podniósł słuchawkę.

- „Walker Construction”. - Przez chwilę słuchał, co mówi osoba na drugim końcu linii, po czym mrugnął porozumiewawczo do kuzyna. - Tak, już łączę. - I zwracając się do Ryana, szepnął: - Do ciebie. Piękna pani prawniczka.

Starając się nie dostrzegać chytrego uśmiešku, który błąkał się po twarzy Larry'ego, Ryan wcisnął przycisk na swoim aparacie i sięgnął po słuchawkę.

- Ryan Walker, słucham? - Cały czas powtarzał sobie w myślach, że poza sprawami zawodowymi nic go z Beth nie łączy.

- Cześć, Ryan. Mówi Beth. - Głos miała dźwięczny, rzeński jak podmuch wiatru w upalny dzień.

Beth. Szczupła, jasnowłosa, mądra, zabawna... psia-kość! Powinien był zignorować rozlaną herbatę i po prostu wziąć ją w ramiona. Przynajmniej miałby święty spokój i nie wdychałby do niej jak zakochany sztubak.

Pewnie. On by ją pocałował, a ona wymierzyłaby mu policzek i tak by się to skończyło. Spokojnie, stary, nakazał sobie w duchu. Wiedział, że musi zapomnieć o jej wargach, o tym, jak patrzyła na niego wyczekująco, pragnąc tego samego co on...

- Jak Lolek? - spytał, usiłując skierować myśli na inne tory.

- Dobrze. Biega po ogrodzie, ale ani razu nie przekroczył magicznej linii.

Ryan poczuł, jak spokój, który emanował z jej głosu, spływa również na niego.

- I co? Nie przypalił sobie jeszcze ogona? - zażartował. - Dym nie bucha mu z uszu?

Parsknęła śmiechem.

- Nie, jeszcze się nie uwędził.

- Hm, podobno dla niektórych pies z rusztu to prawdziwy przysmak.

Larry przysłuchiwał się rozmowie zdumiony.

- Słuchaj, Ryan, jestem ci ogromnie wdzięczna. Strasznie się u mnie napracowałeś. Mam nadzieję, że kiedyś zdołam ci się odwdzińczyć.

Ryan przjrzał w sufit. Nie chciał wdzięczności Beth ani tego, żeby mu się rewanżowała przysługą. Chciał czegoś całkiem innego.

- Ale dzwonię dlatego - ciągnęła - że miałam telefon z Bostonu. Mitzi Rumson zgodziła się podpisać umowę w zaproponowanej przez nas postaci. Dziś po południu chce przyjechać do Devon. Czy masz czas, żeby wpaść do mnie do biura?

Ryan odruchowo spojrział na zegarek, ale wiedział, że nie uda mu się wrócić w porę. Po południu będzie pracował ze swoją ekipą w Lyndeborough. Wiedział również, że jego podpis wcale nie jest konieczny.

- Niestety, będę za miastem na budowie, ale Larry może za mnie podpisać. Zresztą to on zwykle zajmuje się takimi sprawami.

- Rozumiem. - W głosie Beth usłyszał leciutkie, ledwo wyczuwalne wahanie.

- A czy Larry zajrzy do mnie, czy mam mu podrzucić dokument?

Ciekaw był, co Beth czuje: czy jest zawiedziona, że go nie zobaczy? A może odetchnęła z ulgą? Zdawał sobie sprawę, że prędzej czy później zwariuje, jeżeli będzie analizował każde jej słowo, każde westchnienie, każde zawieszenie głosu.

- Ty podrzuć. I jeśli będziesz miała chwilę czasu, to przy okazji rzuć okiem na inne umowy, które Jeff dla nas sporządził, dobrze? Może też wymagają przeróbek czy uściśleń...

- Hmm. - Zadumała się.

- Chyba trzymamy u siebie kopie... Ale może lepiej, żeby, Larry był obecny. Przynajmniej jeśli będę miała jakieś pytania, od razu uzyskam odpowiedź. Tylko że nie dam rady wcześniej niż przed czwartą. Może nawet czwartą trzydzieści.

- W porządku.

- No tak...

Wyglądało na to, że Beth zastanawia się nerwowo, co jeszcze powiedzieć. Czy wspomnieć coś o psie, o ogrodzeniu, o rozlanej herbacie, o pocałunku, do którego omal nie doszło... Czy wspomnieć o tym, że chciałyby znów stać koło niego ze szklankę w ręce, ale tym razem na pewno by jej nie upuściła. Tym razem przysunęłyby się bliżej i ich wargi by się zetknęły; zaczęłyby się całować żarliwie, namiętnie, z pasją, która by ich oboje zaskoczyła.

Ryan zaklął pod nosem. To były jego marzenia, to on pragnął usłyszeć te słowa. A Beth... Cóż, Beth zapewne chciała powiedzieć tylko to, co w końcu i tak powiedziała:

- Bądź tak miły i uprzedź Larry'ego, że wpadnę około wpół do piątej.

Odłożył słuchawkę na widelki i pokręcił z niedowierzaniem głową, zaskoczony swoją bujną wyobraźnią. Co ma być, to będzie. Albo do czegoś pomiędzy nimi dojdzie, albo nie. Jedna szklanka rozlanej herbaty nie wpłynie na przebieg i charakter ich znajomości. Dziś nikt niczego nie rozleje, bo nawet się nie zobaczą. Może jeśli będzie unikał Beth przez kilka dni, przestanie wreszcie o niej myśleć.

- Beth zajrzy tu dziś po południu - powiedział do kuzyna.

- Chce przejrzeć inne umowy, które Jeff dla nas sporządził.

- Dlaczego?

- Bo zna się na tym lepiej od Jeffa.

- Tak? - Z miny Larry'ego nietrudno się było zorientować, co sądzi na ten temat. - A ja uważam, że nasze umowy są całkiem niezłe.

- Może i są niezłe, ale powinny być doskonałe, a Beth jest specjalistką od umów. Dlatego Jeff przyjął ją na współnika.

Larry skrzywił się.

- Naprawdę myślisz, że to konieczne? Wiesz, ile sobie liczą za godzinę?

- Zmieniając warunki umowy z Mitzi, Beth zaoszczędziła nam kupę forsy. Może żądać, ile chce. Jest warta najwyższej stawki.

- Zastanów się, Ryan. Nie kieruj się chucią.

- W interesach, mój drogi, nie kieruję się chucią. Kieruję się wyłącznie rozumem. Przygotuj dla Beth umowy, ja jadę do Lyndeborough.

Ze stosu kartek leżących na biurku podniósł kluczyki samochodowe i ruszył do drzwi. Dopiero gdy znalazł się na dworze, w ciepłych promieniach słońca, zrozumiał, dlaczego tak bardzo zirytował się na kuzyna. Po prostu jest wyjątkowo drażliwy na punkcie Beth, a przecież Beth jest jedynie doradcą prawnym firmy, nie powinna więc wzbudzać w nim tak żywych emocji.

Ale kiedy przypomniał sobie jej złociste włosy, piękne, szeroko rozstawione oczy, przenikliwe spojrzenie, sposób, w jaki jej usta rozciągnęły się w uśmiechu dosłownie chwilę przed tym, gdy chciał ją pocałować...

Oj, chyba jednak nie samym rozumem się kierował.

Całe szczęście, że musi wyjechać z miasta, że nie będzie go w biurze, kiedy Beth wpadnie po podpis. Dopóki nie zapanuje nad chucią, stanowczo powinien trzymać się z dala od ślicznej prawniczki i wysyłanych przez nią sygnałów, których nie potrafi odczytać.

Obraz Mitzi nie opuszczał Beth przez wiele godzin. Młoda wdowa zjawiała się w gabinecie o wpół do trzeciej po południu, ubrana w zielone spodnie z jedwabiu oraz identyczną w kolorze, wydekoltowaną bluzkę. Była tak obwieszona biżuterią, że wyglądała jak świątecznie przystrojone drzewko. Obcisły strój

uwypuklał jej bujne kształty. Patrząc na nią, Beth powtarzała sobie w duchu, że po tym wszystkim, co przeszła, nie pozwoli, aby taka kobieta jak Mitzi zburzyła jej spokój, odebrała pewność siebie.

Prawdę mówiąc, czuła podziw dla Mitzi. Może ubierała się ekstrawagancko, krzykliwie, ale nie była hipokrytką. Nie kryła się z tym, co miała; przeciwnie, wszystko - pieniądze, urodę, tupet - dumnie wystawiała na pokaz. Na swój sposób Beth szanowała takie kobiety. Gdyby nie Ryan, Mitzi nie wzbudzałaby w niej żadnego niepokoju, żadnych negatywnych emocji.

Ryan... No cóż, Ryan buduje dom dla Mitzi i w miarę regularnie się z nią widuje. Mitzi zamierzała nawet wynająć pokój w małym, sympatycznym pensjonacie i osobiście doglądać budowy. Zaś widując się regularnie ze swoją atrakcyjną klientką, Ryan będzie stale narażony na pokuszenie - albowiem doglądając budowy, Mitzi będzie eksponowała swoje przymioty, zarówno duchowe, jak i fizyczne, a tych drugich miała do wyeksponowania znacznie więcej niż Beth.

Lecz z tym faktem Beth już się pogodziła. Po prostu cieszyła się, że żyje, że mieszka w pięknej, nowej okolicy, że może oddychać czystym, świeżym powietrzem, że ma przyjaciół oraz uroczego szczeniaka. Wszystko układałoby się jak najlepiej, gdyby nie Ryan. Gdyby tamtego sobotniego poranka nie spociała się ze zdenerwowania i nie wypuściła z rąk szklanki, pocałowaliby się. Nie wiadomo, czym by się to skończyło i co by Ryan zrobił, gdyby odkrył prawdę.

Przynajmniej dziś się z nim nie zobaczy. W sobotę, po niefortunnej wizycie Ryana, krzątała się trochę po domu, potem wieczorem poszła na kolację do Millerów, a niedzielę spędziła, doprowadzając ogród do porządku i obserwując Lolka, który grzecznie biegał po wyznaczonym terenie. Pies rozkoszował się wolnością; ganiał z jednego końca ogrodu na drugi,

obszczekując wiewiórki i inne stworzenia, które śmiały wejść na jego teren.

Devon było zbyt małym miastem, aby się w nim zgubić, więc bez większego trudu odszukała magazyn, w którym mieściła się firma „Walker Construction”. Zaparkowała samochód na placu przed głównym wejściem, z dała od szeregu potężnych drzwi garażowych, które ciągnęły się niemal wzdłuż całej ściany. Wzięła rzuconą na tylne siedzenie teczkę z dokumentami, zamknęła auto i ruszyła w stronę trzech betonowych schodków. Pchnąwszy drzwi, weszła do środka i znalazła się w jasno oświetlonym, skromnie urządzonym pokoju, w którym stały dwa biurka i kilka segregatorów. Na ścianie wisiał okrągły biały zegar, półki zastawione były skoroszytami, połowę wykonanej z korka tablicy informacyjnej zajmował przypięty pinezkami kalendarz pozbawiony ilustracji.

Przy jednym z biurek siedział mężczyzna, który prawym ramieniem podtrzymywał przy uchu słuchawkę i uważnie wpatrywał się w ekran komputera. Beth rozejrzała się, sprawdzając, czy gdzieś obok nie siedzi sekretarka lub recepcjonistka, ale nikogo takiego nie było.

Czekała cierpliwie. Po chwili mężczyzna odłożył słuchawkę, obrócił się i dopiero wtedy spostrzegł stojącą w drzwiach kobietę. Zaskoczony zamrugał oczami, po czym wstał i uśmiechnął się nieporadnie.

- Pani jest tą prawniczką?

- Tak, jestem tą prawniczką.

Był trochę podobny do Ryana, na przykład włosy miał w tym samym złocistym odcieniu brązu, tyle że staranniej ostrzyżone. Tak jak Ryan, mierzył około metra osiemdziesięciu wzrostu, był szczupły i kościsty. Oczywiście miał piwne, ale nie tak lśniące. Jednak coś w jego twarzy, w uśmiechu, trochę ciepłym, trochę drwiącym, sprawiło, że Beth postanowiła mieć się na baczności.

- Larry Walker - przedstawił się i uściśnął jej dłoń.



- Bardzo mi miło.

Przez chwilę obserwował Beth uważnie; mimo uśmiechu na ustach, jego spojrzenie pozostawało chłodne i przenikliwe.

- Przyznam się, że nie do końca rozumiem powód pani wizyty. Ryan wspomniał, że chce pani przejrzeć umowy, które sporządził Jeff Miller.

- Tak.

- Tego właśnie nie rozumiem. Jeff jest pani współnikiem, prawda?

- Tak, ale...

- Ryan i ja znamy go od lat, więc dlaczego chce pani przeglądać dokumenty, które on dla nas przygotował?

Beth uśmiechnęła się. Nie da się wytrącić z równowagi.

- O ile wiem - rzekła - Jeff przejął sprawy „Walker Construction” dopiero kilka lat temu, kiedy poprzedni prawnik przeszedł na emeryturę. Jednakże Jeff nie jest ani specem od umów, ani od nieruchomości, a ja tak. Ale nie robię niczego za jego plecami. Jeff sam mnie tu przysłał.

Larry nie sprawiał wrażenia przekonanego, ale więcej nie protestował; wskazał Beth puste biurko.

- Proszę. - Podał jej kilka grubych skoroszytów. - Skoro pani sądzi, że to konieczne...

Nie miała ochoty ponownie mu wszystkiego tłumaczyć, więc z wymuszonym uśmiechem na twarzy wzięła skoroszyty i podeszła do pustego biurka. Larry stał za nią, kiedy siadała na przeraźliwie skrzypiącym fotelu; stał za nią, kiedy wyciągała z teczki mały komputer. Podejrzewała, że gdyby nagle nie zadzwonił telefon, Larry stałby tak dalej, patrząc jej przez ramię, dopóki nie skończyłaby pracy.

Dziękując w duchu osobie, która wybawiła ją od niepożądanego towarzystwa, włączyła komputer do kontaktu. Kiedy usłyszała, że Larry coraz bardziej pogrąża się w rozmowie, zaczęła mu się dyskretnie przyglądać. Uznała, że jego niechęć nie wynika z braku zaufania do niej jako

prawniczki. Nie, Larry'ego po prostu złościło, że ktoś poddaje rewizji pracę, wykonaną przez przyjaciela. Jego lojalność była wzruszająca, choć oczywiście niepotrzebnie martwił się o uczucia Jeffa.

Beth próbowała sobie wyobrazić Larry'ego, Ryana i Jeffa jako młodych, pełnych energii chłopaków, którzy przez całą szkołę średnią trzymali się razem niczym trzej muszkietierowie. Z tej trójki Jeff Miller był zapewne intelektualistą i w sytuacjach konfliktowych polegał na sile swojego rozumu, Ryan na sile swoich mięśni, a Larry... Kto wie, może na Ryanie i Jeffie.

Co jakiś czas głos Larry'ego, który omawiał przez telefon system odprowadzania ścieków, przerywał panującą w pokoju ciszę. Wzdychając głęboko, Beth sięgnęła po skoroszyt leżący na wierzchu stosu. Miała zaufanie do Jeffa, wierzyła w jego kompetencje, ale przeglądając umowę pomiędzy „Walker Construction” a Mitzi Rumson, zwróciła uwagę na pewne punkty, zwłaszcza te dotyczące odpowiedzialności firmy, które jej zdaniem należało zmienić.

Otworzyła komputer i zaczęła robić notatki. Nie zdawała sobie sprawy z upływu czasu, tak bardzo pochłonęła ją praca. Zorientowała się, że „Walker Construction” głównie zajmuje się budownictwem mieszkaniowym, ale poza tym wykonuje również remonty.

Ile może kosztować budowa tarasu oraz remont kuchni? Wczoraj, kiedy pracowała w ogrodzie, myślała o tym, jak miło byłoby mieć taras, na którym można by postawić wygodny leżak z parasolem oraz stół, a na nim szklankę z piciem. Taras wcale nie musiałby być duży. Wystarczyłoby trzy metry na cztery. W sam raz dla niej i dla Lolka.

Czy gdyby zatrudniła „Walker Construction”, to Ryan osobiście by się wszystkim zajął? Czy przychodziłby do niej codziennie przez miesiąc, czy codziennie pracowałby z obnażonym torsem i widziałaby jego lśniące od potu plecy?

Czym prędzej odpędziła od siebie te myśli i sięgnęła po kolejny skoroszyt. Po drugiej stronie pokoju Larry siedział pochłonięty swoimi sprawami, ale jego obecność w niczym Beth nie przeszkadzała. Co jakiś czas drukował coś, kilka razy gdzieś dzwonił, raz wstał i przywitał się z dostawcą, którego następnie poprowadził przez biuro do drzwi wiodących na zaplecze. Z parkingu co rusz dochodził warkot ciężarówek. Ponownie zadzwonił telefon. Ktoś doręczył paczkę. Nic jednak nie było w stanie odwrócić uwagi Beth od umów, które sprawdzała. Nic - dopóki drzwi się nie otworzyły i nie usłyszała znajomego śmiechu Ryana.

Podskoczyła, po czym cofnęła ręce znad klawiatury i głęboko odetchnęła. Nie panikuj, nakazała sobie w duchu, chociaż myśl, że mogłaby wpaść w panikę tylko dlatego, że usłyszała za drzwiami głos Ryana, wydała jej się po prostu absurdalna. Przecież rozmawiała z nim dziś rano. Jest jego doradcą prawnym. Chyba może mu normalnie spojrzeć w twarz, nie psząc się z powodu sobotniego zajścia?

Ryan krzyknął przez ramię „do widzenia”, po czym wszedł do biura, stukając butami. Twarz miał rumianą, koszulę i džinsy pokryte kurzem. Dzięki zawiązanej na czole czerwonej chustce włosy nie wpadały mu do oczu. Wyglądał groźnie i niesamowicie. Na widok Beth uśmiech na jego twarzy złagodniał.

- Witaj.

Patrząc na jego umazaną błotem twarz, Beth przypomniała sobie, jak w sobotę powoli zbliżał usta do jej ust... Bała się, że za moment się zaczerwieni, ale na szczęście udało jej się pokryć zażenowanie przyjaznym uśmiechem.

- Cześć - powiedziała, zamykając skoroszyt i uderzeniem w klawisz zapisując notatki w pamięci komputera. - Właściwie już skończyłam...

- Nie musisz uciekać z mojego powodu.

Z jego spojrzenia można było wyczytać, że cieszy go jej obecność. Nastąpiła krepująca cisza. Beth nie wiedziała, co powiedzieć. Mogła wspomnieć, że nie ma większych zastrzeżeń do istniejących umów, ale że do umów, które będą zawierane w przyszłości, zamierza wprowadzić kilka ważnych zmian. Mogła jeszcze raz podziękować za ogrodzenie dla psa, mogła poczynić jakąś zabawną aluzję do rozlanej herbaty.

Mogła mu wyznać, że kiedy na niego patrzy, budzą się w niej uczucia, jakimi żaden prawnik nie powinien darzyć klienta. Albo mogła powiedzieć mu wprost, że nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który - brudny i spocony - wyglądałby tak piekielnie atrakcyjnie. Na szczęście nie musiała nic mówić, bo drzwiami prowadzącymi na zaplecze wrócił do pokoju Larry.

- Poznałeś Larry'ego, prawda? - spytał Ryan i po chwili skierował wzrok na kuzyna. - No i co, stary? Zarobiliśmy dzięki niej milion dolarów?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Swoją drogą ciekawe, ile jej dzisiejsza wizyta będzie nas kosztować.

- Dlaczego mówicie o mnie w trzeciej osobie? - zaprotestowała, po czym zamknęła komputer i wyciągnęła sznur z kontaktu. - W przyszłości zaoszczędzę wam mnóstwo pieniędzy, więc moje dzisiejsze honorarium potraktujcie jako dobrą inwestycję. No, czas na mnie...

Zaczęła się podnosić, a wtedy Ryan delikatnym, lecz stanowczym ruchem ją powstrzymał.

- Nie przejmuj się. Larry to osioł.

Starła się nie myśleć o jego ręce na ramieniu, o jej dotyku, sile, o ciepłe, które z niej promieniowało. Przesunęła się, dyskretnie zsuwając dłoń Ryana. Fotel zaskrzypiał.

- Jak wszyscy Walkerowie - odgryzł się Larry, po czym zaczął opowiadać Ryanowi o fabryce betonu, z którą współpracowali, a której właściciel ni stąd, ni zowąd ogłosił, że w tym miesiącu nie wywiąże się w terminie z obiecanych dostaw.

Beth spakowała komputer, zatrzasnęła wieko teczki i wstała. Sprężyny ponownie zaskrzypiały.

- Nie odchodź jeszcze - poprosił ją Ryan, wzrokiem ponaglając kuzyna, żeby dobiegł wreszcie do końca.

Stała przy biurku coraz bardziej zniecierpliwiona. Ryan i Larry omawiali sprawy zawodowe. Nie była im do niczego potrzebna; zresztą podejrzewała, że żaden z nich nie zamierza słuchać jej wyjaśnień na temat zmian, które postanowiła wprowadzić do przyszłych umów. Zatem prośba o pozostanie wynika zapewne stąd, że Ryan chce z nią porozmawiać prywatnie, ona zaś bała się takiej rozmowy jak ognia.

Nie bardzo jednak mogła rzucić się pędem ku drzwiom. Wzięła kilka głębokich oddechów, próbując uspokoić skołatane nerwy. Obiecała sobie, że bez względu na to, co Ryan powie, nie będzie miała mokrych od potu rąk ani rumieńców na policzkach. Wreszcie Larry wyczerpał temat betonu. Spoglądając to na Ryana, to na Beth, spytał:

- Więc na czym stanęło? Budujemy dom dla tej Rumson czy nie?

- Nie wiem - odparł Ryan. - Spytaj naszą prawniczkę.

- Budujecie - rzekła Beth. - A na czas budowy pani Rumson wynajmuje w okolicy pokój.

Larry prychnął pogardliwie; Ryan uniósł brwi.

- Wynajmuje pokój?

- Tak, na razie na miesiąc. W jakimś pensjonacie. Potem w miarę potrzeby będzie przedłużać najem.

- Pewnie chce mieć mnie na oku. Czyżbym przypadł jej do gustu?

- Wątpię! - powiedziała Beth i natychmiast pożałowała zgrzyźliwego tonu.

- Nie znam pani Rumson - wtrącił się do rozmowy Larry - ale z tego, co mówił Ryan, to całkiem atrakcyjna babka.

- Owszem - przyznała Beth.

- No cóż... - Larry ponownie spojrzął na swego kuzyna, a potem na Beth. - Jeśli nie jestem wam potrzebny, to spływam stąd...

Przez moment nie ruszał się z miejsca, dając im szansę na protest. Beth zerknęła na Ryana, który milczał jak zakłęty. Po chwili Larry sięgnął po leżącą na metalowym segregatorze czapkę baseballową, nasadził ją na głowę, pomachał na pożegnanie i skierował się do drzwi. Beth nie wytrzymała nerwowo ciszy, jaka nastąpiła po jego wyjściu.

- Ja też muszę już iść - wyszeptała.

- Poczekaj. Wezmę tylko prysznic, a potem pójdziemy coś zjeść. Nie wiedziała, jak odmówić. Trochę się bała. Z drugiej strony miała świadomość, że **czym** innym jest randka czy kolacja przy świecach, **czym** innym zaś zwykła przekąska.

Chciała utrzymywać przyjazne stosunki z Ryanem, ale wciąż pamiętała o sobocie, o tym, jak niewiele brakowało, żeby zaczęli się całować. A jeżeli znów dojdzie do takiej sytuacji? Co ma wówczas zrobić? Cofnąć się i powiedzieć: „Zanim mnie pocałujesz, obejrzyj sobie moje piersi”? Lepiej nie ryzykować, nie pozwolić, żeby taka możliwość w ogóle zaistniała.

- Chyba nie, Ryan - rzekła.

- Powinnam wrócić do domu. Do psa.

- Dlaczego?

Zmarszczyła czoło. No właśnie, dlaczego? Zostawiła psu dwie miski z jedzeniem - na wypadek, gdyby jedna się przewróciła - i dwie miski z wodą. Było ciepło, przyjemnie, na niebie nie gromadziły się żadne chmury, a dzięki nowemu ogrodzeniu pies miał mnóstwo miejsca do biegania.

- Chryste, ale jestem brudny! - zawołał Ryan ze śmiechem, po czym ściągnął z czoła chustkę. - Daj mi dziesięć minut. Spłuczę z siebie ten brud, a potem wyskoczmy gdzieś na kanapkę i piwo. Lubisz piwo?

- Tak... raczej tak - odparła zbita z tropu.

- Świetnie. Za dziesięć minut wracam.

Prawdę mówiąc, bardzo chciała wybrać się z nim gdzieś na piwo. Chciała mieć przyjaciela, z którym mogłaby normalnie o wszystkim pogadać. Rozmowa z Cindy zwykle obracała się wokół takich spraw jak pieluchy, wymioty, bekanie. Z kolei rozmowa z Lolkiem była dość jednostronna, choć od czasu do czasu psisko szczekaniem zachęcało ją do dalszych wynurzeń. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do Evelyn w Nowym Jorku - ciekawa była, co słyhać u znajomych z grupy terapeutycznej. Ale rozmowa z Evelyn to oczywiście rozmowa o raku.

Beth miała już serdecznie dość mówienia o nowotworach, słuchania o dzieciach, wygłaszania monologów do Lolka. Pragnęła rozmawiać o normalnych rzeczach, o tym wszystkim, o czym rozmawiają dorośli ludzie, przyjaciele, którzy siedzą nad szklanką piwa, pałaszując kanapkę.

- Dobrze - odpowiedziała, odwzajemniając ciepły uśmiech Ryana.

Wciąż się uśmiechała, kiedy wybiegł drzwiami na zaplecze. Po chwili usłyszała, jak - lekko fałszując - nuci piosenkę „To istna magia”, a potem gdzieś z głębi budynku doleciał ją szum wody. Kiedy wyobraziła sobie, jak Ryan ściąga ubranie i wchodzi pod prysznic, mimo woli uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Usiadła w tym samym fotelu, w którym spędziła kilka ostatnich godzin. Oczami wyobraźni widziała, jak strumień wody omywa skórę Ryana, jak moczy jego włosy, splukuje z niego brud i zmęczenie. Myślała o tym, jak czysto i świeżo będzie się czuł po wyjściu z łazienki.

Nagle poczuła, jak niechciany rumieniec wypływa na jej policzki. Zaczęła oddychać rytmicznie, głęboko, starając się czym prędzej nad sobą zapanować. Dziś wieczorem nieważne jest, że Ryan ma ciało o idealnych proporcjach, a ona niesymetryczne. Dziś wieczorem ważna jest kanapka, piwo i przyjaźń.

Po prostu przyjaźń. Nic więcej.

## ROZDZIAŁ 7

Nie umiała powiedzieć, dlaczego lokal tak bardzo przypadł jej do gustu. Tam, gdzie mieszkała, na Manhattanie, było wiele podobnych knajpek - czystych, z przyćmionym światłem, intymną atmosferą i sympatyczną obsługą. O ile jednak do tamtych knajpek głównie zaglądali elegancko ubrani, dobrze zarabiający, samotni młodzi ludzie, którzy szukali towarzystwa, o tyle „Corky's” odwiedzała znacznie bardziej urozmaicona klientela: byli to siwi emeryci, krzepcy faceci w czapkach z daszkiem, kobiety w średnim wieku spędzające wieczór z przyjaciółkami, młode pary, stare pary... oraz ona, Beth, z Ryanem.

Może dlatego miejsce się jej podobało. Ale był też inny powód: tyle osób tłoczyło się przy barze i siedziało przy sąsiednich stolikach, że mogła się odprężyć i cieszyć towarzystwem Ryana bez obawy, iż coś się między nimi zacznie iskrzyć. Tłum zapewniał bezpieczeństwo, chronił ją nie tylko przed awansami Ryana, ale również przed jej własną skrywaną żądzą.

Nie znaczyło to jednak, że była nieczuła na jego wdzięki. Umyty i ogolony wyglądał znacznie bardziej apetycznie niż ogromna kanapka, którą kelnerka postawiła przed nią na stole. Jego oczy lśniły, nie zdradzając najmniejszych oznak zmęczenia, usta zaś rozciągały się w uśmiechu. Uśmiechał się właściwie bez przerwy - wtedy, gdy nalewał piwo do szklanki, gdy posypywał solą kanapkę, gdy sięgał widelcem po frytkę. Uśmiech miał cudowny, fascynujący, taki, w którym ciągle można było odkrywać coś nowego.

Niemal siłą oderwała od niego wzrok i spojrzała na kanapkę z indykiem. Była tak gruba, że Beth miała poważne wątpliwości, czy zdołają ugryźć, nie uszkadzając sobie przy tym żuchwy. Na wszelki wypadek zdjęła wierzchnią kromkę i nadziała kawałek indyka na widelec.



- No i jak ci poszło z Lanym? - spytał Ryan.

Beth zdusiła śmiech, zabrzmiało to bowiem tak, jakby pytał, czy spodobała się jej randka, na którą umówił ją z kuzynem.

- Chyba nie bardzo mnie Larry polubił.

- Tak?

- Tak. Był dość niezadowolony, kiedy usłyszał, że chcę przejrzeć umowy. Miałam wrażenie, że czuje się urażony w imieniu Jeffa.

Ryan pokiwał głową, jakby się spodziewał takiej reakcji.

- A Jeff czuł się urażony?

- Skądże. Sam prosił, żebym sprawdziła, czy czegoś nie przegapił.

- I co? Przegapił?

Podniosła wzrok, zaniepokojona, czy Ryan nie zacznie mieć zastrzeżeń co do umiejętności Jeffa. Ale kiedy zobaczyła wesołe iskierki w jego oczach, przestała się martwić.

- Tak, ale nic ważnego - odparła. - Niech ci to nie spędza snu z powiek.

- Wątpię, żebym kiedykolwiek z powodu Jeffa nie mógł spać spokojnie. To naprawdę porządny gość.

- Długo się znacie?

- Niemal od zawsze. Wszyscy trzej tu dorastaliśmy, a w tamtych czasach Devon liczyło znacznie mniej mieszkańców niż dziś. Co roku szkołę rozpoczynała może setka dzieciaków, z czego połowa to byli chłopcy. Nawet gdybyśmy chcieli się unikać, podejrzewam, że nie byłoby to możliwe.

Wyobraźnia podsunęła jej obraz trzech małych urwisów z poobijanymi kolanami, w zdartych tenisówkach, którzy łążą po drzewach i wymieniają karty z podobiznami słynnych baseballistów.

- I co? Od małego się przyjaźnicie?

- Ja z Larrym tak. Nasi ojcowie prowadzili firmę, a my byliśmy w tym samym wieku, więc spędzaliśmy razem

mnóstwo czasu. Chociaż bardzo się różniliśmy, zawsze czuliśmy się sobie bliscy.

- Czym się różniliście? - spytała; jego przeszłość interesowała ją bardziej, niż powinna.

- Prawie wszystkim. Larry był dziwnym dzieciakiem. Nie lubił sportu, co nikomu nie przeszkadzało, ale on sam czuł się z tym niezręcznie, więc kiedy graliśmy w kosza albo palanta, zawsze usuwał się w cień. Zbierał robaki...

- Robaki? - Wzdrygnęła się. Wszystko ma swoje miejsce w ogólnym porządku rzeczy, wołała jednak, aby miejsce robaków było jak najdalej od niej.

- Tak. Żuczki, pająki, świetliki. Uwielbiał owady. Sądziłyśmy, że zostanie entomologiem.

- A dlaczego nie został?

- Hm... - Ryan pociągnął łyk piwa i wzruszył ramionami. - Kiedy mieliśmy po siedemnaście lat, jego ojciec zginął w wypadku samochodowym. Po śmierci stryja mój tata zaopiekował się Larrym. Opłacał mu studia, a latem zawsze zatrudniał w firmie. Mnie zresztą też. Po pewnym czasie okazało się, że Larry woli zarządzać firmą budowlaną, niż poświęcić życie robactwu.

- Więc siedzi w biurze i zarządza... Ryan skinął głową.

- Taki mamy podział obowiązków. Larry zajmuje się papierkami i sprawuje nad wszystkim kontrolę, przynajmniej teoretycznie.

- Teoretycznie?

- To naprawdę świetny facet, tylko bywa trochę roztargniony. Potrafi zapomnieć o bożym świecie, jeśli zauważy na przykład biedronkę.

- Rozumiem. Więc on się zajmuje papierkami, a ty...

- Stroną praktyczną. Pilnuję, żeby wszystko było, jak trzeba. Staję na głowie, żebyśmy mieli najlepsze gatunkowo materiały, żeby zdobyć dokładnie takie drewno na szafki w kuchni, jakie klient sobie wymarzył, dokładnie takie okucia i klamki, jakie mu

obiecujemy. Po prostu staram się, żeby klienci byli zadowoleni.

- Ładnie zachwalasz swoje usługi. Powinieneś pracować w reklamie - zażartowała. - Mogę ci obiecać, że jeśli zdecyduję się na taras, na pewno się do ciebie zgłoszę.

Roześmiał się dobrodusznie.

- Nie zapominaj o kuchni. Mógłbym ci zbudować piękne dębowe szafki, ze wspinałym dębowym blatem...

- To wszystko kosztuje - rzekła ubawiona. - Lepiej wróćmy do tematu Larry'ego. Jak myślisz, dlaczego mnie nie lubi?

- Nie o to chodzi. - Ryan upił kolejny łyk piwa i na moment się zadumał. - Po prostu Larry przyzwyczaja się do pewnych rzeczy i nie cierpi zmian. Zmiany wytrącają go z równowagi. Kiedy nasz poprzedni prawnik przeszedł na emeryturę, Larry był kompletnie załamany. Potem Jeff wziął nas pod swoje skrzydła. Chwilę trwało, zanim Larry przyzwyczał się do Jeffa, ale dobrze, przyzwyczał się, a tu nagle Jeff tobie powierza obsługę prawną firmy. Takie rzeczy denerwują Larry'ego, przerażają go.

Beth wzięła do ust kawałek indyka.

- Zmiany czasem bywają przerażające.

- Ty nie sprawiasz wrażenia przerażonej.

Zdziwiona, opuściła widelec i spojrzała pytająco na Ryana, trochę obawiając się, do czego zmierza. Jego uśmiech bynajmniej nie dodał jej otuchy.

- Przeprowadzka z...?

- Z Nowego Jorku.

- Przeprowadzka z Nowego Jorku do małej miejsciny w New Hampshire to ogromna zmiana. Nie przeraża cię?

Wyjazd z Nowego Jorku do Devon jest niczym w porównaniu z innymi zmianami, które w ciągu ostatnich dwóch lat zaszły w jej życiu. Zresztą decyzję o przeprowadzce podjęła sama, nikt jej do tego nie zmuszał.

- Sama jestem zaskoczona, jak szybko się tu zadomowiłam - powiedziała czując, jak jej obawy ustępują. - Ludzie w De von są tacy mili, serdeczni...

- Nie daj się zwieść tej sennej, małomiasteczkowej atmosferze. Proporcjonalnie żyje tu tyle samo łajdaków co w Nowym Jorku.

Wiedziała, że kiedy Ryan uśmiecha się tak szelmowsko, nie należy traktować serio tego, co mówi.

- Może masz rację - oznajmiła z powagą. - Ale na szczęście nie muszę się z nimi zadawać. Dzięki Bogu, mam do towarzystwa mądrego, dobrze wychowanego kundla.

Ryan parsknął śmiechem, po czym wbił zęby w kanapkę. Pochłonięci sobą, nie zwracali uwagi na dochodzący zewsząd szum głosów. Siedzieli w rogu, z dala od innych, i bez względu na panujący w lokalu tłok mieli wrażenie, że są sami.

- A tak naprawdę to dlaczego przemieściłeś się do Devon? Przez chwilę przyglądała się Rayanowi w milczeniu.

Spojrzenie miał szczere, błagalne, jakby autentycznie chciał wiedzieć, ona zaś z jednej strony pragnęła wyznać mu prawdę, z drugiej strony bała się. A nuż Ryan się wystraszy albo odsunie się od niej? Albo zacznie się nad nią litować? Podobał jej się przyjazny nastrój, jaki tego wieczoru panował między nimi, i nie chciała go burzyć. Postanowiła, że najlepiej dać odpowiedź nieco wykrętną, ale nie całkiem kłamliwą.

- Od urodzenia mieszkam w dużych miastach - rzekła. - Dzieciństwo spędziłam w Waszyngtonie, do szkoły średniej chodziłam w Filadelfii, potem studiowałam prawo w Bostonie i w końcu znalazłam pracę na Manhattanie. Coraz bardziej przeszkadzał mi hałas, coraz bardziej denerwował tłum. Uznałam, że jeśli chcę coś zmienić, muszę to zrobić teraz, bo wkrótce będę za stara i zbyt skostniała w swoich nawykach.

- Za stara? Wyglądasz na szesnaście lat.

- Mam dwa razy tyle. Ale dzięki, ładnie kłamiesz. - Jej wydawało się, że wygląda dużo starzej, niż to wskazuje

metryka. Co innego przed chemoterapią, kiedy miała długie włosy i nie była tak przeraźliwie chuda. - Gdybym nie zmieniła pracy, każdego roku przybywałoby mi dziesięć lat. To kolejny powód, z którego chciałam opuścić Nowy Jork. Praca w tamtym zespole po prostu mnie wykańczała.

- Było aż tak źle?

- Żebyś wiedział. Harowałam jak dziki osioł. Osiemdziesiąt godzin na tydzień. Kiedy zostałam współnikiem, mogłam trochę zwolnić tempo. Do siedemdziesięciu pięciu godzin tygodniowo. Na nic poza pracą nie miałam czasu.

- Pewnie tu, w Devon, Jeff też cię goni do roboty. Sam pracuje od świtu do nocy i innym też każe. Paskudny wyzyskiwacz! - Ryan zachichotał pod nosem.

- A Cindy jest jeszcze gorsza. Kiedy przyjechali tu po studiach, wszyscy byliśmy przerażeni, że zapracują się na śmierć. - Pochylił się nad stołem, jakby chciał zdradzić Beth wielką tajemnicę. - Dasz wiarę? Podobno czasem siedzą w biurze aż do piątej popołudniu!

Beth podjęła grę.

- Do piątej? - spytała przejęta. - Nigdy ich tak późno nie widziałam.

- Oczywiście winna jest Cindy - kontynuował - bo przedtem Jeff był takim samym błaznem jak ja.

- Przynajmniej nie kolekcjonował robaków jak twój kuzyn Larry - powiedziała w obronie Jeffa.

- Od czasu do czasu wszyscy trzej chodziliśmy razem na wagar. Mieliśmy wtedy po dwanaście, trzynaście lat. Nie wiem, czy znasz tutejszą okolicę... Otóż kilka kilometrów na północ od miasta płynie rzeka, wzdłuż której ciągną się wielkie granitowe skały. Wiosną, kiedy śnieg zaczynał topnieć, jeździliśmy tam na rowerach, wślizgaliśmy na skały, potem ściągaliśmy z siebie ubranie i skakali do wody. To znaczy, ja z Jeffem skakaliśmy, a Larry, którego zawsze oblatywał tchórz, udawał się na poszukiwanie pajaków.

- Coś mi się zdaje, że Larry był najrozsądniejszy. Skakanie ze skał do rzeki musi być strasznie niebezpieczne...

- Niebezpieczne? - Pokręcił głową. - Chyba nie. Rzeka płynęła dość spokojnie, jedynie woda była lodowata. Z zimna aż nas bolały zęby. Skakaliśmy tak każdej wiosny, dopóki nie poszliśmy do szkoły średniej.

- Długo trwało, nim zmądrzeźliście - skarciła go, choć prawdę mówiąc, podobał się jej ten rytuał, powtarzany przez chłopców raz do roku na wiosnę.

- Zimą też uciekaliśmy z lekcji. Zwłaszcza wtedy, gdy spadł śnieg. Tyle że w szkole średniej nie skakaliśmy ze skał, tylko szaleliśmy na nartach.

- Skoro ciągle łaziliście na wagar, to cud, że Jeff dostał się na prawo.

- Gdyby więcej czasu spędzał w klasie zamiast na wyglupach, pewnie lepiej radziłby sobie dziś ze sporządzaniem umów.

Ryan zjadł do końca frytki, po czym odsunął na bok talerz, wlał do szklanki resztę piwa i odchyliwszy się wygodnie na krześle, wyciągnął pod stołem nogi.

- Dużo miewacie tu zimą śniegu? - spytała Beth i nagle zdała sobie sprawę, że pytanie niedobrze o niej świadczy. Taką rzecz, jak średnią opadów śniegu w New Hampshire powinna była sprawdzić, zanim przeniosła się z Nowego Jorku.

- Czy dużo? - Ryan wzruszył ramionami. - Dużo to pojęcie względne. Ktoś, kto pochodzi z Waszyngtonu, powiedziałby, że bardzo dużo. A na kimś z północnej części Vermont ta sama ilość nie zrobiłaby wrażenia. Myślę, że... boja wiem... około dwóch metrów rocznie. Masz samochód z napędem na cztery koła?

- Nie. A będzie mi potrzebny?

- Na Loring Street? Oj, chyba tak.

- Cudownie. - Beth westchnęła - Właśnie wzięłam kredyt hipoteczny, a teraz mam jeszcze kupić nowy samochód?

- Możesz kupić używany. Z drugiej strony zważywszy, ile nam liczysz za swoje usługi, będzie cię stać na kilka wozów terenowych.

- Zważywszy, ile wam liczę za swoje usługi, od biedy może będzie mnie stać na taras za domem - odcięła się.

Lubiła się z nim przekomarzać. Czuła, że istnieje między nimi pewnego rodzaju napięcie erotyczne, ale oboje się pilnowali, żeby nie przekroczyć pewnej granicy, nie podejść zbyt blisko przepaści. Stali na głazach, wysoko nad rwącą rzeką, i przynajmniej ona, Beth, nie zamierzała zdierać z siebie ubrania i skakać na głęboką wodę. Wprawdzie Cindy uważała, że powinna, że niepotrzebnie broni się przed zanurzeniem, ale nagrzana od słońca granitowa skała, na której stała, dawała jej solidne, stabilne oparcie. Szkoda byłoby je stracić.

- No dobrze. - Ryan wypił do końca piwo i odstawił na bok szklanę. - A teraz zdradź mi prawdziwy powód wyjazdu z Nowego Jorku.

Przyjrzała mu się nerwowo. Czyżby wiedział? Jeżeli istotnie łączy go tak długa i bliska przyjaźń z Jeffem, może Jeff mu o wszystkim opowiedział? Jeśli tak, to ona, Beth, zabije Jeffa. Powinien trzymać język za zębami i nikomu nie mówić o nieszczęściu, jakie ją spotkało.

- Jakiś facet złamał ci serce?

Zamrugła oczami, usiłując wziąć się w garść. Napięcie erotyczne nagle się wzmogło. Podczas gdy ona kipiała z wściekłości na myśl, że Jeff plotkował na temat jej zdrowia, Ryan snuł całkiem inne przypuszczenia.

- Nie - odparła. - Nikt mi nie złamał serca.

- Kimkolwiek ten facet jest - ciągnął Ryan, zupełnie jakby nie odezwała się słowem - musi mieć nie po kolei w głowie. Ale w imieniu mieszkańców Devon dziękuję mu za to, co uczynił.

- Nie było żadnego faceta - oznajmiła stanowczym tonem.

To, że Peter ją rzucił, było nic nie znaczącym epizodem w jej życiu, zwłaszcza w porównaniu z tym wszystkim, przez co

musiała przejść w ciągu następnych dwóch lat. I nie miało najmniejszego wpływu na decyzję opuszczenia Nowego Jorku.

- Jesteś ładna, inteligentna, zabawna. Założę się, że połowa facetów w Nowym Jorku szalała za tobą.

- Czasem się z kimś umawiałam - przyznała - ale niezbyt często. Jak ci mówiłam, osiemdziesiąt godzin na tydzień spędzałam w pracy.

- Na przyjemności pozostawało jeszcze osiemdziesiąt osiem.

- Z których większość przeznaczałam na jedzenie i spanie. Niestety muszę cię rozczarować. Naprawdę nie byłam królową balu.

- To potwierdza, że faceci w Nowym Jorku mają nie po kolei w głowie.

Co za ironia losu, pomyślała; akurat teraz, kiedy mówię prawdę, on nie wierzy w ani jedno słowo.

- No dobrze - poddała się. - Rzeczywiście przez jakiś czas spotykałam się z kimś, ale nie była to żadna wielka miłość. Podejrzewam, że tylko dlatego tak długo z sobą chodziliśmy, bo mieliśmy w miarę dopasowane harmonogramy.

I dlatego, że miałam wówczas obie piersi, pomyślała kwaśno. Ryan zmierzył ją uważnie wzrokiem; na jego twarzy pojawił się wyraz sceptycyzmu.

- Wciąż nie rozumiem. Wyjaśnij mi, proszę, dlaczego tak piękna kobieta jak ty postanowiła zamieszkać w tak nudnej miejscinie jak Devon.

- Wcale nie jestem piękna - sprzeciwiła się, uśmiechem maskując zniecierpliwienie. - A do Devon przeniosłam się dlatego, że całymi latami wykonywałam stresującą pracę i wreszcie miałam jej serdecznie dość. Chciałam zamieszkać w domu z ogródkiem. Chciałam chodzić boso po trawie.

- W Nowym Jorku nie ma trawy?

- Czystej nie ma. W każdym razie kiedy zwierzyłam się Cindy, że jestem zmęczona i pragnę jakiejś odmiany, złożyła mi propozycję nie do odrzucenia. Teraz pracujemy w jednym



zespole. A ja jestem matką chrzestną jej córki... I to wszystko. Naprawdę.

Ryan nie wydawał się być przekonany, ale nie drażył tematu.

- Jak przeżyjesz tu parę zamieci śnieżnych, kto wie, czy nie pożałujesz swojej decyzji - powiedział. - Od tych zwałów śniegu ludzie dostają bzika, niektórzy cierpią na klaustrofobię...

- Lubię śnieg. W Nowym Jorku też bywają śnieżyce, więc...

- Ale nie takie jak tu. Tu zimą człowiek ma poczucie, że jest odcięty od reszty świata. Poczucie izolacji narasta stopniowo. Gdzieś w lutym ludzie nie wytrzymują i zaczynają świrować. Wściekają się bez powodu, gadają sami do siebie, zamknięci w czterech ścianach strzelają do kłębków kurzu. Może się okazać, że przeprowadzka do De von to największy błąd, jaki popełniłaś w życiu.

Nie chciała się nad tym zastanawiać.

- Mylisz się, Ryan. Największym błędem, jaki popełniłam w życiu, było wzięcie psa - zażartowała.

- To akurat było twoim najrozsądniejszym posunięciem. Lolek to mądre stworzenie, które potrafi docenić szczęście, jakie go spotkało. Przecież widać, że kocha cię do szaleństwa.

Uśmiechnęła się, mimo że temat miłości, nawet psa do człowieka, budził w niej niepokój.

- No właśnie, powinnam wrócić do domu i sprawdzić, jak się psina miewa. Mam nadzieję, że ogrodzenie zdało egzamin.

- Zdało. - Ryan spojrział na zegarek i na migi poprosił kelnerkę o rachunek. - Dopiero teraz, z radości na twój widok, Lolek może o nim zapomnieć. Zakochane kundle bywają bardzo wylewne.

Skinęła głową. Wiedziała, że Ryan mówi o psim przywiązaniu i wierności, ale... Dlaczego jest taka spięta? Dlaczego nie umie zażartować, powiedzieć czegoś lekkim tonem, tak jak wtedy, gdy rozmowa dotyczyła śnieżnych zim w Devon czy Larry'ego i jego fascynacji owadami? Dlaczego nie potrafi rozmawiać z Ryanem normalnie, tak jak rozmawiała z

innymi mężczyznami, zanim jej życie legło w gruzach? Marzyła, by móc się z nim drażnić, przekomarzać, śmiać się i nie martwić o to, co będzie w przyszłości.

Kelnerka przyniosła rachunek. Ryan wyjął z portfela banknot dwudziestodolarowy, położył go na stoliku, po czym wstał i wyciągnął do Beth rękę. Była pewna, że to taki uprzejmy gest, za którym nic się nie kryje. Ale gdy wstała, nie puścił jej dłoni.

Spodziewała się, że uścisk Ryana będzie silny, mocny. Spodziewała się, że z jego ręki będzie biło ciepło, nie myślała jednak, że idąc z nim przez salę, będzie się czuła tak dobrze. Deż to czasu minęło, odkąd ktoś ją trzymał za rękę! Nic dziwnego, że przebiegały jej po plecach dreszcze. Ryan był miły, przystojny, uczynny, a od czasu kiedy ostatni raz spotykała się z mężczyzną - który w dodatku nie był ani tak miły, ani tak przystojny, ani tak uczynny - upłynęły dwa lata, niemal cała wieczność.

Puścił jej rękę dopiero wtedy, gdy doszli do furgonetki. Beth wzięła kilka głębokich oddechów, starając się uspokoić rozdygotane nerwy. Jeszcze przez chwilę czuła mrowienie w palcach. Kiedy Ryan otworzył drzwi od strony pasażera, zebrała się w sobie, wiedząc, że zaraz ujmie ją za łokciec i pomoże wsiąść.

W środku furgonetka była znacznie bardziej czystsza niż na zewnątrz: na tapicerce nie było śladu brudu czy błota, nic się nie walało pod nogami, telefon leżał wetknięty pomiędzy siedzenia. W kabinie unosił się lekki sosnowy aromat, który - kiedy Ryan usiadł za kierownicą - ustąpił miejsca zapachowi świeżo umytego ciała. Ryan włączył silnik, po czym ruszył w stronę „Walker Construction”, gdzie na placu przed budynkiem Beth zostawiła samochód.

Nie odzywali się do siebie. Beth patrzyła przez okno na szarawo-sine niebo i rozmyślała o mężczyźnie, który siedział obok. Zastanawiała się nad tym, co mu powiedziała, a co przemilczała i jakie wnioski on wyciągnął. Zastanawiała się też,

czy największym błędem, jaki w życiu popełniła, nie było jednak porzucenie stresującej pracy w Nowym Jorku, przyjazd do Devon i przyjaźń z takim facetem jak Ryan.

Niecałe pięć minut później wjechali na pokryty żwirem plac przed magazynem mieszczącym firmę Ryana. Jeśli nie liczyć samochodu Beth i wywrotki do wywozu śmieci, oświetlony pojedynczą latarnią plac był pusty.

Przystanąwszy obok zaparkowanego przed budynkiem auta, Ryan zgasił silnik i odwrócił się do Beth. Nagle kabina wydała się jej przeraźliwie ciasna. Opuściła wzrok i wpatrywała się w tkwiący pomiędzy siedzeniami telefon, w hamulec ręczny, ale były to zbyt małe i kruche bariery, aby mogła się za nimi schować.

Czuła na sobie spojrzenie Ryana, spojrzenie jasne, a zarazem harde, wesołe, a jednak władcze. Czuła w nim siłę oraz ciekawość, najwyraźniej wciąż nie zaspokojoną. Czuła, jak fala zmysłowości i podniecenia podnosi się wyżej, jak obmywa wysoki, kamienisty brzeg, na którym stoją, jak woda uderza o granitowe głazy, szemrząc i wzywając...

- No cóż - powiedziała szczęśliwa, że zdołała wydobyć z siebie głos. - Dziękuję za kolację.

- To była przekąska, nie kolacja.

- To było więcej, niż zwykle jadam wieczorem.

- To może jadasz za mało.

Odwzajemniając jego uśmiech, Beth sięgnęła do klamki. Ryan otworzył drzwi, wysiadł i obszedł furgonetkę, żeby pomóc Beth. Nie pozwalając mu się podtrzymać, stanęła na stopniu i lekko zeskoczyła na ziemię. Żakiet oraz teczkę z dokumentami i komputerem zostawiła na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Sprawdziwszy, czy wciąż tam są, wydobyla z torebki kluczyk i wsunęła go do zamka. Już miała otworzyć drzwi, gdy wtem poczuła, jak na jej ręce zaciska się ręka Ryana.

- Następnym razem umówimy się na prawdziwą kolację - rzekł.

Nie powiedział, że chciałby się z nią umówić, nie zapytał, czy ona by tego chciała, po prostu oświadczył, że się umówią, że się ponownie spotkają, że spędzą z sobą kolejny wieczór. A zatem znów będą stać koło siebie na wysokim, skalnym urwisku i wahać się, czy skoczyć w rwący nurt.

Czuła, że powinna wyprowadzić go z błędu, uprzedzić go, że ona, Beth, się dla niego nie nadaje, powiedzieć mu, żeby nie robił sobie żadnych nadziei, bo się rozczaruje, kiedy pozna prawdę. Ale w tym momencie jego ręka zacisnęła się jeszcze mocniej i Beth odwróciła się. Spojrzenie Ryana było przenikliwe, uśmiech namawiał ją do grzechu, ciało niemal przylegało do jej ciała.

Wbiła wzrok w jego szyję; bała się patrzeć na usta, które pragnęła całować, i w oczy, którym chciała ufać. Przysunął wolną rękę do jej policzka i zaczął ją delikatnie gładzić spracowanymi palcami. Nie miała niczego w dłoniach, co by mogła upuścić na ziemię, ale nawet gdyby trzymała dwulitrowy dzban mrożonej herbaty, nie rozwiązałoby to sytuacji.

Z jednej strony marzyła o ucieczce, z drugiej zaś wcale nie chciała uciekać. Chciała - choć na moment - poczuć dotyk jego ust. Jeden pocałunek nie oznacza przecież skoku na głęboką wodę; jest jak zanurzenie palca w małej, płytkiej kałuży.

Ryan uniósł leciutko jej twarz, po czym delikatnie musnął wargami jej usta. Można by powiedzieć, że był to pocałunek prawie nieśmiały, gdyby nie to, że określenie „nieśmiały” zupełnie nie pasowało do Ryana. Raczej był to wstrzemięźliwy całus, taki, który nikogo do niczego nie zmusza i zostawia obu zainteresowanym osobom możliwość wycofania się.

Jednakże reakcja Beth była daleka od wstrzemięźliwej. Pocałunek odebrała całym ciałem; jego ciepło przeniknęło ją, przepełniło rozkoszą. Jeden mały, lekki pocałunek - a ona zdrząła, serce jej załomotało, cichy jęk wyrwał się z piersi.

Zauważyła, że ciało Ryana stało się napięte. Ręka trzymająca jej rękę zacisnęła się mocniej. Palce drugiej ręki zginały się i

prostowały, dotykając jej krótko przyciętych włosów. Wstrzymał oddech, po czym ponownie przywarł do niej ustami, tym razem z nieco większą siłą.

Westchnęła z błogością. To było takie cudowne. Jej uśpione ciało zaczęło się budzić do życia. Ogień, który w niej zapłonął, przypomniał jej, co to znaczy być w objęciach mężczyzny, jaką radość może dać człowiekowi namiętność, przypomniał jej o tym wszystkim, czego od dwóch lat brakowało w jej życiu. Pocałunek Ryana rozbudził pragnienia, które tak długo ignorowała, i niósł z sobą obietnicę spełnienia, które na nowo uczyniłoby ją kobietą.

Uniosła rękę do jego brody, on zaś mocniej do niej przywarł. Skórę miał ciepłą, suchą, wargi gorące i mokre. Beth ponownie westchnęła. Ogarniała ją coraz większa namiętność. O Boże, jakie to jest wspaniałe, jakie niesamowite - ta bliskość, ten dotyk, który ogranicza się wyłącznie do ust i rąk, a sprawia, że płomień trawi całe jej ciało, każdy skrawek jej duszy. Wtem poczuła, jak nogi się pod nią uginają, ale zanim osunęła się na maskę, Ryan ją podtrzymał.

Wiedziała, że powinni przestać, bo jeśli tego nie zrobią, mogą przekroczyć granicę, której żadne z nich jeszcze przekraczać nie chciało. A z drugiej strony kusiło Beth, żeby skoczyć do wody, zanurzyć się w rzece namiętności, w wirze pożądania. Minęła kolejna minuta - i wreszcie zwyciężył rozsądek. Beth cofnęła rękę, którą obejmowała Ryana za szyję, wolno przesunęła ją po jego piersi, potem opuściła wzdłuż ciała. Chrząknęła cicho, a wtedy on wyprostował się. Oczy miał ciemniejsze niż przedtem, bardziej pochmurne, pełne nie skrywanej żądz. Uśmiech też inny niż dawniej

- łagodny i tęskny, już nie tak żartobliwy.

- Nic z tego nie będzie - powiedziała tonem srogiej nauczycielki.

- Nic a nic? - W oczach Rayana zamigotały wesołe iskierki.

- Zrozum... - Przelknęła ślinę, starając się opanować drzenie głosu. - Jestem twoim prawnikiem, a ty moim klientem.

- Jestem również twoim przyjacielem.

- Tak, ale...

- Jeśli mi powiesz, że nie chciałaś tego pocałunku, będę wiedział, że jesteś również okropną kłamczucha.

Już raz go okłamała - w sprawie wyjazdu z Nowego Jorku. Więcej nie zamierzała.

- Przyznaję, podobasz mi się, ale nasza znajomość musi pozostać platoniczna. Przynajmniej dopóki jestem twoją prawniczką.

Zaśmiał się cicho, po czym uniósł rękę do jej twarzy i pogłodził ją lekko za uchem. Beth poczuła, że nogi majak z waty; z trudem opanowała dreszcz i przygryzła wargi, żeby przypadkiem nie jęknąć z rozkoszy.

- A gdybym cię zwolnił? - zapytał. - Gdybyś nie była już moją prawniczką?

- Larry na pewno by się ucieszył.

- E tam. Do jutra Larry zdąży cię zaakceptować, więc jeśli cię dziś zwolnię, biedak znów przeżyje szok. - Cofnął rękę, uwalniając Beth spod swego uroku. - Nie żeby mnie szoki Larry'ego obchodziły, ale nie zwolnię cię, bo podoba mi się twoja fachowość i rzetelność...

- Możemy po prostu być przyjaciółmi, Ryan. Myślę, że tak będzie znacznie lepiej.

Przez chwilę wpatrywał się w nią intensywnie; uśmiech znikł z jego twarzy, spojrzenie stało się posępne.

- Jeżeli tego naprawdę chcesz, nie będę ci się narzucał. Ale nie sądzę, żeby bycie przyjaciółmi nas zadowalało.

- Naprawdę tego chcę - rzekła, święcie o tym przekonana.

Tak, chciała się wycofać, zanim będzie za późno, poczekać, aż poczuje się bardziej pewna zarówno swoich, jak i jego uczuć. Lubiła go, pragnęła, ale bała się, że może ją boleśnie zranić. A to by straszliwie bolało - być odrzuconą przez pierwszego

mężczyznę, któremu zaufała. Cierpiałaby znacznie bardziej niż po odejściu Petera, bardziej niż wtedy, gdy po raz pierwszy ujrzała w lustrze swoje pociachane ciało, bardziej niż wtedy, gdy wymacała na swej piersi guzek - guzek, który kiedyś znów może się pojawić i tym razem ją zabić.

Nie chciała pokochać mężczyzny, a potem patrzeć, jak on odwraca się i odchodzi, bo nie potrafi znieść prawdy o niej... Bała się ryzykować. Może kiedyś... Ale jeszcze nie teraz, nie z Ryanem. A zatem może nie kłamała. Może istotnie wolałaby być tylko na przyjacielskiej stopie z Ryanem?

Kiedy jednak wsiadła do samochodu i przekreśliła kluczyk w stacyjce, a potem wyjrzała przez okno i zobaczyła go stojącego na pustym parkingu, wcale nie poczuła się szczęśliwa. Ale co miała zrobić? Wycofała się na wstecznym biegu, zawróciła, po czym wolno opuściła plac. Kiedy po chwili zerknęła do lusterka i zobaczyła, że Ryan odprowadza ją zamyślnym wzrokiem, poczuła, jak ogarnia ją bezbrzeżny smutek.

## ROZDZIAŁ 8

Chryste, ależ ona umie całować! Kilka minut po odjeździe Beth Ryan nadal stał na placu przed budynkiem, nadal wpatrywał się w ciemniejące niebo, nadal wciągał w nozdrza zapach spalin z jej auta i nadal kręcił z niedowierzaniem głową, dumając nad tym, dlaczego kobieta, która całuje tak jak Beth, kobieta, która potrafi sprawić, że całe jego ciało płonie, nagle wyrwała się i uciekła niczym mała, przerażona dziewczynka.

Dlatego że jest jej klientem? Na miłość boską, kogo to obchodzi? Wcale nie żartował, mówiąc, że mógłby ją zwolnić. Gdyby wtedy przestała się przed nim bronić, to kto wie?

Przesunął językiem po wargach; zdawało mu się, że wciąż czuje na nich smak Beth. I nagle, gdzieś głęboko w trzewiach, coś go zakłuło. Zrozumiał, że jego pragnienie ma podłoże nie tylko erotyczne, ale również emocjonalne, psychiczne. Pragnął zarówno pocałunków Beth, jak i jej uśmiechu.

Otworzył drzwi furgonetki i wszedł do środka, próbując dojść do ładu z samym sobą. Nie dziwiło go, że hormony w nim buzują; to było normalne. Nienormalna, czy może raczej zaskakująca, była jego reakcja emocjonalna.

Nigdy dotąd nie pragnął kobiety o skomplikowanej naturze. To było zbyt ryzykowne. Kiedy człowiek wkłada mnóstwo czasu i energii w to, by poznać drugą osobę, rozgryźć ją, żal mu potem odejść - to jest jak inwestycja, może nie na całe życie, ale na wiele, wiele lat. Lubił Beth, pragnął czerpać ze złoża namiętności, które w niej kipiały, ale czy chciał się angażować? Inwestować na wiele lat?

Na Boga, ona jest prawniczką. W dodatku reprezentuje jego firmę. Po co mu to? Po kiego diabła wikłać się w romans z taką osobą? Najrozsądniej byłoby spełnić prośbę Beth, wycofać się, zostać jej przyjacielem. Oczywiście co innego mówiły jej usta, a co innego ciało, ale... Tak, powinien przyhamować, nie narzucać się. Wprawdzie kiedy na niego patrzyła, nogi się pod nim



uginały, kiedy się do niego zwracała, przebiegał go dreszcz, a kiedy się uśmiechała, serce biło mu raptownie - lecz cóż stąd? Nie musi się z nią zadawać.

Po chwili znów sobie przypomniał smak jej ust i ogarnęły go wątpliwości. Nie, nie musi zadawać się z Beth, ale chce. Najzwyczajniej w świecie pragnie jej. Pożąda. Psia-kość, nigdy dotąd się tak łatwo nie poddawał. Zawsze był twardzielem, szczyił się odwagą. W dzieciństwie skakał z wysokich skał do lodowatej wody. A teraz jako dorosły... Nadal przecież pociąga go przygoda, wyzwanie. Romans z Beth - tak, tej przygodzie chyba warto byłoby poświęcić trochę czasu.

Przekręcił kluczyk w stacyjce, nacisnął gaz i z piskiem opon wyjechał na ulicę. Pruł przed siebie, co rusz nakazując sobie, żeby skupić się na prowadzeniu, ale ciągle wracał myślami do Beth, do tego, jak ich wargi idealnie do siebie przylegały... Dosłownie kilka centymetrów od skrzyżowania skojarzył, że zapaliło się czerwone światło, i czym prędzej nacisnął hamulec.

Podejrzewał, że przyjechała do Devon leczyć złamane serce. Po prostu żadne inne wyjaśnienie nie trafiało mu do przekonania. Bo czy w innym wypadku uciekłyby jak mała, przerażona dziewczynka?

Jakiś łajdak musiał wyrządzić jej krzywdę, więc skryła się na wzgórzach Devon i tu postanowiła wylizać się z ran. Przez tego drania z Nowego Jorku bała się zaufać innym mężczyznom. Bała się nowego cierpienia. Twierdziła z uporem, że decyzja, by przenieść się do Devon, nie miała nic wspólnego z zawodem miłosnym, ale oczywiście kłamała. Nie chciała odsłaniać swej duszy, pokazywać nie zagojonych ran.

Albo o to chodzi, albo o coś całkiem innego, o czym on, Ryan, nie ma bladego pojęcia. I tu tkwiło ryzyko. Czy warto inwestować czas i energię w próbę rozwikłania zagadki? Jeżeli wciąż będzie myślał o Beth, wszystko rozpamiętywał, nad wszystkim dumął, prędzej czy później znajdzie się w sytuacji bez wyjścia.

Im czarniejsze stawało się niebo, tym głośniejsze cykały świerszcze. Nocne powietrze wpadało przez otwarte okno furgonetki, chłodząc ciało Ryana i porządkując nieco bałagan w jego głowie. Może obejdzie się bez wielkich inwestycji? Może wystarczy pociągnąć Jeffa za język? Przecież Jeff musi wiedzieć, co - poza jego ofertą pracy - sprawiło, że Beth porzuciła Nowy Jork i zamieszkała w Devon. Tak, Jeff na pewno będzie wiedział...

Potrząsnął głową i wybuchnął śmiechem. Nieczęsto zwracał się do przyjaciół po rady w sprawach męsko-damskich. Na ogół żadnych rad nie potrzebował, lecz Beth różniła się od kobiet, które znał. Tak bardzo zależało mu na tym, by przełamać jej opór, że najpierw zwierzył się ze swoich problemów Larry'emu, a teraz zamierzał udać się do Jeffa. Sam nie umiał sobie z nią poradzić.

Skręciwszy na północ z Main Street, wjechał w spokojną dzielnicę, w której mieszkał. Parę przecznic dalej wykonał następny skręt w lewo i znalazł się przed własnym domem. Na ganku paliła się żarówka. Jakiś czas temu zamontował automatyczny włącznik światła, który zaprogramował na godzinę szóstą po południu. Nie chodziło mu o odstraszenie złodziei, po prostu kiedyś zostały mu dwa takie urządzenia, więc postanowił je wykorzystać.

Wcisnął przycisk na pilocie sterującym drzwiami od garażu i wjechał do środka. Automatycznie otwierane drzwi stanowiły jedno z paru udogodnień, jakie zastosował, kiedy trzy lata temu kupił dom. Wyszedłszy z garażu, odetchnął głęboko, wciągając w płuca wonny zapach trawy oraz rosnących w pobliżu dereni. Świerszcze urządzały koncert, zaś poprzez czerń nieba przebiła się pierwsza gwiazda.

A może Beth nie kłamie? Może podała mu prawdziwy powód swojego wyjazdu z Nowego Jorku? Ruszył do skrzynki na listy, żeby wyjąć pocztę. Może Beth rzeczywiście uznała, że nadeszła pora na zmianę, bo znudziło się jej wielkomiejskie życie i teraz

chce spróbować życia gdzieś, gdzie w powietrzu unosi się zapach dereni, a wzdłuż ulic ciągną się pobocza. On sam kilkakrotnie mieszkał w dużych skupiskach miejskich. Krótkie, tygodniowe pobyty w miastach nawet mu się podobały, lubił też życie towarzyskie, które było znacznie bogatsze w Bostonie niż w Devon, ale przekonał się, że woli prowincję, że w głębi duszy jest spokojnym, małomiasteczkowym typem faceta.

Jak to Beth ujęła? Że chce chodzić boso po trawie. Tak, tu w Devon śmiało może to robić.

Przeglądając pocztę, ruszył z powrotem do domu. Otworzył drzwi, rzucił korespondencję na kuchenny stół i skierował się prosto do telefonu; natychmiast zadzwonił do Jeffa i dokładnie wypyta go o Beth. Zanim jednak podniósł słuchawkę, dojrzał mrugające światelko: ktoś nagrał się na sekretarkę automatyczną. Westchnął, cofnął taśmę i usłyszał zmysłowy głos.

- Halo, Ryan? Tu Mitzi. Przepraszam, że zawracam ci głowę. Dzwonię powiedzieć, jak bardzo się cieszę, że mamy podpisaną umowę. Wiesz, nawet przeniosłam się do Devon, żeby móc śledzić, jak idzie budowa. - Roześmiała się kokieteryjnie. - Wynajęłam apartament w takim uroczym zajeździe „Jevon Hill”. Pewnie wiesz, o którym mówię, prawda? W każdym razie skoro tu mieszkam i skoro ty budujesz dla mnie dom, to myślę, że w miarę często będziemy się widywać. - Podała swój numer telefonu, po czym oznajmiła szeptem, że jest po prostu zachwycona, iż to właśnie on będzie doglądał budowy. - Zadzwon do mnie, koniecznie - rzekła na pożegnanie.

Ryan skrzywił się. Tak, wiedział, gdzie się mieści „Jevon Hill” - znacznie bliżej jego domu, niżby tego chciał. Po chwili obraz Mitzi zaczął się zamazywać. Owszem, Mitzi jest bogata, olśniewająco piękna, i wynajęła „Walker Construction” do budowy domu, ale to wszystko. Jej pełna zmysłowości zalotność zupełnie na Ryana nie działa. Zresztą nawet gdyby tak było, to

wiedział, że nie powinien zadawać się z klientką. Jego prawniczka go przed tym ostrzegła.

Uśmiechnął się ironicznie na myśl o swojej prawnicze, jej jasnoniebieskich oczach i jasnych włosach. A parę sekund później przypomniał sobie ciche westchnienie Beth, dotyk jej dłoni na swoim policzku, jej wargi, i już nie uśmiechał się ironicznie - uśmiechał się coraz bardziej marzycielsko, tęsknie.

Sięgnął po słuchawkę i wybrał numer Jeffa Millera. Uznał, że im szybciej dowie się czegoś o Beth, tym szybciej zdecyduje, czy warto się angażować.

Gdyby miała taras, siedziałaby teraz na nim, rozkoszując się miłym, rześkim powietrzem. Wraz z nadejściem wieczoru upał zelżał, a niebo wyglądało tak, jakby przykrywała je wielka, nakrapiana gwiazdami aksamitna płachta. W ogrodzie za domem migotały robaczki świętojańskie; obserwując ich sygnały świetlne, wyobrażała sobie, że są to iskry unoszące się nad ukrytym w ziemi ogrodzeniem, które Ryan zainstalował dla Lolka.

Nie miała jednak tarasu. Gdyby chciała, przypuszczalnie bez trudu znalazłaby kogoś, kto by go zbudował, bo na pewno w Devon jest kilka zakładów stolarskich, ale jakoś nie mieściło się jej w głowie, że mogłaby zatrudnić do tej roboty kogoś innego niż Ryana. Nie tylko dlatego, że był jej klientem i od najmłodszych lat przyjaźnił się z Jeffem, ale dlatego, że święcie wierzyła, iż nikt nie potrafiłby zbudować lepszego ani piękniejszego.

Jednak zatrudnienie Ryana było kłopotliwe z dwóch powodów. Po pierwsze, dopóki łączy ją z Ryanem stosunki służbowe, nie chciała pozwolić, żeby rozkwitła między nimi bliższa znajomość na gruncie prywatnym. Po prostu uznała, że tak będzie lepiej. Nie powinna spotykać się z klientami poza biurem.

A po drugie, gdyby wynajęła Ryana do budowy tarasu, całymi dniami kręciłby się u niej po kuchni i ganku, wbijałby gwoździe,

piłował deski, pocił się, zdejmował koszulę, prosił o mrożoną herbatę... Nie, zwariowałyby; nie wytrzymałaby nerwowo.

- Już i tak zwariowałam - powiedziała do siebie, siadając na prostym drewnianym krześle przy stole w kuchni. - Kto to słyszał, żeby prowadzić rozmowy z psem?

Niewątpliwie wygodniej by się jej siedziało w salonie lub jadalni, ale ponieważ leżały tam na podłodze dywany, a meble obite były tapicerką, wolała nie ryzykować, nie miała bowiem aż tak dużego zaufania do swego kundla. Z kolei nie chciała zostawiać psa w kuchni - czułaby się wtedy zbyt samotna.

Musiała z kimś pogadać. Cindy była jedyną osobą, której mogła się zwierzyć, która wysłuchałaby wszystkiego i może nawet udzieliła jakiejś sensownej rady, ale kiedy wykręciła numer Millerów, usłyszała zajęty sygnał. Na szczęście Lolek doskonale potrafił słuchać, a z jego miny widać było, że w tym momencie ma tylko jedno marzenie: leżeć u stóp Beth i dotrzymać jej towarzystwa.

Ledwo wjechała na podjazd przed domem, pies oszalał z radości, a kiedy przekroczyła niewidzialną granicę i znalazła się po jego stronie ogrodzenia, zaczął szczekać, skakać po niej, lizać ją gdzie popadnie. Razem weszli na ganek. Na widok pustych misek ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Czy powinna była zostawić więcej jedzenia? Jeszcze jedną miskę z wodą? Ona sama przez ostatnią godzinę męczyła się z kanapką tak wielką, że nie była w stanie jej zjeść, a biedna psina nie ma w misce nawet okruszka.

Ale Lolek nie był spragniony jedzenia. Kiedy weszła do kuchni i napełniła mu miskę, wcale nie rzucił się jeść; wolał ganiać w kółko i trącać Beth mordką po łydkach. Spragniony był towarzystwa.

Nalała szklanek mleka, usiadła przy stole i kilkakrotnie głęboko odetchnęła, żeby się uspokoić po emocjach, jakie wywołał w niej pocałunek Ryana. Lolek może sobie biegać i

szaleć, ile chce, ona zaś musi się odprężyć i spokojnie wszystko przemyśleć.

- Wiesz, piesku - rzekła - nie powinnam była się z nim całować. To duży błąd. Jak skuszenie się na ciastko w trakcie ostrej diety. Na pyszne ciastko, które tylko niepotrzebnie człowiekowi przypomina o tym, czego mu jeść nie wolno. Chryste, ten facet jest piekielnie niebezpieczny. Aż mi się wierzyć nie chce, co ze mną potrafił zrobić w niecałe dwie minuty. To było tak podniecające, że... Do diabła, naprawdę nie powinnam była się z nim całować.

Zrobiła to jednak. I tak jak grubas na ostrej diecie, który zjadł jedno zakazane ciastko i pragnie więcej, tak i ona pragnęła więcej.

- Gdybym tylko była normalna - szepnęła, po czym przygryzła wargi.

Nie podobał jej się kierunek, w którym zmierzały jej myśli. Wiedziała, że jeśli ich nie powstrzyma, wkrótce zaczną się nad sobą roztkliwiać, a to była pokusa niemal nie do odparcia, jak ciastko na talerzu grubasa. Wystarczy chwila nieuwagi, i nieszczęście gotowe; tak trudno było się potem na nowo pozbierać.

A jednak kusiło ją, bardzo kusiło. Jeden mały kęs, obiecywała sobie. Jeden kąsek i znów będę silna.

- Wiesz, mały, gdybym miała wszystko na swoim miejscu, wiodłabym normalne życie. Spotykałabym się z mężczyznami, kochałabym się z nimi... Wiem, wiem, gdybym chciała, to teraz też bym mogła, ale...

Pies pomerdał ogonem i zaczął obgryzać nogę stołową. Beth chwyciła go za obrózkę i odciągnęła na bok.

- Przestań, nie jedz mebli. Proszę cię, Lolek. Słyszac swoje imię, szczeniak zaskomlał radośnie i położył łebek na kolanach swej pani.

- Grzeczny piesek.

Pogłaskała go za uszami. Miał miękką, jedwabistą sierść, i gdy przesuwała po niej palcami, pomyślała o cieplej, lekko drapiącej skórze na brodzie Ryana.

- Gdyby był ideałem - szepnęła, wciąż głaszcząc psinę - o nic nie musiałabym się martwić. Pragnąłby mnie taką, jaka jestem. Ale nie wierzę w istnienie ideałów. Gdybym wierzyła, musiałabym odrzucić siebie, bo nie jestem doskonała i nigdy taka nie będę. Nawet nie będę normalna.

Czuła, że jeszcze chwila, a wybuchnie szlochem. Czym prędzej wzięła się w garść, świadoma, że jeśli pozwoli sobie na łyzy, wówczas lamentom nie będzie końca. A wtedy znienawidzi siebie.

- Do diabła z normalnością. Prawda, piesku? Czy to się komu podoba, czy nie, jestem jaka jestem i już. - Pogłaskała psinę po szyi i uśmiechnęła się, widząc, jak z rozkoszy mruży ślepią. - Ty mnie i tak kochasz, prawda? Nie obchodzi cię, jak wyglądam.

Lolek zaszczekał na potwierdzenie.

Beth wciąż się uśmiechała, chociaż łyzy piekły ją w oczy. W młodości wpojono jej przekonanie, że jeśli się czegoś pragnie, to ciężką pracą zawsze można osiągnąć wymarzony cel. Jeżeli chciała mieć nowy rower, mogła przyjąć na siebie więcej obowiązków, a za zaoszczędzone pieniądze kupić taki, który jej najbardziej odpowiadał. Jeżeli chciała mieć dobre stopnie, musiała się uczyć. Jeżeli chciała iść na studia prawnicze, musiała przysiąść fałdów i solidnie przygotować się do egzaminów. Jeżeli chciała mieć ciekawe zajęcie, wysokie zarobki i awansować, musiała pracować z pełnym poświęceniem. Szczęście było pojęciem abstrakcyjnym, czymś, w co nie wierzyła i czego się nie spodziewała.

Ponieważ nie spodziewała się szczęścia, nie spodziewała się również nieszczęścia. Toteż kiedy na nią spadło, zupełnie nie wiedziała, jak sobie z nim radzić.

Ale nauczyła się. Zrozumiała, że trzeba walczyć i nie poddawać się; że nie wolno pozwolić, aby nieszczęście, które

raz człowieka spotkało, zawładnęło nim na zawsze i zniszczyło mu życie. I radziła sobie nieźle, naprawdę całkiem nieźle.

Teraz pragnęła Ryana. Chciała się z nim kochać. Chciała, żeby to było równie proste i naturalne jak ich dzisiejszy pocałunek. Była jednak przekonana, że to pragnienie nigdy się nie spełni, bo w jej życiu nie ma już rzeczy prostych.

Chociaż nie znosiła okazywania słabości, marzyła o tym, by móc się porządnie wypłakać. Miotaly nią gwałtowne uczucia i powstrzymywanie łez wymagało siły, którą w tym momencie nie dysponowała. Kiedy dwa lata temu usłyszała okrutną diagnozę, musiała przyjąć do wiadomości, że straci pierś, włosy, zdrowie. Może życie.

Życia nie "straciła, zdrowie odzyskała, włosy odrosły. Dopiero teraz zrozumiała, że do dawnej listy strat powinna dodać jeszcze jedną rzecz: szansę bycia normalną kobietą, która zakochuje się w normalnym mężczyźnie.

Przestała się wzbraniać i pozwoliła sobie na łzy, na to, by opłakać tę nową stratę, tak jak wcześniej opłakiwała tamte. Lolkowi łzy nie przeszkadzały. Wiedziała, że póki głaszczę go po szyi i czule do niego przemawia, będzie ją kochał, choćby się łały ciurkiem.

Wieczorem chadzano do „Corky's”, żeby tanio zjeść i posiedzieć w sympatycznej atmosferze, a rano chadzano do „Spodka”. Wprawdzie było tu nieco jaśniej, trochę bardziej hałaśliwie i znacznie mniej romantycznie niż w „Corky's”, ale też wobec osoby, z którą się umówił, Ryan nie miał żadnych romantycznych zamiarów.

Jeff popatrzył z zachwytem na swój talerz.

- Omlet z kielbasą - powiedział, uśmiechając się pogodnie. - Tylko błagam, Ryan, cokolwiek by się działo, nic nie mów Cindy. W domu nie wolno mi się tak niezdrowo odżywiać.

- Będę milczał jak grób - obiecał Ryan, zerkając na swój talerz, na którym piętrzył się stos naleśników z borówkami, polanych gęstym syropem.



- Powinniśmy tu częściej przychodzić. - Jeff chwycił solniczkę i uczynił swoje danie jeszcze bardziej niezdrowym.

- Raz na tydzień, jeżeli oczywiście nie wygadasz się Cindy. Chyba zdołałbym wymyślić jakieś drobne kłamstewko, jak myślisz?

Ryan wyszczerzył zęby. Takie były minusy posiadania żony - jeżeli oczywiście żona, która kocha męża na tyle, aby przejmować się tym, co ten nakłada sobie na talerz, może być uznana za minus.

Jeff odkroił gruby plaster kielbasy, włożył go do ust i westchnął błogo. Krawat miał rozluźniony, marynarkę powiesił na oparciu krzesła. Po śniadaniu jechał prosto do biura. Do biura, które dzielił z Beth.

- Wiesz, stary - powiedział Ryan, nadziewając na widelec kawałek naleśnika - nie po to cię zaprosiłem na śniadanie, żeby patrzeć, jak się nabawiasz miażdżycy.

- Domyślam się. - Jeff zjadł kolejny kawałek kielbasy i spojrzał zaciekawiony na przyjaciela. - Co się stało? Mitzi podaje cię do sądu?

- A skądże. Szaleje za mną.

- To gorąca kobitka. Uważaj, żeby cię nie poparzyła.

- Nie chcę rozmawiać o Mitzi. - Ryan upił łyk kawy; starał się mówić spokojnie, nie zdradzać emocji. - Opowiedz mi o Beth.

- O Beth? - Uśmiech powoli znikł z twarzy Jeffa. - O Beth Pendleton?

- Znasz inną?

Jeff wsunął do ust kawałek omletu.

- A co, odkryła błędy w moich umowach? Co prawda mówiła mi, że wszystko w porządku, ale może nie chciała mnie zranić. Wierz mi, to świetna specjalistka. Dlatego zaproponowaliśmy jej, żeby została naszym wspólnikiem.

- Tak, wiem. Wiem też, że przyjaźniła się z Cindy na studiach. I że jest matką chrzestną Eryki.

Jeff popatrzył na Ryana zaintrygowany.

- Tak. Więc o co chodzi?
  - Sam nie wiem - powiedział Ryan, pijąc kolejny łyk kawy.
  - Chciałbym ją bliżej poznać. Miałem nadzieję, że mi pomożesz.
  - Ty? Bliżej poznać Beth? - Jeff skrzywił się.
  - Dlaczego nie? Jestem miły. Wczoraj spędziliśmy razem wieczór. Nawet się pocałowaliśmy. Było cudownie.
  - Więc w czym problem?
  - Nagle się wystraszyła. Nie wiem, co się stało, ale ni stąd, ni zowąd odsunęła się i zrobiła mi wykład o tym, że prawnicy nie powinni się całować ze swoimi klientami.
  - Pojęcie etyki zawodowej jest ci pewnie obce?
  - Przestań, Jeff. To nie ma z tym nic wspólnego. Jesteśmy dorośli, i ona, i ja. A ten pocałunek nie był żadnym cmoknięciem w policzek na dobranoc. Był naprawdę czymś wspaniałym...
  - Świetnie.
  - Więc powiedz mi, co z nią jest nie tak?
  - A dlaczego uważasz, że coś jest nie tak?
  - Odtrąciła mnie. - Roześmiał się speszony. Po chwili mówił dalej, usiłując wytłumaczyć, co miał na myśli: - Po takim pocałunku ludzie się nie odtrącają.
- Jeff w milczeniu przeżuwał jedzenie. Ryan siedział z wzrokiem wbitym w przyjaciela, próbując odczytać jego myśli. Czy Jeff ma mu za złe wścibstwo? Czy czuje się odpowiedzialny za przyjaciółkę swej żony i nie chce o niej plotkować? Czy chodzi o coś całkiem innego?
- Przyszło mi do głowy - rzekł Ryan, uważnie obserwując reakcję Jeffa - że jakiś facet w Nowym Jorku, może był narzeczony, złamał jej serce. A ktoś, kto się raz sparzył, unika ognia.
  - Ciekawa hipoteza - przyznał Jeff.
  - Ale czy ma się jakoś do prawdy?

Wahanie Jeffa irytowało go, zwłaszcza w sytuacji, gdy liczył na prostą odpowiedź „tak” lub „nie”.

- Właściwie niewiele wiem o jej życiu prywatnym...

- Psiakość, Jeff, nie wygłupiaj się. To ja, twój stary kumpel, więc mów: co ona przede mną ukrywa?

- A czy ja twierdzę, że ukrywa? Zresztą nawet gdyby ukrywała, dlaczego miałbym ci cokolwiek zdradzać? Z nią pogadaj, ją spytaj.

- Pytałem. Dała mi długą, wymijającą odpowiedź, jak to zdruzdziło się jej gwarne, wielkomięskie życie z nieustającą pogonią za pieniędzmi i jak zatęskniła za życiem na cichej, spokojnej prowincji. I dlatego pytam ciebie, bo jesteś moim najlepszym przyjacielem.

- Słuchaj, Ryan. - Jeff oparł łokcie na laminowanym blacie i pochylił się w stronę Ryana. - Beth to niezwykła kobieta. Poznaliśmy się, kiedy była na pierwszym semestrze prawa. Co rusz spotykaliśmy się w bibliotece i kłócili o książkę, która każdemu z nas była potrzebna w tym samym czasie. Moje pierwsze wrażenie? Że Beth to bojowy, zawzięty przeciwnik i nie chciałbym się z nią zetknąć w sądzie. - Zamoczył grzankę w stopionym serze, którym polany był omlet, i wsunął ją do ust. - Moje drugie wrażenie? Że to ładna, sympatyczna dziewczyna, ale jakoś nie pociągała mnie fizycznie. Ja jej też. Mniej więcej po czwartej kłótni o tę przeklętą książkę wzięła mnie na bok i powiedziała, że chyba powinna mi przypaść do gustu jej współlokatorka. Zorganizowała nam spotkanie...

- A tą współlokatorką była Cindy? Jeff skinął głową.

- Tak, więc jak widzisz, od samego początku mam wobec Beth dług wdzięczności. Nie mógłbym jej zdradzić.

- A uważasz, że byś zdradził, gdybyś pomógł mi się do niej zbliżyć? Boże, Jeff, czy ja jestem taki okropny?

- Tego nie powiedziałem. - Jeff zanurzył następny kawałek grzanki w roztopionym serze. - Nie jesteś okropny, ale czasem myślisz nie tym organem, co trzeba.

- Obrażasz mnie!

- Pamiętasz Sherianne z Nashui? Ryan uśmiechnął się zawstydzony.

- No dobrze, w tym jednym przypadku masz rację. Ale teraz jestem starszy i mądrzejszy i wcale nie chodzi mi o to, żeby zaciągnąć Beth do łóżka. To wspaniała dziewczyna. Naprawdę cudowna. Chciałbym ją lepiej poznać i...

- Więc co cię powstrzymuje?

- Ona.

Przez chwilę bawił się widelcem, po czym odłożył go na talerz i sięgnął po filiżankę z kawą. Jeszcze żadna kobieta nie wzbudzała w nim takich uczuć. Nawet ślicznej Sherianne z Nashui nie udało się sprawić, żeby oszalał na jej punkcie. Dopiero Beth...

- Zdaję sobie sprawę, że Beth jest wyjątkowa. Że różni się od kobiet, z którymi miałem do czynienia, ale nie wiem, co źle robię. Czym ją odstraszam? Staram się być miły, uczynny. Czy mam u niej szansę? A może ona woli brutalni? Może powinienem chwycić ją za włosy i siłą zaciągnąć do swojej jaskini? Daj mi jakąś wskazówkę.

- Wskazówkę? - Jeff zjadł ostatni kawałek kielbasy. - Proszę bardzo. Jeżeli podniesiesz na nią rękę, to cię zabiję.

- Dzięki, stary - powiedział Ryan ironicznie. - Cieszę się, żeśmy sobie pogadali.

- Słuchaj, naprawdę nie wiem, co ci radzić. Nie mam pojęcia, czy Beth Udzielała się towarzysko w Nowym Jorku i czy zamierza prowadzić bujne życie w New Hampshire. Wiem tylko jedno. Jeżeli zamierzasz się z nią widywać, bądź miły i traktuj ją dobrze.

Ryan rozłożył ręce, przybierając pozę niewiniątka.

- Znasz kogoś równie miłego jak ja? Jeff parsknął głośnym śmiechem.

- No dobrze - ciągnął Ryan. - Mam przysiąc na Biblię, że nie skrzywdzę Beth?

- Jej to powiedz, nie mnie. Jest dorosła. Sama podejmuje decyzje.

- Ale czy mam jakąś szansę? Jeff wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pogadaj z Beth.

- Cholera, w ogóle nie można na ciebie liczyć. Chyba każę ci bulić za to śniadanie.

Mimo wszystko Jeff okazał się bardzo pomocny. Dał Ryanowi najlepszą radę, jaką można dać przyjacielowi, a mianowicie, że jeśli Beth coś ukrywa, to tylko z nią należy rozmawiać ten temat. A także: jeżeli Ryan chce, by jego przyjaźń z Beth przekształciła się w coś więcej, niech jej to wyraźnie powie.

Jeff mógł jedynie otworzyć przyjacielowi oczy na rzeczy oczywiste. Reszta zależała od samego Ryana.

- Mowy nie ma! - zaprotestował Ryan, kiedy Jeff sięgnął do kieszeni po portfel. - Ja stawiam. Swoją drogą, dobry z ciebie kumpel, Jeff. Serio... Schowaj ten portfel.

- W porządku, jak chcesz. Nawet wolę, żeby Cindy nie znalazła rachunku. Strasznie by mi głowę suszyła. Inne żony zastanawiałyby się, z kim ich mąż chadza na śniadania, a moja zamartwiałyby się, czy przypadkiem nie zamówił sobie omletu z trzech jaj.

- To dlatego, że cię kocha - oświadczył Ryan, czując się nagle jak ekspert od spraw sercowych.

Zrozumiał bowiem, że mu się uda, że znajdzie sposób na to, aby dotrzeć do Beth. Sprawí, żeby mu zaufała i przekona ją, że takie pocałunki jak ten wczorajszy ani nie zdarzają się codziennie, ani nie zdarzają się każdej parze. Udowodni jej, że jeśli tylko da mu szansę, mogą przeżyć razem wiele cudownych chwil.

Zamierzał zabiegać o jej względy i zamierzał ją zdobyć. Jeśli coś okropnego wydarzyło się w jej życiu przed przyjazdem do Devon, jeśli coś odcisnęło na niej bolesne piętno, on się postara, by o tym zapomniała.

## ROZDZIAŁ 9

Beth nie miała ochoty na gości. Nawet gdyby dzień minął jej spokojnie, i tak pragnęłyby odpocząć po wczorajszym wieczorze, wyciszyć nieco emocje. Ale ledwo przyszła do pracy, okazało się, że ma dwóch nowych klientów. Jednym z nich był biznesmen, który chciał oskarżyć swego poprzedniego prawnika o złe doradztwo i nieumiejętne reprezentowanie jego interesów. Beth spędziła całe popołudnie studiując dokumenty i z przykrością musiała stwierdzić, że pretensje klienta wobec adwokata są uzasadnione. Wzdrygała się na samą myśl o wszczęciu postępowania przeciwko koledze po fachu, jednak nie dało się ukryć, że na skutek jego niekompetencji biznesmen stracił znaczną sumę pieniędzy.

Zajmowanie się tego typu sprawą było nieprzyjemne i uciążliwe w każdej sytuacji, lecz tego dnia warunki zupełnie nie sprzyjały koncentracji. Beth była niewyspana, bo całą noc przewracała się na łóżku; ilekroć zapadała w sen, śnił się jej Ryan, a wtedy od razu się budziła. Śniło się jej, że mają się kochać, że ona staje przed nim naga, a on cofa się z obrzydzeniem i woła: „Jesteś kaleką? Myślałem, że cię pragnę, ale pomyliłem się!”

W ciągu dnia sen dalej ją prześladował. Kiedy tylko odrywała uwagę od pracy, kiedy dobiegał ją zza drzwi męski głos albo gdy mrużyła na moment powieki, natychmiast widziała przed oczami twarz Ryana. Obrazy przyplływały i odpływały niczym fala, czasem porywając ją ze sobą. Było to męczące, równie męczące jak świadomość, że będzie musiała oskarżyć o niekompetencję innego prawnika.

Po powrocie do domu marzyła jedynie o tym, żeby nic nie robić i o niczym nie myśleć. Zdjęła kostium, który miała na sobie w pracy, wzięła chłodny prysznic, po czym włożyła luźną koszulkę i wiązane w pasie szorty. Na stanik machnęła ręką. Włosy przetarła ręcznikiem i uznała, że to wystarczy. Poza

Lolkiem i tak nikt jej nie zobaczy, a pies kochają bez względu na wygląd.

Telewizor stał w bibliotece. Przez chwilę Beth toczyła walkę z sobą, w końcu jednak doszła do wniosku, że jeżeli Lolek zechce wejść, to go wpuści. Bądź co bądź nie po to bierze się psa, żeby pozbawiać się jego towarzystwa. Tego wieczoru zamierzała włączyć telewizor, wyłączyć umysł i zapomnieć o tym, kim jest. Tego wieczoru zamierzała być wyłącznie bezwładnym ciałem na kanapie, leżeć do góry brzuchem, od czasu do czasu wymienić parę słów z Lolkiem i pogłaskać go po łebku, licząc na to, że głupia psina nie nasika na dywan ani nie zacznie gryźć mebli.

Na wszelki wypadek najpierw wyszła z psem na spacer i dopiero potem, z obawą, lecz i z nadzieją, wpuściła go do biblioteki. Był to mały, wygodny pokój urządony w wyraźnie męskim stylu: sosnowa boazeria na ścianach, okno z widokiem na las, zamiast firanek - sosnowe okiennice, mnóstwo półek na książki, pomiędzy którymi śmiało mogłyby się pomieścić jakieś puchary czy trofea myśliwskie. Pod jedną ścianą, na kamiennej płycie, stał niski, żelazny piecyk.

Przypomniała sobie, że to właśnie Ryan dostarczył rurę odprowadzającą dym.

Cholera! Nie chciała o nim myśleć. Nie tylko przez niego nie spała całą noc, ale przez niego przeplakała pół wieczoru. Tak, to z jego powodu pogrążyła się w rozpacz, z jego powodu czuła się nieszczęśliwa i niepewna. Miała mu to za złe, choć on oczywiście nie zrobił nic, aby zasłużyć na jej gniew.

Nic? Tylko ją całował, trzymał za rękę i jasno dawał jej do zrozumienia, że jest kobietą, której pożąda.

- Nie! - zawołała, starając się odpędzić natrętne myśli. Lolek popatrzył na nią zaskoczony i pomerdał ogonem.

Kiedy pojął, że ów protest nie jest skierowany do niego i że nikt nie zamierza wyrzucić go z pokoju, zaczął ujadać wesoło i ganiać wokół plecionego dywanu, udając, że poluje na

wiewiórki. Beth wcisnęła przycisk na pilocie; ekran telewizora ożył.

Chciało jej się pić, ale nie miała ochoty na piwo; podejrzewała, że to jedno, które wczoraj wypila, wpłynęło na jej płaczliwy nastrój. Prawdę mówiąc, wciąż czuła się lekko skacowana po tych strugach wylanych łez. Uznała, że najlepiej jej zrobi szklanka zimnego soku jabłkowego.

- Mogę zostawić cię samego? Nie nabroisz? – zwróciła się do Lolka, który był zbyt zajęty bieganiem za wyimaginowanymi wiewiórkami, aby zareagować na jej pytanie.

Zdawała sobie oczywiście sprawę, że nie powinna psu ufać, ale była zbyt zmęczona, żeby złapać go i wynieść do kuchni. Modląc się w duchu, żeby nie stało się nic złego i pocieszając, że zaledwie kilka minut temu Lolek przystawał przy każdym kamyku, opuściła bibliotekę.

Akurat skończyła napełniać szklankę, kiedy rozległo się pukanie. Odwróciwszy się, zobaczyła stojącą na ganku wysoką, niewyraźną postać, która usiłowała zajrzeć przez okno do środka. Beth krzyknęła przerażona i wypuściła szklankę z rąk.

Kiedy uświadomiła sobie, że postać za oknem przypomina Ryana, przestała krzyczeć i zaklęła cicho pod nosem. Nie chciała się z nim widzieć, nie chciała się śmiać, nie chciała myśleć, nie chciała pamiętać, jak to było dawniej, kiedy nie miała kompleksów na punkcie swojego ciała. Wiedziała zaś, że on dotykaniem, pocałunkiem lub samą swoją obecnością sprawi, iż znów najdzie ją ochota do życia.

Nie miała na sobie stanika z protezą piersi. W popłochu cofnęła się o krok, marząc tylko o tym, żeby odwrócić się na pięcie i pognać na górę. Złościło ją, że przez Ryana czuje się tak okropnie speszona i zakłopotana we własnym domu.

Wykonała kolejny krok w tył; w tym momencie Ryan ponownie zastukał, po czym przysłaniając ręką oczy, zbliżył twarz do okna. Na pewno ją widział. Beth podejrzewała, że jej ucieczka jedynie wzbudziłaby jego ciekawość.



Skrzyżowała ręce na piersi, zebrała się na odwagę i ruszyła do drzwi, powtarzając w myślach, że jest we własnym domu i ma prawo ubierać się tak, jak chce. Może Ryan zauważy, a może nie. Nie należała do osób hojnie obdarzonych przez naturę i koszulka, którą włożyła po wyjściu z łazienki, zwisała jej luźno na ramionach, więc jeśli za bardzo nie będzie gestykulowała...

Otworzyła drzwi i szybko się cofnęła, żeby nie stać w bezpośrednim blasku lampy zawieszanej nad stołem kuchennym.

- Po co przyszedłeś? - spytała i natychmiast pożałowała ostrego tonu.

Wszedł do środka, trzymając w ręce gruby plik papierów.

- Ciągle coś przeze mnie rozlewasz - powiedział niepewnie.

Ubrany był w roboczy strój: dżinsy, bawełnianą koszulę, buty z cholewami. Włosy miał lekko potargane, na brodzie jednodniowy zarost. Najwyraźniej przyjechał prosto z budowy, nie wykapany i nie ogolony. Ale pachniał świeżo, jak promienie słońca i wiatr. Oczy mu lśniły, a uśmiech wabił.

Z rękami skrzyżowanymi na piersi, Beth podeszła do szafki, w której znajdowały się przybory do sprzątanania, i wyjęła ścierkę.

- Zaskoczyłeś mnie. Nie spodziewałam się gości, a tu nagle widzę za drzwiami jakiegoś obcego faceta... - Nie mogła powstrzymać nerwowego potoku słów.

- Nie jestem taki znów obcy - sprzeciwił się łagodnie; plik, który trzymał w dłoni, położył na stole, po czym też ruszył w stronę szafki. - Powiniennem być zadzwonić.

- Powinieneś być - mruknęła.

Chciała, żeby się odsunął, żeby nie stał tak blisko. Kiedy pochyliła się po szmatę, koszulka wybrzuszyła się, zasłaniając jej okaleczoną klatkę piersiową. Ale Ryan był tuż obok; gdyby wpadła na niego albo gdyby on spojrzął na nią pod pewnym kątem... Wiedziała, że musi coś wymyślić, znaleźć jakiś pretekst, aby pójść na górę i włożyć stanik. W przeciwnym razie Ryan wkrótce pozna prawdę.

- Nic strasznego się nie stało - powiedział, mylnie sądząc, że zdenerwowała się z powodu kałuży na podłodze. - Nie pierwszy raz coś przy mnie rozlewasz.

Uśmiechnął się jeszcze bardziej promiennie, a jej przypomniał się pocałunek, do którego kilka dni temu omal nie doszło w kuchni... a także ten, który miał miejsce parę dni później.

- To prawda. - Nie potrafiła zdobyć się na lekkość czy humor.  
- Ta podłoga jest ciągle mokra. Już mi się znudziło wycieranie.

- Daj, ja sprzątnę - rzekł, sięgając po szmatę. Podskoczyła jak oparzona; wiedziała, że nic jej nie grozi, ale nie umiała się powstrzymać.

- To moja podłoga - oznajmiła, próbując wytłumaczyć swoje dziwne zachowanie. - Sama ją sprzątnę.

- Jak sobie życzysz - powiedział, po czym schylił się i podniósł z kałuży szklanek, która na szczęście się nie stłukła.

- Dobrze się czujesz?

Wcale się dobrze nie czuła. Była podminowana i zbyt zmęczona, żeby jasno myśleć. A mimowolnym, nieświadomym swej roli sprawcą jej kiepskiego samopoczucia był oczywiście Ryan.

- Tak, świetnie - skłamała, zbierając szmatą rozlany sok.

- Przygotowałem wstępny kosztorys, gdybyś się zdecydowała na remont kuchni...

Wyprostowała się zaskoczona, ponownie krzyżując ręce na piersi.

- Nie prosiłam o żaden kosztorys.

Popatrzył na nią z zadumą, jakby usiłował zrozumieć, co w nią wstąpiło.

- To prawda. Przepraszam. Nie sądziłem, że to ci będzie przeszkadzać.

- Owszem, przeszkadza.

Modliła się w duchu, żeby przestał się na nią gapić. Ale on nie spuszczał z niej wzroku, a na jego twarzy malowało się zdumienie, ciekawość oraz lekka irytacja. Z pewnością musiał

się zorientować, że coś z nią jest nie tak. Tylko ślepiec by nie zauważył.

- Przecież nie wysłałem sobie tego remontu z palca. Sama mówiłaś, że chcesz odnowić kuchnię.

- Tak, ale...

Chryste, już wreszcie spytaj. Spytaj, dlaczego wyglądam tak dziwnie. Dlaczego moja lewa pierś leży na górze na komodzie. No, śmiało. Będiesz miał doskonały powód, żeby stąd wyjść i więcej nie wrócić. Pytaj. Przecież wiem, że widzisz.

- A ja odnowię ci ją lepiej niż ktokolwiek inny - ciągnął. - W dodatku za nieduże pieniądze.

- Nie wątpię. - Ze zdenerwowania i napięcia głos miała coraz bardziej piskliwy. - Ale nie powinieneś wpadać bez uprzedzenia.

- Aha. - Wreszcie uświadomił sobie, w czym rzecz. Wstawił pustą szklankę do zlewu i ponownie spojrzął na Beth. - Masz gościa, prawda?

- Co? - spytała zaskoczona; trzymała szmatę przed sobą, wciąż starając się ukryć swoje kalectwo.

- Nie jesteś sama. Przepraszam. - Był bardzo speszony.

- Nie... - szepnęła. Choć była bardziej speszona niż on, chciała wyprowadzić go z błędu. Zanim jednak zdołała cokolwiek powiedzieć, do kuchni wpadł Lolek, szczekając tak głośno, jakby miał zamiar obudzić wszystkich truposzy w sąsiednim stanie.

- To jedyny mężczyzna w tym domu - dokończyła, obserwując, jak pies rzuca się na Ryana.

Ryan odetchnął z ulgą. Kucnąwszy, podrapał szczeniaka pod brodą i za uszami.

- Cześć, kolego! No jak tam? Czy twoja pani dobrze cię traktuje?

Pies polizał Ryana po dłoni, po czym minął go i poleciał zlizywać z podłogi rozlany sok.

- To jeden z plusów posiadania psa - skonstatował Ryan.

- Wyliżą niemal wszystko. Można powyrzucać ścierki.
- Akurat.

Odkąd wzięła ze schroniska Lolka, ścierki były najczęściej używaną w domu rzeczą. Patrząc, jak szczeniak spija z podłogi sok, Beth wiedziała, że najdalej za godzinę ten sam sok ponownie znajdzie się na kuchennej podłodze.

Postawiła wiadro w zlewie, zadowolona, że wreszcie może odwrócić się tyłem do gościa. Im dłużej Ryan koncentrował się na Lolku, tym dłużej na nią nie patrzył. Może zdoła zapomnieć o jej dziwnym zachowaniu, oschłym, nieprzyjemnym, gburowatym, a ona może zdoła wymknąć się na górę, włożyć stanik i załagodzić sytuację.

Ale kto wie, czy wtedy Ryan znów nie zechce jej pocałować. Gdyby tak się stało, od nowa zaczęłaby toczyć z sobą walkę: powiedzieć mu teraz czy później? Dać mu szansę być bohaterem czy pozwolić odkryć, że jest takim samym facetem jak Peter i wszyscy inni przedstawiciele płci męskiej?

Czy warto? Po co się dłużej torturować? Należy wyjawić prawdę i już. Tak, powinna mu powiedzieć, że wzrok go nie myli. Diabli wiedzą, może zareaguje lepiej, niż jej się wydaje. Może chwyci ją w ramiona i krzyknie: „To cudownie, Beth! Co za niesamowity zbieg okoliczności! Całe życie szukałem kobiety o jednej piersi!”

No jasne, pomyślała; prędzej słońce zajdzie na wschodzie.

Zakręciła kran i odwróciła się. Ryan przeglądał papiery na stole, ignorując psinę, która trącała go nosem. Po chwili chyba wyczuł, że Beth na niego patrzy, bo oderwał wzrok od papierów i napotkał jej spojrzenie.

- Bardzo jesteś na mnie zła? - spytał.

- Nie.

Była zła na siebie, na los, na Boga. Ryan zupełnym przypadkiem znalazł się na linii ognia.

- Nie powinienem był przychodzić...

Chciała zaprzeczyć, ale nie potrafiła się na to zdobyć.

- Jeśli to z powodu tego, co wczoraj zaszło...

- Ależ skąd.

Oczywiście, że to z tego powodu, ale nie chciała wdawać się w dyskusję na temat wczorajszych wydarzeń. Nie chciała mówić Ryanowi, że po powrocie do domu płakała jak dziecko - z żalu, iż nie może mieć tego, o czym marzy. Nie chciała mu zdradzać, jak bardzo go pragnie i jak bardzo się boi, że ją odtrąci. Chciała chwilę dłużej żyć złudzeniami.

- Przygotowałem kilka projektów kuchni i tarasu i kilka wstępnych kosztorysów. Myślałem, że cię zainteresują.

Owszem, ale jak sam przyznał, nie powinien był się zjawiać bez uprzedzenia. Nie powinien był zakładać, że przyjmie go z otwartymi ramionami.

- Zostawię je tutaj. Jak będziesz chciała, możesz rzucić na nie okiem - rzekł, kierując się do drzwi.

- Świetnie. Dziękuję.

Powiedz mu! Lepiej, żeby znał prawdę, niż żeby miał cię za wredną jędzę. Powiedz mu. Daj mu szansę. A nuż się okaże, że i tak cię pragnie? Nawet nie musiałyby nic mówić; wystarczyłoby odłożyć ścierkę i unieść koszulkę - sam by zobaczył. A gdyby wzdrygnął się z niesmakiem i odszedł? Tego się właśnie bała.

Nie dziś. Jeszcze nie teraz.

Przez chwilę przyglądał się jej w milczeniu; na jego twarzy odmalowała się rezygnacja. Nie prosił o wyjaśnienie, nawet się nie pożegnał. Jeszcze długo po tym, gdy znikł z jej pola widzenia, słyszała w głowie odgłos zatrzaskiwanych drzwi.

Wsiadł do furgonetki, pociągnął drzwi tak mocno, że nadwerżył nadgarstek i odjechał, klnąc pod nosem.

Do diabła, cóż takiego zrobił? No dobrze, powinien był najpierw zadzwonić. Wielkie rzeczy. Popułnił drobne wykroczenie towarzyskie, a nie zbrodnię przeciw ludzkości.

Ale ona powinna mu była wybaczyć, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, ile czasu poświęcił na przygotowanie kosztorysów. Cały dzień spędził na działce Mitzi, rozmawiając z

wykonawcami i nadzorując budowę. Jednak gdy tylko miał wolną chwilę, wyciągał telefon i dzwonił w różne miejsca, dowiadując się o ceny desek, które nadawałyby się na taras i podłogę w kuchni. W południe zamiast pojechać do miasta po kanapki dla ekipy, wysłał po nie jednego z chłopaków, sam zaś wybrał się do swego dostawcy po próbki farb, fornirów i okuć do szafek kuchennych.

Kiedy wrócił na budowę, okazało się, że w czasie jego nieobecności przyjechała Mitzi. Ubrana była w sukienkę składającą się niemal z samych frędzli i koralików, która odsłaniała więcej, niż Ryan miał ochotę widzieć. Jedząc kanapkę, rozmawiał chwilę ze swoją klientką. Udawał, że strasznie się cieszy z jej wizyty, ale czego to się nie robi dla interesów.

Kiedy ekipa zakończyła pracę, czym prędzej pojechał do biura, nie po to, żeby wziąć prysznic, lecz po to, żeby przygotować dla Beth kilka projektów oraz kosztorysów. Wszystko dokładnie zapisał, wyszczególniając koszt trzech tarasów, jednego mierzącego trzy metry na pięć, drugiego - pięć na pięć, a trzeciego - siedem na siedem. Cena, jaką podał, była stosunkowo niska, w dodatku zamierzał się jej trzymać; może kto inny podałby jeszcze niższą, ale później koszty rosłyby w miarę postępu prac. Uporawszy się z wyliczeniami, wsiadł do furgonetki i ruszył na Loring Road.

Nie był pewien, na co może liczyć, spodziewał się jednak podziękowania, paru słów wdzięczności. Przyjaźni. Gdyby szczęście się do niego uśmiechnęło, może czegoś więcej... Wspólnie spędzonego wieczoru albo wspólnie spędzonej nocy.

A co dostał za swój trud i fatywę? Nic. Figę z makiem.

To prawda, że Beth wcale go nie prosiła o żadne projekty czy kosztorysy. Gdyby go nie znała, mogłaby pomyśleć, że się jej narzuca, że na siłę próbuje zdobyć klientkę. Ale przecież go znała. Była jego doradcą prawnym, przyjacielem, kobietą, którą pocałował i o której nie mógł przestać myśleć.

Dziś też miał ochotę ją pocałować. Nie myślał, że pójdą do łóżka - gdyby się na to nastawiał, wtedy przed wyjściem z biura wziąłby prysznic - jednak zdecydowanie liczył na nieco cieplejsze przyjęcie niż to, które otrzymał. Choćby na serdeczny uścisk.

Lecz Beth cały czas trzymała ręce skrzyżowane na piersi, jakby ścisnęła samą siebie. Albo jakby jej ręce były tarczą, którą się przed nim osłania. Kiedy podszedł bliżej, cofnęła się, wymachując mu przed twarzą brudną ścierką do podłogi. Gdyby nie Lolek, temperatura w kuchni spadłaby do zera.

Może niektórzy uważali go za zarozumialca i łobuza, ale naprawdę nie był przyzwyczajony, żeby traktowano go w ten sposób. Wiedział, że nie każdej kobiecie musi się podobać, potrafił jednak w miarę trafnie odgadnąć, gdy któraś była nim zainteresowana. Beth zaś... No cóż, najwidoczniej źle odczytała sygnały, które wysyłała. A przecież mogła się uśmiechnąć i powiedzieć: „Przykro mi, lecz nie”. Zrozumiałby; nikt by się nie obraził, nikt do nikogo nie miałby pretensji.

Ech, do diabła z nią! Niech kto inny zbuduje jej taras. Albo niech do końca życia mieszka w domu bez tarasu. Niech piękne, ciepłe wieczory spędza wewnątrz, zamiast pod rozgwieżdżonym niebem. On nie zamierza sobie więcej zwracać nią głowy.

Nagle poczuł się potwornie samotny.

Z samotności mógłby się łatwo wyleczyć. Wystarczyłby telefon do pewnej młodej wdowy, która zatrzymała się w „Jevon Hill”. Gdyby zjawił się z wizytą u Mitzi, na pewno nie wrzasnęłaby przerażona, nie upuściłaby szklanki na podłogę i nie skrzyżowała rąk na piersi niczym dziewica, która usiłuje odeprzeć atak wampira. Raczej sięgnęłaby po drugą szklankę, napełniła ją czymś mocniejszym od soku jabłkowego, czego nie pozwala się zlizywać pieskowi i skapo odziana - przystąpiłaby do działania. Gdyby to dobrze rozegrał, zapewne wkrótce omawialiby, jakie należy wprowadzić ulepszenia w jej sypialni.

Podjejrzał jednak, że po wyjściu od Mitzi nadal czułby się samotny. Może znalazłby w jej ramionach chwilowe ukojenie, ale nie znalazłby tego, czego szukał.

To, czego szukał, znajdowało się w starym domu przy Loring. Nie był do końca pewien, czym to dokładnie jest, ale wiedział ponad wszelką wątpliwość, że Mitzi nie zdoła mu tego zaoferować. Ani Mitzi, ani żadna inna kobieta. Tylko Beth. Beth owiana tajemnicą, której on za skarby świata nie potrafi rozwikłać.

- Wiesz, czego ci trzeba? - spytała Cindy.

Beth mogła wymienić miliony różnych rzeczy, poczynając od zmywarki do naczyń, a kończąc na ciele mężczyzny, do którego mogłaby się w nocy przytulić. Ale ponieważ na myśl o męskich ciałach wpadała w przygnębienie, postanowiła skupić się na bezpieczniejszym temacie.

- Nowej kuchni - odparła.

- Owszem, tego też, ale przede wszystkim potrzebujesz tarasu za domem.

Beth jęknęła cicho. Oczywiście taras natychmiast skojarzył się jej z męskim ciałem. Przyjaciółka nieświadomie poruszyła czułą strunę.

Minęło kilka dni od niespodziewanej wizyty Ryana, kiedy to zjawił się u niej z plikiem papierów zawierających projekty przebudowy kuchni. Beth przejrzała je uważnie, przeanalizowała rysunki oraz fotografie, na których widniały różne rodzaje fornirów na szafki oraz deski podłogowe, a potem długo walczyła z sobą, wahając się, czy zadzwonić do Ryana i powiedzieć mu, że zdecydowała się na remont.

Nie zrobiła tego. Bała się Ryana, a do nikogo innego nie miała zaufania.

Był ciepły sobotni poranek. Cindy i Beth odpoczywał) na schodkach prowadzących na ganek, naprzeciw nich siedziała w wózku Eryka. Dziewczynka, ubrana w prześliczny żółty opalacz i białą czapeczkę, przywiązana szelkami, żeby nie wypaść z



wózka, obserwowała Lolka, który ganiał po ogrodzie, a gdy nudziła jej się beczynność, rzucała przed siebie kolorowe, plastikowe klocki, które Cindy z Beth na zmianę podnosiły, żeby nie porwał ich pies.

- Gdybyś miała taras - ciągnęła Cindy - mogłabyś postawić na nim meble ogrodowe. A wtedy siedziałybyśmy sobie wygodnie na krzesłach...

- Mówisz, jakbyś była staruszką.

- No wiesz! Po prostu wolę siedzieć na krześle niż na stopniu. Od czasu ciąży mam problemy z kręgosłupem.

Kusiło Beth, żeby powiedzieć przyjaciółce, że problemy z kręgosłupem są naprawdę niczym w porównaniu z próbą mamy, którym ona, Beth, musi stawić czoła. Ale ugryzła się w język. Nie chciała, żeby Cindy czuła się przy niej skępowana czy żeby starała się unikać pewnych tematów.

- Prawdę mówiąc, nawet myślałam o zbudowaniu tarasu - rzekła.

- Tak? Masz wstępny kosztorys?

- Aha.

Cindy obróciła się twarzą do Beth, zanim jednak zdołała zadać następne pytanie, Eryka rzuciła grzechotkę na ziemię i zaczęła płakać.

- Już, wasza wysokość... - Cindy poderwała się na nogi, podniosła grzechotkę, wytarła ją o dół swojej bluzki, po czym oddała zabawkę córce i wróciła na schodki. - I co, wynajmiesz firmę Ryana?

- Nie wiem.

- A kto ci zrobił kosztorys?

Beth westchnęła głośno. Cindy niepotrzebnie pyta, przecież zna odpowiedź.

- Nie chcę o nim rozmawiać.

- Słuchaj, znam Ryana od wielu lat. - Cindy strzepnęła z ramienia przyjaciółki komara, po czym oparła się o poręcz.

- Straszny z niego hultaj, to prawda, ale ma dobre serce. Nie wierzę, żeby wyrządził ci jakąkolwiek krzywdę.

- Nie wyrządził - zapewniła ją Beth i ze stojącej obok miseczki wzięła garść łuskanych orzechów. - To miły facet, ale nie ma między nami iskry.

- Nie żartuj. Ja jestem odporna na jego wdzięki, bo mam cudownego męża... - Popatrzyła z uśmiechem na ząbkującą córeczkę, która trzymała w buzi plastikowego precla. - Ale ty? No, chyba że zachował się wobec ciebie wyjątkowo podle.

Beth ponownie westchnęła.

- Nie, to ja zachowałam się podle - rzekła.

Wrogość, jaką mu okazała tamtego wieczoru, najwyraźniej skutecznie go wystraszyła. Od tamtej pory nie odezwał się do niej ani razu.

- Ty? Podle?

- Cindy, nie jestem jeszcze gotowa, by wiązać się z kimś takim jak Ryan.

- Brak ci wiary w siebie.

- Czyżby?

- Ciekawe dlaczego?

- Jak to dlaczego? Spójrz na mnie. Spójrz, jak teraz wyglądam.

- Patrzę, Beth, i widzę zmęczoną dziewczynę w dzinsowych szortach i bawełnianej koszulce, która powinna posmarować sobie twarz kremem, bo od słońca robią się jej czerwone policzki. Ale w sumie ta dziewczyna jest całkiem atrakcyjna. - Uważnie mierzyła przyjaciółkę wzrokiem, a ta siedziała spięta, pewna, że zaraz usłyszy mądrą radę, jak to powinna się odprężyć i wykonać skok na głęboką wodę. Cindy jednak miała inną propozycję: - Może masz rację. Może Ryan jest zbyt nieokielznany i za przystojny. Ale Martha Strossen mogłaby cię z kimś umówić. Gdybyś chciała, to bez trudu znalazłaby ci kogoś...

- Nie chcę, żeby mnie z kimkolwiek swatano - sprzeciwiła się Beth. - Nie susz mi głowy, Cindy, błagam cię. Słowo daję, potrafisz być bardziej irytująca od Lolka.

Cindy zerknęła na psa, który stał oparty przednimi łapami o pień klonu i szczekał na skaczącą po gałęziach wiewiórkę.

- Strasznie urósł, prawda?

- Mam wrażenie, że Lolek codziennie podwaja swoją objętość.

- Nie żałujesz?

- Że go kupiłam? - Beth pokręciła głową. - Uwielbiam go. Ale mam nauczkę - dodała z kwaśnym uśmiechem - że nie należy kierować się sercem. Zakochałam się w głupiej psinie wzięłam ją pod swój dach i teraz muszę znieść jej wybryki. Jedna miłość rocznie starczy, na więcej nie mam siły.

- No dobrze, w tym roku padło na Lolka, może w przyszłym spróbujesz szczęścia z Ryanem. Oczywiście, jeśli na dal będzie wolny.

- Niczego nie będę próbować z Ryanem - oświadczyła stanowczo Beth. Już raz próbowała i okazało się, że jeden mały pocałunek zupełnie wytrącił ją z równowagi.

Cindy spojrzała na zegarek.

- No, zbliża się pora obiadu... Na pewno nie wybierzesz się nad jezioro?

- Dzięki, ale mam mnóstwo spraw do załatwienia - powiedziała Beth. Jeżeli czuła się zakompleksiona w bluzce zapiętej pod szyję, jak by się czuła w kostiumie kąpielowym? - Muszę kupić kilka poduch na kanapę w bibliotece. Lolek zniszczył poprzednie. Pewnie jemu też się wyrzynają zęby - dodała, spoglądając na Erykę, która mimo plastikowego precla w buzi znów zaczęła popłakiwać.

Cindy wstała, pochyliła się nad wózkiem i wzięła dziecko na rękę.

- Co, malutka, bolą dziąsła? Zaraz je posmarujemy. Mamusia ma maść na wszystko. - Wolną ręką zaczęła grzebać w

dużej płóciennej torbie zawieszonej na wózku. -Maść na dziąsła, maść na główkę, maść na pupkę. Żeby się ty Ikonie pomylić...

Wyciągała kolejno różne tubki. Przy okazji z torby wypadały różne rzeczy, a to czysta pieluszka, a to paczka krakersów, a to smoczek. Beth ruszyła przyjaciółce na pomoc. Podniosła z trawy pieluszkę, smoczek, tuż nad ziemią złapała cienką, złożoną w pół gazetę.

- Co to? - spytała. - Eryka już studiuje „Wall Street Journal”?

- To nie „Wall Street Journal”, tylko „Devon Gazette”. Przyniosłam specjalnie dla ciebie.

- Co? - Beth rozłożyła gazetę. Na pierwszej stronie ujrzała duże, kolorowe zdjęcie przedstawiające dziecięcą drużynę baseballową. - O kurczę! - Roześmiała się. - Uwielbiam życie w małych miasteczkach.

- Powinnaś ją sobie zaprenumerować. Można tu znaleźć informacje o wszystkich wyprzedazach i festynach w okolicy, a także różne ważne wiadomości, na przykład o tym, czy dział robót publicznych kupił nowy pług śnieżny albo które dziecko wygrało konkurs ortograficzny.

- Cudowne!

Przewracając strony, Beth cieszyła się, że nie mieszka już na Manhattanie, gdzie napady rabunkowe stały się taką codziennością, że nie było sensu o nich pisać. Jaka to frajda mieszkać w miejscu, gdzie na pierwszą stronę trafiają wyniki rozgrywek dziecięcych drużyn baseballowych.

- Możesz ją sobie zatrzymać. Ja już przeczytałam. - Cindy uniosła głos, żeby przekrzyczeć szloch dziecka. Roz-smarowała maść po dziąsłach Eryki, po czym przytuliła do siebie nieszczęśliwe maleństwo. - Moje biedne słoneczko. Och, jak strasznie boli. - Westchnęła zrezygnowana. -Wiesz, Beth, z tego jednego powodu mogłabym zostać ateistką. Czy naprawdę Bóg nie mógł wymyślić nic lepszego? Dlaczego skazuje niemowlęta na taki ból?

- Nie płacz, malutka. - Beth pogłaskała lekko Erykę po plecach.

Nawet Lolek przybiegł zaniepokojony szlochem dziewczynki.

- Myślę, że najlepiej zrobi jej drzemka, a potem wycieczka nad jezioro. - Cindy pocałowała córeczkę w policzek. - Tak, królowno. Wrócimy teraz do domku, spakujemy manatki i pojedziemy nad jezioro. Dobrze? A wiesz, kto w domku na nas czeka? Tatuś. Zobaczysz, u tatusia na rączkach nic cię nie będzie bolało...

Ale nawet obietnica, że tatuś weźmie ją na ręce, na niewiele się zdała. Łzy lały się strumieniem. Beth szybko wrzuciła torbę do wózka i ruszyła z nim na podjazd, gdzie stał samochód Cindy. Cindy tymczasem niosła wrzeszczącą wniebogłosy córkę. To niesamowite, że w jednej sekundzie dziecko może być radosne, a w następnej tak okropnie nieszczęśliwe.

Ale tak w życiu czasem bywa, pomyślała Beth. Jednego dnia człowiek pracuje w liczącym się zespole adwokackim na Manhattanie, pnie się coraz wyżej, a następnego siedzi w gabinecie onkologa i słyszy, że wynik biopsji okazał się pozytywny.

Albo w jednej chwili można całować się z najbardziej seksownym mężczyzną na świecie, a w następnej starać się uciec przed straszliwą burzą uczuć, która nami miota.

Odsuwając od siebie te ponure myśli, Beth zapięła Erykę w foteliku. W tym czasie Cindy złożyła wózek i schowała go do bagażnika. Nagle płacz ustał. Dziewczynka wpatrywała się w Beth załzawionymi oczami. Beth poczuła klucie w sercu. Przyszło jej do głowy, że pod wieloma względami Eryka przypomina Lolka - jest kapryśna, wymaga dużo uwagi, ale wszystkich darzy miłością.

Oczywiście z czasem Eryka dorośnie, zacznie chodzić, mówić, stanie się prawdziwym człowiekiem. Dzięki Eryce Cindy poznała smak macierzyństwa, które dla Beth wciąż było

pojęciem abstrakcyjnym. Kobieta i pies nie tworzą bowiem rodziny. Pomimo Lolka Beth pozostawała samotna.

Starając się uwolnić od ponurych myśli, uściskała Cindy i pomachała jej na pożegnanie. Gdy wróciła do ogrodu, Lolek ponownie warował pod klonem, chociaż wiewiórka, którą gonił, dawno przeskoczyła na inne drzewo. Pies szczekał, obwąchiwał pień. Nawet ciekawiło Beth, ile czasu minie, zanim zorientuje się, że wiewiórki już nie ma. Niełatwo jest pogodzić się z rzeczywistością, pomyślała, uśmiechając się do psa.

Podniosła z ziemi gazetę i przysiadła z powrotem na schodkach. Wrzuciła do ust garść orzeszków i zaczęła przeglądać pismo; przeczytała o drużynie skautek śpiewających dla starszków w klubie seniora, o kobiecie szyjącej kołdry, która jedną przeznaczyła na aukcję na rzecz miejscowej biblioteki, o członku Rady Zasobów Naturalnych, który uważa, że należy ograniczyć połów ryb w miejscowych rzekach. Przeczytała również kronikę policyjną: komuś sąsiad za bardzo hałasował, komuś innemu jakiś dowcipniś pomalował skrzynkę na listy, gdzieś na drodze leżał martwy kot. Najgorszą rzeczą, jaka w ciągu ostatniego tygodnia wydarzyła w Devon, był wypadek na szosie 47: kierowca pikapa zderzył się z sarną - pojazd został lekko uszkodzony, ale samie nic się nie stało.

Devon jest miejscem wyjątkowo bezpiecznym, dlaczego więc Beth nie czuje się tu bezpieczniej niż w Nowym Jorku?

Dlatego że w Devon mieszka Ryan.

Przestań o nim myśleć, nakazała sobie i wróciła do czy tania. Przejrzała drobne ogłoszenia, oferty sprzedaży domów. Na ostatniej stronie widniała lista osób i zakładów zalegających z podatkami od nieruchomości. Składała gazetę, kiedy nagle wpadło jej w oko znajome nazwisko.

Firma „Walker Construction” winna jest miastu czterdzieści dziewięć tysięcy siedemset czterdzieści pięć dolarów w zaległych podatkach. Beth zaklęła cicho. W tym momencie nieważny był taras, remont kuchni, montowanie wiatraków u

sufitu czy wstawianie drzwi. Nieważne, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu pocałuje się z Ryanem i czy poczuje się na tyle pewna siebie, aby opowiedzieć mu o swoich przejściach. Nieważne, że może nigdy nie zdoła się przekonać, jaki on naprawdę jest: czy dostatecznie silny, dobry i kochający, aby zaakceptować prawdę o niej.

W tym momencie liczy się tylko to, że jest doradcą „Walker Construction”, a właściciel firmy, Ryan Walker, ma kłopoty, obowiązkiem zaś prawnika jest wybawienie klienta z opresji.

RS

## ROZDZIAŁ 10

Nic się nie działo. Najciekawszą w tej chwili rzeczą w życiu Ryana było obserwowanie zwariowanej milionerki z Bostonu, która w złotych sandałkach na wysokich obcasach paradowała po pełnym błota placu budowy.

Wcześniej tego rana siał drobny deszcz, toteż cały teren pokrywały kałuże. Ryan czekał na dostawę betonowych płyt. Zakładał, że jeżeli się nie rozpada, to do połowy tygodnia wyleje fundamenty. Tymczasem po rozkopanym placu jeździły koparki, żłobiąc w ziemi koleiny. Trochę deszczu nie było w stanie im przeszkodzić.

Trochę deszczu nie było też w stanie przeszkodzić Mitzi. Krążyła po swej posiadłości w lśniącym, jaskrawo-czerwonym płaszczu przeciwdeszczowym, którego poły co rusz rozchyłały się na boki, odsłaniając króciutkie spodenki i sięgającą pępka bluzkę. Młoda wdowa wyglądała jak żadna przygód szesnastolatka, która spędziła wieczór w towarzystwie koleżanek, chichocząc i malując złotym lakierem paznokcie u nóg, tak by pasowały kolorem do sandałków.

Ryan wiedział, że zbyt surowo ocenia Mitzi. Nie zrobiła nic, aby zasłużyć na jego pogardę. Po prostu godzinę temu przyjechała na plac budowy najnowszym modelem mercedesa, pomachała wesoło do zajętych pracą chłopaków, a potem chodziła za nim krok w krok, opowiadając o importowanych różowych kafelkach, jakimi chce wyłożyć podłogę w holu oraz o jesionowych blatach, jakie chce zamówić do kuchni. Usta jej się nie zamykały. Chwaliła Ryana, mówiła mu, że jest wspaniały i że dzięki niemu jej wymarzony dom wkrótce stanie się rzeczywistością. Nie mogła się doczekać, żeby wypróbować ogromną wannę, którą chciała umieścić w łazience, bezpośrednio pod oknem w suficie - tak, tak, nie mogła się doczekać, żeby odkręcić kran, napełnić wannę gorącą wodą, dolać parę kropli perfum, a potem wyciągnąć się wygodnie i



wpatrywać w gwiazdy na niebie. Oczywiście będzie w wannie mnóstwo miejsca na jeszcze jedną osobę, dodała szeptem, spoglądając znacząco na Ryana.

Cały kłopot w tym, że Ryan nic do niej nie czuł. Gdyby go chociaż pociągała fizycznie! Mogliby cudownie spędzać czas, bo nie ulegało wątpliwości, że Mitzi jest otwarta na różne propozycje.

Ale Ryan nie potrafił się oszukiwać, nie potrafił udawać czegoś, czego nie czuje. Mitzi była niezwykle atrakcyjną kobietą, gorącą i rozkoszną jak kąpiel, na którą tak ponętym szeptem zapraszała, Ryan jednak nie umiał na zamówienie wzbudzić w sobie zapału. Mitzi po prostu go nie interesowała, nie była w jego typie. Całą jego uwagę pochłaniała humorzasta, jasnowłosa prawniczka, która całowała lepiej niż jakakolwiek inna kobieta na świecie.

Minął prawie tydzień, odkąd widział się z Beth. Niemal tydzień od tamtego dziwnego spotkania, kiedy przyniósł jej do domu kosztorysy, a ona powitała go tak, jakby zarażał trędem.

Przynajmniej mogła zadzwonić i powiedzieć, że dziękuje, ale nie zamierza wynająć „Walker Construction” do budowy tarasu. Wystarczyłby jeden telefon, nawet nie musiała rozmawiać z nim osobiście. Mogła przekazać wiadomość Larry'emu albo nagrać się na sekretarkę. Zdarzało się, że składał klientowi ofertę, a potem czekał miesiąc na jego decyzję. Podejrzewał jednak, iż milczenie Beth nie jest normalną reakcją osoby niezdecydowanej, która nie wie, jaki projekt woli albo która chce zdobyć więcej informacji i porównać ceny, zanim wybierze wykonawcę.

Sądził raczej, że go unika. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu wołała udawać, że nic między nimi nie zaszło, zapomnieć nie tylko o ich pocałunku, w trakcie którego świat niemal zatrzęsł się w posadach, ale również o tym, że kiedy się nie całowali, to całkiem przyjemnie spędzali razem czas. Rozmawiali, śmiali się i cieszyli swoim towarzystwem. Albo ta

radość była jednostronna, odczuwana wyłącznie przez niego, albo Beth jest najbardziej schizofreniczną kobietą w całej Nowej Anglii.

- A jeśli chodzi o wieszaki w łazience... - trajkotała nieprzerwanie Mitzi, drepcząc za Ryanem przez plac.

Dwie stare sosny rosły w miejscu, gdzie powinna stać betoniarka, z której lały się beton na fundamenty. Ryan spytał Mitzi, czy drzewa można ściąć; odparła, że nie, za żadne skarby. Zatem zsuwnię należy umieścić od drugiej strony, a to znacznie wydłuży czas robót i podnosi koszty. Ponieważ jednak Mitzi za wszystko płaci, ona ma decydujący głos. Dzięki Beth Ryan nie musiał się martwić, że jego firma zostanie obciążona dodatkowym kosztem.

Zdolna z niej prawniczka, pomyślał smętnie. Żałował, że go unika. Żałował, że...

Nieustająca paplanina Mitzi wyrwała go z zadumy.

- Gdybyś zamontował takie podłużne grzałki, na których można by suszyć ręczniki, wtedy po wyjściu z wanny nie marzlibyśmy. To znaczy ja i ta druga osoba...

- Już ci mówiłem, Mitzi: żadne grzałki czy kaloryfery nie pomogą, jeśli chcesz mieć okno w suficie. Po prostu będzie to chłodne pomieszczenie. Zrobię, co będę mógł, ale na wiele nie licz. Albo świetliki, albo ciepło.

- Nie chciałabym, żeby ktoś się przeziębził. Mój ukochany mąż... niech spoczywa w spokoju... otóż mój mąż Win-nie lubił chłodne wnętrza. Był odporny na zimno. A ty, Ryan? Wolisz chłód czy ciepło? Założę się, że... O, spójrz, czy to nie twoja prawniczka?

Ryan odwrócił się tak raptownie, że ochlapał błotem buty. Patrząc ponad ramieniem Mitzi, zauważył szczupłą blondynkę stojącą na poboczu, nieopodal zaparkowanych samochodów. Miała na sobie beżowo-żółty kostium, ciut jaśniejszy od włosów, oraz niebieską bluzkę, ciut ciemniejszą od oczu. W rękę trzymała skórzaną teczkę. Wilgotny wiaterek poruszał jej

włosami. Pomimo zasnutego chmurami nieba, świat wydał się Ryanowi pogodny i słoneczny.

Trwało to tylko chwilę, bo zaraz uzmysłowił sobie, że przecież Beth nie jechałaby taki kawał drogi po to, aby sprawić mu przyjemność. Jeżeli chciała z nim porozmawiać, mogła umówić się z nim gdzie indziej. Jeżeli zdecydowała się na remont kuchni lub budowę tarasu, mogła zadzwonić do firmy. Skoro zaś w godzinach pracy postanowiła wybrać się aż tu, na peryferie miasta, to znaczy, że ma do przekazania niedobre wieści.

Kłębiące się na niebie chmury miały piętnaście różnych odcieni szarości, z których wszystkie idealnie odzwierciedlały nastrój Ryana. Przeklinając cicho, przeprosił Mitzi i zostawił ją przy jej cennych sosnach, sam zaś ruszył po porytym koleinami placu do Beth, która czekała przy furgonetce.

- Co za miła niespodzianka - powiedział, myśląc w duchu: dlaczego twarz ma taką gładką i świeżą, dlaczego spojrzenie takie łagodne i niewinne?

Nie ufał nowej współpracownicy. A raczej nie ufał sobie. Jego ciało natychmiast zareagowało na jej widok, mięśnie napięły się, tętno podskoczyło, odżyły wspomnienia... Cholera! Nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo się za nią stęsknił.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam - rzekła - ale to ważne.

Tyle to i sam się domyślił. Nie przyjeżdżałaby, gdyby nie miała ważnego powodu.

- Co się stało? Lolek natknął się na skunksa? - spytał ironicznie.

W jej oczach pojawił się błysk, trochę złości, trochę zaniepokojenia.

- Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności? Z dala od tych wszystkich ludzi? To naprawdę ważne.

Rozejrzał się po placu budowy, po czym ujął Beth za łokieć; minęli furgonetkę oraz stojący beczynnie buldożer i ruszyli w stronę lasu, który rósł na skraju posiadłości. Tam, wśród drzew,

byli prawie niewidoczni. Na ziemi zaś leżało tyle sosnowych igieł, że buty Beth nie zapadały się w błocie.

Kiedy doszli na miejsce, Ryan zwolnił uścisk. Jej bliskość działała na niego podniecająco. Nawet tak niewinny kontakt fizyczny stanowił próbę, która mogła okazać się ponad jego siły.

Zapach sosen i nadciągającego deszczu mieszał się z zapachem Beth. Jak na drugą połowę czerwca było chłodnawo, Ryan jednak płonął. Ręce mu drżały, mięśnie miał napięte do ostatnich granic. Pragnął, żeby to spotkanie czym prędzej dobiegło końca. Im szybciej Beth zniknie mu z oczu, tym szybciej on wróci do poprzedniego stanu.

- Twoja firma zalega z podatkiem od nieruchomości - oznajmiła.

- Co? - Rozśmieszyło go, że tak błahą wiadomość przekazuje z tak grobową miną.

- Firma „Walker Construction” winna jest miastu prawie pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Parsknął jeszcze bardziej tubalnym śmiechem.

- Przyjechałaś taki kawał drogi, żeby mnie o tym poinformować?

Najwyraźniej nie podzielała jego wesołości.

- Tak, choć zdaję sobie sprawę, że to nie należy do obowiązków prawnika. Nie musiałabym się fatygować, gdyby nie Larry. Prosiłam Lynne, żeby mu wszystko wytłumaczyła, ale kiedy zadzwoniła, Larry oświadczył, że nie będzie z nią rozmawiał.

- Wcale mu się nie dziwię. Ja też nie lubię rozmawiać z Lynne. Kiedy człowiek z nią rozmawia, to czy chce, czy nie, dowiaduje się różnych niepotrzebnych rzeczy, na przykład: jakie Stalin miał upodobania muzyczne albo jak się rozmnażają nagie ślimaki lądowe.

- Czasem Lynne potrafi być uciążliwa - przyznała Beth - ale z drugiej strony jest wprost nieocenionym źródłem wiedzy. Udzieliła mi doskonałych rad, jak postępować z Lolkiem...

- Ale przy ogrodzeniu to ja harowałem...

Może nie powinien był tego mówić, skoro przyjechała do niego w sprawach służbowych, ale co tam. Nawet jeśli zamierzała wyprzeć się ich znajomości, przyjaźni, tego, że się całowali, że mogliby zostać kochankami, on nie musi iść jej na rękę i też o wszystkim zapomnieć.

- Ryan, nie przyjechałam z wizytą towarzyską - powiedziała cicho.

- To znaczy, że licznik bije?

- Nie.

Ponownie wciągnęła głęboko powietrze. Obserwował, jak nozdrza jej drgają. Nigdy dotąd nie zwrócił uwagi na to, jaki ma ładny nos, jak idealnie pasujący kształtem do reszty twarzy.

- Słuchaj, Ryan... - Patrzyła w bok, unikając jego spojrzenia. - Przyjechałam, bo masz kłopoty natury prawnej. To nie jest najlepsza pora, żeby rozmawiać o... innych rzeczach.

- A kiedy będzie dobra? Wreszcie napotkała jego wzrok.

- Powiedz mi, zamierzasz zapłacić te podatki czy wolisz, żeby miasto skonfiskowało twoje mienie?

- Pogadaj z Larrym. On jest od płacenia podatków.

- Już rozmawiałam. Kiedy Lynne nic nie wyszło, pojechałam zobaczyć się z nim osobiście. Larry zupełnie nie rozumie, dlaczego tak bardzo się tą sprawą przejmuję.

- Ja też nie - powiedział Ryan.

- Przecież figurujecie na liście dłużników wydrukowanej w „Jevon Gazette”.

- Z powodu pięćdziesięciu tysięcy dolarów? - Wzruszył ramionami. - Pewnie chodzi o podatek za ośmiohektarową działkę, którą kupiliśmy w zeszłym roku. Jeszcze nic na niej nie wybudowaliśmy. Nie mamy pomysłu.

- To nieistotne. Podatek i tak trzeba zapłacić.

- W porządku. Zapłacę.

- Próbujesz mnie zbyć.

- Powiedziałem, że zapłacę, więc zapłacę.

- Słuchaj, kiedy twój dług trafia do wiadomości publicznej, sprawa jest poważna. Nie traktuj tego tak lekko...

Zachowywała się jak dyrektorka szkoły strofująca nieposłusznego uczniaka. Miał wrażenie, że za chwilę każe mu napisać sto razy na tablicy: „Zawsze będę pamiętał o płaceniu podatku od nieruchomości”.

- Nie, ty słuchaj! - Był zły i wcale się z tym nie krył. - Jesteśmy w Devon. Wszyscy mnie tu znają. Znąją Larry'e-go. Wcześniej znali naszych ojców. Nikt nas nie przepędzi z miasta tylko dlatego, że niechcący przegapiliśmy wpłatę podatku.

- Przegapiliście kilka wpłat. Nie trafia się na listę dłużników z powodu miesięcznego opóźnienia. Zalegacie z podatkiem od roku.

- I co z tego? Przecież wszyscy i tak wiedzą, że zapłacimy. Pewnie Larry myślał, że już dawno uregulował płatności. Pewnie wsadził gdzieś rachunek i zapomniał o sprawie. Czasem bywa trochę roztrzepany. Czy to takie ważne?

- Bardzo ważne. Kiedy prowadzisz firmę i miejscowa prasa podaje, że firma zalega z podatkiem, to źle o tobie świadczy. Jeśli tego nie rozumiesz... Tchórz cię obleciał, co? Nie chcesz spojrzeć prawdzie w oczy!

- Tchórz? Daj spokój! Larry i ja jesteśmy uczciwymi ludźmi. Prowadzimy uczciwą firmę budowlaną. Może na Manhattanie jest inaczej. Może w kancelarii adwokackiej w Nowym Jorku wszystko się płaci na czas, ale tu jest De-von. Tu ludzie żyją spokojniej, na większym luzie.

- Jestem twoim doradcą prawnym. Moim obowiązkiem jest dbać o twoje interesy.

- Twoim obowiązkiem jest dbać o interesy mojej firmy, ale na razie odpuść sobie.

Słyszał nutę furii w swoim głosie. Beth też musi ją słyszeć. Musi mieć świadomość, że choć sprzeczną się o zaległe zobowiązania finansowe „Walker Construction”, to ilekroć Ryan otwiera usta, mówi o sobie i o niej, o rozczarowaniu, jakie czuje,

o zniecierpliwieniu, a także o swojej frustracji. Nie chciał, żeby mu tak bardzo zależało na jakiegokolwiek kobiecie, ale na Beth mu zależy, i to ogromnie. To uczucie zaś w równym stopniu go rozwścieczało, co wprawiało w zdumienie. Kropla deszczu spłynęła z liścia nad głową Beth i opadła na jej czoło. Ryan nie mógł oderwać od niej oczu, Beth zaś zdawała się w ogóle jej nie zauważać.

- Ryan, zrozum, nie próbuję robić ci czegokolwiek na złość. Jestem po prostu dobrym prawnikiem i staram się wybawić cię z kłopotów. Chciałabym, żebyś wytłumaczył Larry'emu, jak poważne konsekwencje mogą wynikać z zaległości podatkowych. Wiem, że on mnie nie lubi, ale...

- Lubi cię - powiedział ochryplym głosem. Wszystkie zmysły miał wyężone, wzrok wbity w drżącą na czole dziewczyny przezroczystą kropelkę.

- Ryan...

Głos Beth również zabrzmiał ochryple. Domyśliła się, że Ryan nie słucha już tego, co ona do niego mówi, i nie patrzy na nią jak na swego doradcę. Patrzy na nią jak na kobietę, której pożąda.

Tkwiąca nieruchomo kropelka powoli doprowadzała go do szału. Wiedział, że cokolwiek się teraz zdarzy - a nie wątpił, że coś się jednak zdarzy - w obronie własnej powoła się na chwilową niepoczytalność spowodowaną przez jedną kropelkę deszczu.

Zbliżył się do Beth i musnął wargami jej czoło. Kropla była zimna, skóra gorąca. Beth drgnęła zaskoczona, leciutko uniosła głowę, ale nie cofnęła się. Stała bez słowa i bez ruchu na dywanie z sosnowych igieł, opuściwszy bezradnie rękę.

Spostrzegł z satysfakcją, że nie zacisnęła dłoni w pięści, a zatem chyba nie wybuchnie gniewem. Pozwalając sobie na lekki uśmiech, ponownie musnął wargami jej czoło, a potem pocałował ją w czubek nosa.

- Jesteś taka piękna - szepnął.

- Wcale nie - odparła stanowczo, choć też szeptem. Zrozumiał, że nie jest to żadna kokieteria, że Beth nie doprasza się komplementów i nie szuka powodu do sprzeczki. Po prostu stwierdza fakt. Tyle że to nie jest fakt obiektywny. Najzwyczajniej w świecie myli się i już. Ma przecież szczupłą, zgrabną figurę, wspaniałe rysy twarzy, złociste włosy, piękną cerę, długie rzęsy, usta, które od jego ust dzielą trzy centymetry, dwa centymetry...

Wreszcie nic ich już nie dzieliło. Ryan wsunął ręce pod żakiet Beth i zacisnął je na jej talii. Rozkoszował się znajomym smakiem. Beth smakowała jak melon z miodem, jak czekolada z miętą. Uosabiała namiętność. Rozsunął językiem jej usta, czuł narastające podniecenie. Przytulił ją mocniej, demonstrując swą żądzę. Ciałem Beth wstrząsnął dreszcz. Uniosła ręce, a gdy zacisnęła palce na jego ramionach, wyobraził sobie, jak zaciskają się gdzie indziej, jak go gładzą, pieszczą...

Kropla deszczu spadła teraz na jego rozgrzaną twarz. Niemal się zdziwił, że nie zaskwierczała, spływając mu po policzku. Przywierali ciasno do siebie, poruszali się rytmicznie. Beth wbiła paznokcie w jego ramiona i jęknęła cicho, gdy przesunął ręce z jej talii na biodra i przywarł do niej jeszcze mocniej.

- Ryan, przestań - szepnęła.

Drżała, ale wiedział, że nie drży z zimna. Obejmował ją, jej ciało przylegało do jego ciała przez warstwy ubrań, które ich dzieliły, czuł bijący od niej żar. Wtuliła twarz w jego pierś i westchnęła zrezygnowana.

- Już przestaję - obiecał, ale przestał jedynie Beth całować.

- Nie chcę... - powiedziała.

- Chcesz. Chcemy.

- Nie wypada...

- Jak mi jeszcze raz powiesz, że prawnik nie powinien się zadawać ze swoim klientem, to cię zwolnię. Przysięgam. Nawet gdybym miał wylądować za kratkami za niepłacenie podatków, to cię zwolnię.



Usłyszał jej przytłumiony chichot. Powoli uwolniła się z jego objęć i wtedy zobaczył, że chociaż się śmieje, wyraz oczu ma poważny.

- Ryan, ja... naprawdę nie mogę.

- Czego nie możesz? - spytał, obserwując ją uważnie. Wiedział, że Beth pragnie go równie mocno jak on jej.

Był o tym dogłębnie przekonany. Świadczyły o tym jej usta, jej ciało, ogień, który trawił ich oboje. Więc o czym, u diabła, ona mówi?

- Nie mogę się z tobą spotykać.

Ponownie zacisnął ręce na jej talii. Patrząc na zwróconą ku sobie twarz, zobaczył, że spojrzenie ma szkliste, a otwarte usta drżą.

- Dlaczego?

- Bo nie jestem... - Wzięła głęboki oddech i zmusiła się, aby nie odwracać wzroku. - Nie jestem wcale taka, jak myślisz.

- To znaczy?

Przez chwilę się w niego wpatrywała, po czym opuściła powieki.

- Nie... chcę o tym mówić. Proszę cię. Nie teraz. Teraz chciałabym ci wbić do głowy, jak ważną rzeczą jest podatek od nieruchomości.

Dla Ryana najważniejszą rzeczą w tym momencie był straszliwy ucisk, jaki czuł w sercu. Przed sobą miał kobietę, która w tym przypadku mogła mu ulżyć, kobietę, która umiała sprawić, aby się śmiał i cieszył z życia, która go podniecała, która potrafiła zawładnąć jego myślami i wyobraźnią. Kobietę, która twierdziła, że nie jest taka, jak on myśli. Podatki znajdowały się na końcu jego listy priorytetów.

- Zobaczmy się dziś wieczorem? - spytał.

- Nie.

- Jutro?

Przygryzła wargę i pokręciła przecząco głową.

- A jeżeli obiecami ci, że dziś po południu wypiszę czek i osobiście zaniósę go do odpowiedniego urzędu?

Blady uśmiech wypełził na jej usta.

- Ryan... Nie myśl, proszę, że cię nie lubię. Lubię.

- Uf, kamień spadł mi z serca! Bo wiesz, sądząc po tym, jak mnie całujesz, już zacząłem się bać, że mnie niena widzisz.

- No tak. Kiedy się całujemy, przyznaję, troszkę tracę głowę.

- Świetnie. - Tak bardzo chciał, żeby obdarzyła go bardziej radosnym uśmiechem. - A co mam zrobić, żebyś ją całkiem straciła?

Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie chcę tracić głowy. Nie jestem jeszcze gotowa, Ryan. Wiem, że bym sobie nie poradziła.

- Z czym, Beth? Z czym byś sobie nie poradziła? Na miłość boską, przecież oboje pragniemy tego samego.

Potrząsnęła głową; z jej uśmiechu przebijał tak ogromny smutek, że Ryan z całej siły musiał się powstrzymać, aby nie wziąć jej ponownie w ramiona.

- Życie nie jest takie proste, jak ci się wydaje - rzekła. - Nic nie jest proste...

- Ale nie jest też skomplikowane - zaprotestował. Miał wrażenie, że zaczyna się w tym wszystkim gubić.

Podejrzewał, że Beth się czegoś boi, że coś przed nim ukrywa, jakąś dziwną tajemnicę, której nie chce lub nie może wyjawić. Ale cokolwiek to było, święcie wierzył, że zdoła rozwiać jej lęki i obawy. Musi mu tylko zaufać, dopuścić go do siebie.

- Słuchaj, Beth, zależy mi na tobie. Chciałbym ci pomóc. Jeżeli mi powiesz, co ci leży na sercu, to razem na pew...

- Nie mogę - przerwała mu w pół słowa.

- Dochodzi jedenasta, stoimy koło jakichś buldożerów, a ja muszę wracać do biura. O dwunastej finalizuję umowę.

- No tak. Nie możemy pozwolić, żebyś się spóźniła - powiedział kwaśno.

Nie próbował ukryć żalu. Wiedział, że mogłaby ich połączyć szalona namiętność, która przesłoniłaby im świat, ale dla niej liczy się tylko praca, klient, sąd.

- Przykro mi, Ryan - szepnęła ze łzami w oczach. Zobaczył je i uwierzył, że mówi prawdę. Ale dlaczego?

Czy musi tak być? Czy nie mogą wspólnie zastanowić się nad tym, co ją boli, i wspólnie poszukać rozwiązania? Dlaczego wycofuje się, dlaczego się od niego oddala, kiedy on wie ponad wszelką wątpliwość, że powinni iść razem?

Dlaczego, na miłość boską, oczy ma pełne łez?

Wiele pytań cisnęło mu się na usta, ale musiał pogodzić się z tym, że odpowiedzi nie otrzyma. Beth odeszła parę metrów, schyliła się pod potężnym ramieniem buldożera, po czym szybkim krokiem ruszyła po zabloconym placu w stronę samochodu, który zostawiła na poboczu drogi.

Źle z tobą, Beth, pomyślała, wciskając pedał gazu i prędko odjeżdżając z placu budowy. Nie spisałaś się, kochana. Wszystko zepsułaś.

Jakim prawem oskarżyła Ryana o tchórzostwo, kiedy nie przejął się informacją o tym, iż znalazł się na liście dłużników? Powinna wiedzieć, że ludzie często nie potrafią spojrzeć prawdzie w oczy. W każdym razie widząc jego reakcję, przypomniała sobie, jak sama - po usłyszeniu diagnozy lekarskiej - nie przyjęła do wiadomości faktu, że rak zabija. Wmawiała w siebie, że guzek na piersi wcale nie jest złośliwym nowotworem. A jeśli jest, to nic strasznego się nie stanie. Nie straci przecież całej piersi...

Oczywiście niewiara w to, iż niezapłacenie kilku kolejnych rat podatku może mieć bardzo poważne konsekwencje, i niewiara w to, że się ma raka, to dwie całkiem różne sprawy. Nie da się jednak ukryć, że Ryan starał się nie dopuścić do siebie przykrych myśli.

A ona? Czy dopuszcza do siebie prawdę o tym, co teraz czuje?

Na pewno nie jest to miłość ani uniesienie. Raczej stan dziwnego, niepojętego szaleństwa. Może po prostu chemia, wzajemne przyciąganie, zwierzęcy magnetyzm, nieubłagana siła grawitacji, układ planet, wibracje hormonalne...

Wszystko to nie brzmi ani naukowo, ani logicznie. Owszem, Ryan jest przystojnym, wspaniale zbudowanym mężczyzną, ale nigdy dotąd nie pociągał jej żaden facet tylko z tego powodu. Więc dlaczego Ryan tak na nią działa. Może chodzi o jego poczucie humoru, o zręczność w rękach, o zdolności twórcze. Może o hipnotyzujące piwne oczy, duże, szerokie dłonie albo sposób, w jaki ją całował. Może zaś o sposób, w jaki tulił ją do siebie, w jaki przywierał do niej całym ciałem?

Choć dojechała już do głównej ulicy w centrum Devon i była daleko od Ryana, wciąż czuła, jak jej ciało drży z podniecenia.

Własna reakcja jej nie dziwiła, dziwiła ją natomiast jego reakcja. Nie mieściło się jej w głowie, jak ktokolwiek może mówić, że ona, Beth, jest piękna, kiedy nieopodal krąży istota o tak niezwykłych atrybutach jak Mitzi Rumson. Dlaczego Ryan nie całuje Mitzi, dlaczego jej nie obejmuje? Dlaczego woli Beth?

Dlatego że nie zna prawdy. Dlatego że gdy sprzeciwiła się, iż wcale nie jest piękna, on nie miał najmniejszego pojęcia, o czym ona mówi.

Skręciła w boczną ulicę i zaparkowała przed biurem. Przed wyznaczonym spotkaniem miała jeszcze chwilę, żeby wypić jogurt, uspokoić się po burzliwej rozmowie z Ryanem, trochę oddalić od siebie wspomnienia poranka. Weszła do sali konferencyjnej z silnym postanowieniem, że nie da po sobie niczego poznać, że żadna z osób siedzących przy długim stole - a było ich pięć: kupujący, sprzedający, dwóch pośredników od nieruchomości oraz przedstawiciel banku - nie domyśli się, w jakim Beth Pendleton znajduje się stanie.

Finalizacja umowy przebiegała sprawnie. O trzeciej wszystko było zapięte na ostatni guzik. Uczestnicy spotkania wymienili

uścisk dłoni. Bankier wręczył czek sprzedającemu, ten zaś przekazał go Beth. Beth dzielnie szczyrzyła zęby w uśmiechu, czekając, aż wszyscy pogratulują sobie udanej transakcji i pożyczą sobie szczęścia. Dopiero gdy goście opuścili budynek, wróciła biegiem do swojego gabinetu i opadła na fotel; czuła się jak gumowa lalka, z której uszło powietrze. Chociaż okna w pokoju zostawiła otwarte, a dzięki nisko zawieszonym chmurom nie dokuczał upał, była mokra od potu. Niemyślenie o Rynie wymagało ogromnego wysiłku.

Postanowiła jednak, że podejmie ten wysiłek.

Dźwignąwszy się z fotela, przeszła przez korytarz do pokoju, w którym kiedyś mieściła się kuchnia. Większą część pomieszczenia zajmował obecnie gabinet Cindy, ale była tam również spora wnęka, w której znajdowała się umywalka, mała lodówka oraz kuchenka mikrofalowa. Na szafce leżał smoczek Eryki.

Beth wyjęła z lodówki półlitrową butelkę soku pomarańczowego i wzięła ją z sobą do gabinetu. Pociągnęła z niej łyk, po czym wygrzebała z biurka dokumenty dotyczące sprawy o niekompetencję prawnika, który naraził swego dawnego klienta na poważne straty finansowe. Miała nadzieję, że skupienie się na zawiłościach prawnych pozwoli jej zapomnieć o Rynie.

Przez dwie godziny studiowała dokumenty, wynajdując mnóstwo powodów ku temu, by wnieść oskarżenie. O piątej w butelce nie została już ani kropla soku, a Beth wszystko widziała podwójnie. Gdyby to był Nowy Jork, zadzwoniłaby do chińskiej restauracji, zamówiła jakieś danie na wynos i spędziła następne dwie lub trzy godziny, ślęcząc przy biurku. Ale ponieważ nie była w Nowym Jorku, a Lolka na cały dzień zostawiła w ogrodzie za domem, uznała, że pora kończyć pracę.

Zgarnęła papiery, wsunęła je do skoroszytu, skoroszyt zaś zamknęła w biurku, po czym wyłączyła komputer i schowała go do teczki. Pustą butelkę po soku wrzuciła do pojemnika na

plastikowe odpady, wstała i przeciągając się. obiecała sobie, że zaraz po powrocie do domu uściska psa -z wdzięczności za to, że gryzienie mebli i załatwianie się nie tam, gdzie trzeba, to jedyne problemy, jakich jej dostarcza A z takimi problemami mogła sobie radzić, nie tracąc przy tym zdrowia psychicznego.

Z teczką w rękę opuściła gabinet i ruszyła do drzwi wyjściowych. Lynne siedziała przy biurku w recepcji, gawędząc z Jeffem. Jeff, który całe popołudnie spędził w sądzie, wyglądał jak półżywy; krawat miał rozwiązany, okulary zaparowane od wilgoci.

- Jak poszło? - spytała Beth.

- Świetnie. - Pomimo zmęczenia był wyraźnie ożywiony.

- Trzech świadków oskarżenia przyznało się, że było za ciemno, żeby mogli widzieć twarz mojego klienta. Ława przysięgłych będzie musiała to wziąć pod uwagę.

- Wina faceta nie ulega wątpliwości.

- Skąd wiesz? Widziałeś go? Przecież było za ciemno. - Jeff uśmiechnął się zadowolony z siebie.

- To dość niebezpieczna linia obrony - oznajmiła ze znanstwem Lynne, odchylając się w fotelu.

- Według konstytucji...

Nagle drzwi otworzyły się szeroko i do kancelarii wkroczył Ryan.

- Cześć, stary! - ucieszył się Jeff. - Co cię sprowadza? Ryan zignorował przyjaciela. Nawet nie spojrzał na

Lynne, która posmutniała, że przerwał jej wykład na temat konstytucji. Od samego wejścia patrzył tylko na Beth.

Włosy miał wilgotne, policzki lśniące od padającej mżawki, nogawki spodni zabłocone, koszula lepiła mu się do ciała. Oczy płonęły gniewnie, groźnie.

- Musimy porozmawiać - rzekł.

Beth przełknęła ślinę. Ręce miała zimne, ale czuła, że z karku bucha jej żar. A także z brzucha, policzków, z bioder i ud. Zalała ją fala wspomnień, wspomnień o pocałunkach, o

pokrytych odciskami palców gładzących jej twarz, o ciele, które przywiera do jej ciała. Ożyło też wspomnienie żalu i pretensji, które dostrzegła w oczach Ryana.

Tak, należy mu się wyjaśnienie. Zanim dojdzie między nimi do czegokolwiek więcej, powinien usłyszeć prawdę. Nie może dłużej z tym zwlekać.

- Masz rację - powiedziała, nie widząc nikogo poza nim. - Musimy porozmawiać.

Gabinet Beth zmienił się od ostatniego razu. Podłogę przykrywał teraz wiśniowy dywan w nieduże wzory, kilka grafik zdobiło ściany, na półkach stały równo, niczym żołnierze w szyku, oprawy w skórę tomy, oknom wdzięku dodawały zasłony, a biurko lśniło jak lustrzana tafla.

Ryan rozejrzał się szybko po pokoju, po czym utkwił spojrzenie w Beth. Wchodząc do budynku, kipiał z wściekłości; gotów był chwycić ją za ramiona, porządnie nią potrząsnąć, wydusić z niej jakąś odpowiedź, przemówić jej do rozumu. Ale teraz, gdy byli sami na drugim końcu korytarza, z dala od Lynne i Jeffa, którzy przez chwilę z rozbawieniem obserwowali ich powitanie, jedyne, na co miał ochotę, to ściągnąć z Beth żakiet, potem niebieską bluzkę, spódnicę, wszystko aż do końca. Pragnął obsypać ją pocałunkami, pragnął słuchać, jak doprowadzona do orgazmu jęczy i dyszy. I pragnął tego samego dla siebie.

Dopiero później, jeśli kiedykolwiek wrócą na ziemię, mogliby porozmawiać.

W żakiecie, w bluzce starannie zapiętej pod szyją, z rękami skromnie skrzyżowanymi na piersi, stanęła za biurkiem. Oczy błyszczały jej gorączkowo, usta nerwowo się zaciskały.

- Pomyślałem - zaczął - że gdybyśmy poszli do łóżka, mielibyśmy to wreszcie z głowy.

Jej policzki zaczerwieńły się.

- Co mielibyśmy z głowy?

- To... Nie wiem, jak to nazwać. Zadurzenie. Obsesję. Pożądanie.

Popatrzyła na okno, jakby rozważała, czy nie skoczyć na parapet i nie uciec z pokoju. Po chwili westchnęła cicho i przeniosła wzrok na Ryana.

- Słuchaj...

- Nie, nie, poczekaj. - Musi przekonać Beth, że nie wyrządzi jej krzywdy, że pragnie zdobyć jej sympatię i zaufanie. - Rozmawiałem z Lanym. Zagroziłem, że jeśli jutro nie ureguluje zaległości podatkowych, połamie mu kości. Obiecał, że zapłaci. Czyli jak widzisz, sprawa będzie załatwiona.

- Ryan...

- Staram się. Naprawdę. Słyszałem wszystko, co mi rano mówiłaś...

- Chyba jednak nie wszystko.

Korciło go, żeby wziąć ją w ramiona i mocno przytulić.

- Wszystko - powiedział szeptem, obchodząc biurko. Na szczęście Beth nie odsunęła się, choć prawdę rzekłszy, nie za bardzo mogła, bo za sobą miała półkę z książkami. - Słyszałem każde twoje słowo. O tym, że życie nie jest proste, a ty nie jesteś taka, jak myślę. Ale mówiłaś też, że ci się podobam i że przeze mnie tracisz głowę. A ja tracę przez ciebie, Beth, i uważam, że powinniśmy razem zatracić się w tym szaleństwie.

- Chciałeś porozmawiać - przypomniała mu, kiedy dzieliło ich zaledwie kilka centymetrów.

Istotnie, po to przyjechał. Ale teraz, gdy stał przy niej, tej najbardziej denerwującej, a zarazem intrygującej i tajemniczej istocie, jaką kiedykolwiek w życiu spotkał, pragnął czegoś więcej niż samej rozmowy.

Odwróciła się, chcąc precyzyjnie się między biurkiem a półką z książkami, ale szybko objął ją w pasie i przyciągnął do siebie. Czuł, jak łopatki Beth wpijają się w jego klatkę piersiową, a jej pośladki w jego biodra. Delikatnie potarł brodą jasne, pachnące szamponem cytrynowym włosy.



- Ryan... - Głos miała ochryply. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Dobrze.

Odsunął brodą kilka kosmyków, żeby mieć dostęp do jej ucha. Jęknęła cicho, kiedy wodził po nim językiem. Potem zadrżała, nogi się pod nią ugięły...

- Czy już zaczynasz tracić głowę? - zapytał szeptem.

- Ta... - Zabrzmiało to trochę jak westchnienie, trochę jak warknięcie. - Ale nie chcę. Musimy pogadać.

- Później. - Przycisnął ręce do jej brzucha, a po chwili, gdy znalazł palcami jej żebra, przesunął dłonie wyżej. Pragnął gładzić jej piersi, pragnął wzbudzić w niej choć połowę tego pożądania, jakie ona w nim wzbudzała. Nagle Beth chwyciła go za ręce i oderwała je od siebie.

- Ryan...

Czekał, aż opadnie z niego napięcie, aż będzie w stanie normalnie mówić. Jeżeli Beth naprawdę zależy na rozmowie, w porządku, powie jej, co mu leży na sercu.

- Kochaj się ze mną - szepnął.

Przez moment milczała, potem zacisnęła palce na jego nadgarstkach.

- Nie wiem, czy będziesz chciał...

Czy będzie chciał? Musi być całkiem ślepa, jeśli nie widzi, jak ogromnie jej pragnie. Po prostu wariuje z pożądania.

- Dlaczego miałbym nie chcieć?

- Bo mam jedną pierś.

## ROZDZIAŁ 11

To było jak porażenie prądem - prądem zbyt słabym, aby mógł zabić czy wyrządzić krzywdę, ale na tyle silnym, by go wyraźnie poczuć. Beth wyobraziła sobie, że właśnie czegoś takiego dozna Lolek, jeśli spróbuje przekroczyć ukryte pod ziemią ogrodzenie. Ręce Ryana, na których zaciskała dłonie, leciutko zeszywniały. Na ułamek sekundy wstrzymał oddech. Jego ciało drgnęło i nagle pomiędzy jego klatką piersiową a jej plecami pojawiła się szpara, której wcześniej nie było.

Beth przymknęła powieki. W ciszy, jaka zapanowała w gabinecie, słyszała tykanie swojego zegarka.

Wiedziała, co się stanie. Domyśliła się w chwili, gdy między nią a Ryanem wytworzyła się przestrzeń, coś jakby strefa ochronna. Wciąż miała ciało rozgrzane od jego dotyku, serce dalej łomotało jej z podniecenia, ale wiedziała ponad wszelką wątpliwość, że teraz, gdy Ryan zna prawdę, zachowa się tak samo jak Peter. Po prostu odpłynie w siną dal, pozostawiając ją samą na brzegu.

- Masz jedną pierś - powtórzył zmienionym głosem. Nuta humoru i drwiny, wyczuwalna nawet wtedy, gdy był zły, całkiem zanikła.

- Tak.

Obejmował ją w pasie, ale kiedy zabrała dłonie z jego rąk, natychmiast ją puścił i postąpił krok w tył. Rozumiała go: nie chciał jej dotykać, nie mógł znieść myśli, że stoi tak blisko.

Mylili się jednak, bo Ryan położył ręce na jej ramionach i obrócił ją twarzą do siebie. Zdobywszy się na odwagę, popatrzyła mu w oczy. Sprawiał wrażenie oszołomionego.

- O czym ty mówisz? - spytał.

- Dwa lata temu miałam guzek. Okazało się, że to nowotwór złośliwy. Zrobiono mi mastektomię.

- Miałeś raka? - spytał.

W jego głosie słyszała przerażenie, zdziwienie, smutek. Jedno, czego by nie zniosła, to litość.

- Tak - odparła, przyglądając się twarzy Ryana. Wolałaby, żeby ją odtrącił, niż żeby się nad nią litował. Wolałaby każdą inną reakcją, tylko nie litość. - Raka piersi.

Obserwował ją uważnie, z namysłem i skupieniem, może z wyrazem paniki w oczach, ale na pewno nie z litością. Zdała sobie sprawę, że wyznanie mu prawdy okazało się czymś łatwiejszym, niż oczekiwała. Znacznie trudniej było zadzwonić dwa lata temu do rodziców i poinformować ich o wyniku badania. Trudniej było podzielić się tą straszną wiadomością z Cindy. Może po prostu tylu ludziom opowiadała o swojej tragedii, że słowa już nie więzły jej w gardle.

A może bardziej bała się rozmowy z Ryanem, niż to było konieczne.

- Boże...

Jego ręce, silne, opiekuńcze, wciąż leżały na jej ramionach. Przynajmniej nie cofnął się, nie uciekł, nie bał się jej dotknąć. Może, pomyślała w duchu, niepotrzebnie nastawiła się tak pesymistycznie. Może Ryan nie podwinie ogona pod siebie, może jednak stanie na wysokości zadania.

- Jak się teraz czujesz?

- Dobrze. Lekarze nazywają to okresem remisji. - Uśmiechnęła się nieznacznie. - Ja wolę nazywać to wyleczeniem.

Skinął głową. Stali tak blisko siebie, że gdyby wspięła się na palce, to mogłaby go pocałować. Ale nagle dojrzała jakiś nowy wyraz malujący się w jego oczach. Wciąż, na szczęście, nie była to litość, ale coś równie nieprzyjemnego - trwoga.

Powoli opuścił ręce. W dalszym ciągu wpatrywał się w nią z zaciekawieniem, zdumieniem, ale i wyraźnym lękiem.

- Myślałem... myślałem, że to spotyka tylko starsze kobiety.

- Istotnie, rak częściej atakuje osoby starsze niż młodsze - przyznała. - Ja miałam trzydzieści lat, kiedy go u mnie wykryto.

- A potem... się tu przeniosłaś. Dlatego opuściłaś Nowy Jork?

- Tak. Po operacji miałam mnóstwo czasu na myślenie. Myślałam o tym, jak stresujące prowadziłam życie, o tym, co bym dalej chciała robić. I uznałam, że nie odpowiada mi ten rodzaj pracy, jaką wykonywałam, że nie chcę dłużej reprezentować wielkich firm czy korporacji. Może zabrzmiało to banalnie, ale chciałam zwolnić tempo, mieć czas na to, żeby pójść na spacer, powąchać kwiaty.

- Przejść się boso po trawie - rzekł, przypominając sobie jej słowa.

- Właśnie. I wtedy Cindy powiedziała: „Przyjedź do Devon”. Więc spakowałam manatki i przyjechałam.

Nagle Ryan odwrócił się i zaczął przemierzać gabinet, wydeptując ścieżkę w dywanie. Beth stała z boku, nie wchodząc mu w drogę i pozwalając, aby samotnie, w milczeniu, wyładował nagromadzoną energię. Po kilku okrążeniach zatrzymał się przy oknie.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś?

Starła się nie tracić nadziei. Wprawdzie nie zareagował tak, jak na to liczyła, nie zawołał: „A kogo obchodzi brakująca pierś? Z jedną też jesteś doskonała”, z drugiej jednak strony jeszcze nie stchórzył. Nie skrzywił się z niesmakiem, nie złapał się za głowę i nie uciekł jak przed zarazą. Niepokój i zmieszanie mogła mu wybaczyć.

- A co miałam powiedzieć? - spytała, zmuszając usta do uśmiechu. - Cześć. Jestem Beth Pendleton i mam tylko jedną pierś?

Kiedy oparł dłoń na parapecie, ujrzała przy kciuku bliznę, wąską kreskę odcinającą się od opalanej skóry. Pomyślała o swojej szramie, a potem usiłowała sobie wyobrazić jego szeroką, spieczoną od słońca rękę gładzącą jej skórę. Obraz nie chciał jednak nabrać ostrości. Najwyraźniej pieśczoły Ryana wydały się jej mało realne. Wtem spostrzegła, że już nie patrzy na jej twarz, lecz niżej, na biust.

- Wyglądasz normalnie...

- Noszę protezę. Ma kształt piersi. Wsuwa się ją do pustej miseczki w staniku.

Na szyi Ryana pulsowała żyła. Kłykcie miał białe, choć na pierwszy rzut oka oparta o parapet ręka wydawała się rozluźniona. Widać było, że walczy z napięciem.

- Myślałem... myślałem, że... Cholera, nie wiem, nie znam się na tym, ale sądziłem, że się wszczepia... no, te...

- Implanty? - podpowiedziała.

Czuła, jak jego napięcie rozprzestrzenia się niczym groźny wirus i jak ją samą zaczyna atakować. Podobnie jak Ryan starała się zachować pozory spokoju, ale słowa więzły jej w gardle. Nie chciała wchodzić w szczegóły medyczne, nie chciała zastanawiać się nad różnymi opcjami, które miała do wyboru. Chciała podejść do Ryana i znaleźć się w jego objęciach. Chciała, żeby przytulił ją do siebie i szepnął: „Po prostu mnie zaskoczyłaś, ale przysięgam, to nic nie zmienia Wciąż uważam, że jesteś pociągającą kobietą”.

Jeżeli się jednak czegoś nauczyła w ciągu ostatnich dwóch lat, to że należy cieszyć się z tego, co się ma, i nie marzyć o tym, czego mieć nie można. Widziała, że Ryan nie wyciągnie do niej rąk, a skoro tak, ona do niego nie podejdzie, nie będzie mu się narzucać.

- Zastanawiałam się nad rekonstrukcją piersi - rzekła, niemal zmuszając się do kontynuowania wątku - ale w końcu odrzuciłam ten pomysł. Rozmawiałam z kobietami, które zdecydowały się na operację plastyczną i nie wszystkie były zadowolone z wyniku. Właściwie jest to bardzo poważny zabieg, w dodatku implanty mogą utrudniać prawidłowe odczytywanie mammografu, a biorąc pod uwagę mój stosunkowo młody wiek i to, że jeszcze nieraz będę robić mammografię...

Najważniejsze było jednak to, że nie chciała upiększać ani zmieniać prawdy. Chciała dokładnie pamiętać, co przeżyła i co straciła, a dzięki temu bardziej docenić to, co jej pozostało.

Chciała lepiej poznać samą siebie, a nie uciekać przed sobą albo udawać, że nic się nie stało.

To jednak były jej prywatne powody, o których nie zamierzała Ryanowi mówić, bo i tak by ich nie zrozumiał. Zresztą nie sprawiał wrażenia, jakby był tym szczególnie zainteresowany. Tak jak się spodziewała, interesowało go głównie to, że ona ma tylko jedną pierś. Była zatem ułomna, fizycznie niedoskonała. Brakowało jej pewnej części ciała, którą mężczyźni uważają za niezwykle ważną.

Gdyby zgodziła się na operację plastyczną, wyglądałaby jak prawdziwa kobieta. Wówczas Ryana nie obchodziłoby to, czy miała raka czy nie. Nie obchodziłoby go to, że była chora, że mogła umrzeć, że bała się śmierci, że spotkało ją jedno z najkoszmarniejszych przeżyć, jakie los może zgotować kobiecie, obchodziłoby go tylko to, że wyszła z tego wszystkiego normalnie zbudowana.

- A kiedy zdejmujesz... stanik, to...

- Z prawej strony mam zdrową pierś, a z lewej nie mam nic - oznajmiła krótko. - Jedyne bliźnię.

Odwrócił się twarzą do okna, próbując się wziąć w garść. Po chwili spojrzął ponownie na Beth i spytał:

- Jak reagowali inni?

- Jacy inni?

- Faceci, z którymi spałaś.

Wciągnęła głęboko powietrze, żeby choć trochę się uspokoić. Nie chciała, żeby głos jej drżał. Jeżeli jeszcze nie wystraszyła Ryana, podejrzewała, że uczyni to teraz, odpowiadając na jego pytanie.

- Z nikim nie spałam.

- Ale... Przecież mówiłaś, że minęły dwa lata.

- Dobrze wiem, ile minęło - warknęła, zła i upokorzona. Od czasu diagnozy ani razu z nikim się nie kochała. Dwa lata zbierała siły na to, aby móc odbyć taką rozmowę jak ta - Zanim

zachorowałam, miałam przyjaciela. Kiedy dowiedział się, co mi dolega, po prostu odszedł.

Ryan ponownie wyrzwał przez okno. Nie potrafił patrzeć jej w oczy.

- Ty też możesz odejść - powiedziała szorstko. Wcale nie chciała mu nic ułatwiać, ale widząc, jak się męczy, jak szuka odpowiednich słów, poczuła się jeszcze bardziej niezręcznie. Miała świadomość, że jej marzenia się nie spełnią, że Ryan nigdy jej nie zaakceptuje, że wynik rozmowy jest już przesądzony, więc nie ma sensu dłużej się zadrezczać. Równie dobrze mogą się pożegnać, mieć to wreszcie z głowy.

- Słuchaj, Beth, ja... - Odwrócił się w jej stronę i uśmiechnął nieporadnie. - Po prostu zaskoczyłaś mnie tą informacją.

- Przykro mi, może powinnam była cię stopniowo do niej przygotować...

Akurat! Tylko tego brakowało! Była rozgoryczona, zła i zawiedziona, że Ryan nie zareagował w taki sposób, jak to sobie wymarzyła.

- Beth...

Przeczesał palcami włosy. Nie tylko jego napięcie było zaraźliwe, również jego skrępowanie jej się udzielało. Im bardziej był zmieszany, tym większe zmieszanie odczuwała i ona.

- Przepraszam - cię, Beth. Nie wiem, co powiedzieć. Nie wiem, co o tym sądzić...

W ostatniej chwili ugryzła się w język. Miała ochotę zawołać: „Doskonale wiesz, co o tym sądzić. Już nigdy nie będziesz chciał się ze mną kochać”. Zamiast tego oznajmiła cicho:

- Musisz sobie wszystko spokojnie przemyśleć.

Modliła się w duchu, żeby wyszedł, zanim ona się załamie. Nie żeby zamierzała się załamywać, bo cóż w tym strasznego, że najbardziej seksowny facet, jakiego w życiu spotkała, odtrącają? Znacznie gorsze rzeczy przydarzyły się jej w życiu.

Ale na wszelki wypadek wołała zostać sama. Po co ma widzieć jej łyzy? Nie była w stanie stłumić wrogości; w jej głosie brzmiał gniew.

- Przepraszam cię, Beth - powtórzył, spoglądając na nią błagalnie. - Wiem, że spodziewałaś się innej reakcji, ale nigdy nie miałem z taką sytuacją do czynienia...

- Nie wątpię - rzekła. Kusiło ją, by dodać, że do czynienia miał zapewne z wieloma pięknymi kobietami, z których każda była hojnie obdarzona przez naturę, ale ponownie ugryzła się w język.

- Staram się być z tobą szczery. Wołałabyś, żebym cię okłamywał?

- Nie - odparła, ale w duchu pomyślała, że tak, wołałaby, żeby skłamał.

- Po prostu nie byłem przygotowany na taką wiadomość.

- Ryan, ułatwię ci to. - Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież. - Nie musisz się tłumaczyć.

Ruszył do wyjścia. Kiedy od drzwi, a zatem i od niej, dzieliło go półtora metra, przystanął.

- Nienawidzisz mnie? - spytał.

- Nie - odrzekła zgodnie z prawdą, zaskoczona tym, że nie czuje do niego nienawiści. Nie mogła go nienawidzić za to, że jest normalny i pragnie normalnej kobiety. - Stanowię nieco większe wyzwanie niż to, z którym masz ochotę się zmierzyć. Nie winię cię.

- Chciałbym...

Wyciągnął rękę i delikatnie pogłaskał ją po policzku, a ona czuła, jak ciepło z jego palców wnika w nią coraz głębiej i głębiej, aż dociera do samej duszy; czuła, jak pod wpływem jego dotyku topnieje lodowata warstwa ochronna, którą się otoczyła, i jak do oczu nabiegają jej łyzy. Zamrużyła gwałtownie powiekami.

- Masz rację - przyznał. - Życie nie jest proste.

- Oj nie.



Błagała go w myślach, żeby cofnął dłoń i wreszcie, po ciągnącej się w nieskończoność minucie, usłuchał. W jego oczach malował się smutek, a na ustach błąkał tak tęskny, bezradny uśmiech, że resztki chłodu w jej sercu stopniały i nogi się pod nią ugięły. Miała wrażenie, że Ryan za moment schyli się i ją pocałuje, ale wtem zmienił zdanie i wyszedł z gabinetu. Wtedy osunęła się na podłogę, zamknęła drzwi i pogrzyżyła się w rozpacz.

Jeffa i Lynne nie było w recepcji. Całe szczęście, bo nie ręczył za siebie; gdyby któreś z nich go zaczepiło, zadało niewinne pytanie, mogłoby to się źle skończyć.

Trzaskając drzwiami, wyszedł z budynku, po czym zbiegł po schodach na chodnik i wszedł do zaparkowanej przy krawężniku furgonetki. Opadłszy na siedzenie, wypuścił z płuc powietrze.

Zdumiony własnym zachowaniem, zaczął wyzywać się w myślach od sukinsynów. Miotał pod nosem przekleństwa. Obrzucał nimi wszystko, cały świat, a szczególnie siebie. Ale nie Beth. Absolutnie nie Beth. Na myśl o niej serce mu krwawiło, a przecież wcale nie chciał angażować się uczuciowo. Sądził, że są przyjaciółmi, bliskimi przyjaciółmi, którzy może pójdą kiedyś z sobą do łóżka i zostaną kochankami. Serce nie miało nic wspólnego z seksem.

A jednak go bolało. Bolała go też głowa. I trzewia. I dusza. Nie tylko z powodu nieszczęścia, jakie spotkało Beth, ale również z powodu własnej słabości, własnego tchórzostwa, nieumiejętności radzenia sobie w tego typu sytuacji.

Gdyby próbował kochać się z Beth, zapewne obudziłyby się w nim litość. Może miałyby wyrzuty sumienia, odczuwałby zażenowanie, wstyd. Odkąd zdjęłaby ubranie, widziałaby tylko jej biedne, okaleczone ciało. Cały czas miałyby je przed oczami, nie umiałyby o nim zapomnieć. Kochałby się z osobą chorą, z pacjentką, a nie z kobietą z krwi i kości.

Kochałby się? Nie wiadomo, jak na jej widok zareagowałoby jego ciało. Czasem ciało mężczyzny wykazuje własną,

niezależną wolę. Może swoim wyjściem z gabinetu uraził Beth, wiedział jednak, że poczułaby się znacznie bardziej urażona, gdyby znaleźli się w łóżku, a on nie byłby w stanie osiągnąć wzwołu.

Życie nie jest proste, pomyślał, przypominając sobie jej słowa. To prawda, nie jest proste, choć bardzo tego pragnął. Chciał, żeby jego znajomość z Beth układała się przyjemnie, bezproblemowo. Niestety, z chwilą kiedy pojawiły się problemy, wziął nogi za pas i zniknął za drzwiami.

Nie sprawdził się, nie poradził sobie w sytuacji kryzysowej. Beth zasługuje na kogoś lepszego, zwłaszcza po tym, co przeżyła. Jest niesamowicie dzielną osobą, on zaś głupim, samolubnym draniem, który woli uciec, niż przyznać się, że nie mógłby pokochać kobiety z jedną piersią.

Zresztą kto mówi o miłości? Beth nie próbowała rozkochać go w sobie. Nie próbowała zaciągnąć go do ołtarza. Nic z tych rzeczy. Może najzwyczajniej w świecie chciała przeżyć fascynującą przygodę erotyczną.

Nie potrafiłby jej tego zapewnić. Był zbyt niedojrzały, zbyt płytki, nie lubił żadnych trudności czy komplikacji. Jedyne, co mógł w tej sytuacji zrobić, to odwrócić się na pięcie i wyjść.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył się do ruchu. Był wściekły na siebie. Obrzucał się najgorszymi epitetami, jakie znał, ale stek przekleństw, bluźnierstw, sprośności, który wylewał się z jego ust, nie przynosił mu najmniejszej ulgi.

Pojechał do „Corky's”. Miał ochotę siedzieć samotnie w tłumie, wlewać w siebie piwo i odsądzać się od czci i wiary. Wiedział jednak, że ilość alkoholu, którą może wypić, nie stępi bólu, jaki czuje - bólu, jaki sam sobie zadał - gdyby zaś wypił taką ilość, która stępiłaby ból, wówczas nie mógłby wrócić do domu furgonetką. Barman wezwałby dla niego taksówkę, a on, pijany i upokorzony, zniechęciłby się jeszcze bardziej. Ale kilka szklanek piwa, żeby trochę się uspokoić...

Wszystko jedno. Czuł się podle. Jak świnia. I zdawał sobie sprawę, że nic mu nie pomoże.

Kac, który od samego rana dokuczał mu. w pracy, nie był spowodowany nadmierną ilością alkoholu - raczej był to kac moralny. Wczoraj wieczorem nie upiło go piwo, lecz gniew oraz wyrzuty sumienia. A także mnóstwo innych emocji, które odkrywał, ilekroć grzebał we własnym wnętrzu. Co nie zmieniało faktu, że czuł się tak, jakby wypił kilka galonów lichego bimbru.

Był wściekły z powodu choroby Beth. Wstydził się własnej podłości. Przerażeniem napawała go świadomość, że kiedy pierwszy raz ją ujrzał, był zachwycony jej wyglądem, a teraz wzdrygał się na myśl o jej okaleczonym ciele. Mimo to bez przerwy myślał o niej, nie potrafił się od niej uwolnić. Po prostu miał obsesję - i to go doprowadzało do furii.

Czuł gniew na lekarza, który ją operował, choć kto wie, czy właśnie ten lekarz nie uratował jej życia. Ział wściekłością na cały świat medycyny za to, że nikt nie odkrył innej metody leczenia raka piersi, że najchętniej wciąż stosowano skalpel. Ale najbardziej oburzało go to dziwne coś, co tkwi w chromosomie Y i sprawia, że faceci tak wielką wagę przykładają do kobiecych piersi.

Poza tym nienawidził swojego kuzyna Larry'ego za to, że siedział przy biurku, rzeński i wypoczęty, pełen zapału do pracy.

- Dzień dobry! -zawołał Larry, otwierając nożem jakąś paczkę.

- Bo ja wiem, czy taki dobry? - mruknął Ryan, kierując się do swojego biurka. Usiłował sobie przypomnieć, ile połknął aspiryn przed wyjściem z domu. Jeżeli tyle, ile mu się zdawało, to z kolejną powinien się wstrzymać co najmniej do obiadu, bo inaczej na pewno nabawi się wrzodów.

- Dobry, dobry - powiedział Larry. - Widzisz? - Wyjął z paczki kartkę papieru i uniósł ją pod światło, żeby znak wodny był lepiej widoczny. - Nowa drukarnia w Concorde dostarczyła

nam zamówioną papeterię szybciej i za mniejsze pieniądze niż stara, z której dotąd korzystaliśmy.

- Świetnie. Mamy nową papeterię. Moja radość nie ma granic.

- Spojrzał na przypięty do ściany grafik. - Kiedy możemy liczyć na dostawę betonu? Dzisiaj?

- Nie wiem. Trudno się z tymi facetami dogadać. Nie odbierają telefonu. Kilka razy nagrałem się im na sekretarkę.

- Czyli nie dzisiaj, bo daliby znać. - Ryan potarł palcami skronie. Miał wrażenie, jakby w jego głowie siedziało tuzin doboszy i waliło w bębny. - Zapłaciłeś podatek?

- Ten zaległy od nieruchomości? - Larry przeszedł na koniec pokoju i schował papeterię do szafy, w której trzymali materiały biurowe. - Dziś zapłacę.

- Tylko nie zapomnij.

Do doboszy przysiedli się cymbaliści.

Larry wrócił do biurka, szurając butami o linoleum.

- Powiedziałem, że zapłacę, to zapłacę. Nie nudź. Ryan poderwał się na nogi i w dwóch susach znalazł się przy kuchynie.

- To ważne, Larry - oznajmił gniewnie, powtarzając wczorajsze słowa Beth. - Umieszczono nas na liście dłużników, którą podano do publicznej wiadomości.

- O co tyle krzyku? - Larry wiercił się nerwowo, ale minę miał zadziorną. - Po prostu zapodziałem rachunek, który przysłano nam z urzędu miasta.

- Pewnie przysłali już ze cztery. Nie trafia się na listę dłużników, jeżeli się zalega z jedną ratą. Trzeba zalegać co najmniej rok. A rachunki dostaje się kwartalnie, prawda?

- Tak, ale... Słuchaj...

- Żadne słuchaj. To ty słuchaj! Znajdź te cholerne papiery i zapłać, co trzeba, Dzisiaj.

- Co cię ugryzło, stary?

- Nic. - A w każdym razie nic, o czym miałby ochotę rozmawiać z kuzynem. - Po prostu zapłać podatek. To ważne. Ile jesteśmy winni?

Larry zaczął szperać wśród papierów na biurku.

- Gdzieś zapisałem sumę - powiedział, podnosząc jakieś kartki i odkładając je na bok. - O, mam - oznajmił, trzymając w rękę przedartą kopertę.

- Czterdzieści dziewięć tysięcy siedemset czterdzieści pięć dolarów.

Ryan zaklął pod nosem - ostatnio za często przeklina

- po czym sięgnął po wystawioną na firmę książeczkę czekową. Wziął od Larry'ego przedartą kopertę, z kieszeni na piersi kuzyna wyjął długopis i sam wypisał czek.

- Mamy tyle? - spytał.

- Akurat na tym konczie nie.

- To przerzuc z innego. - Wyrwawszy czek, podał go Larry'emu. - A potem bądź łaskaw osobiście zanieść to do urzędu miasta. Dobrze?

- Nie podoba mi się twój ton.

- Mnie też się nie podoba, ale nie szkodzi. Po prostu zrób to, co mówię. Ja tymczasem pofatyguję się do tych facetów od betonu.

- Tylko rozmawiaj z nimi trochę uprzejmiej. - Larry złożył czek na pół i schował wraz z długopisem do kieszeni na piersi. - Jako osoby z tobą nie spokrewnione nie muszą tak cierpliwie jak ja znosić twojego pieniactwa.

- Gdybyś nie zanieczyścił płacności, też byś nie musiał

- oświadczyć chłodno Ryan i wyszedł z biura. Wiedział, że nie powinien wyładowywać gniewu na Larrym. Miał o to pretensje do siebie, ale co tam! Nienawidził się z tylu innych powodów, że jeden więcej nie robi różnicy.

- No i co? Wniosłaś już oskarżenie przeciwko tamtemu prawnikowi? - spytała Cindy.

Beth jęknęła. Sprawa przeciwko niekompetentnemu prawnikowi była najłatwiejszą obecnie sprawą w jej życiu. Chociaż nie. Ostatnio Lolek nie przysparzał jej kłopotów. Od dwóch dni ani razu nie załatwił się w domu, a wieczorem posłusznie wchodził do skrzyni i tam zasypiał. Ponadto ona, Beth, czuła się dobrze, a dzięki kilkudniowej mżawce zieleń w ogrodzie trochę ożyła. Poza tym jednak wszystko było do kitu.

- Nie. Potrzebuję jeszcze paru dni - powiedziała, patrząc na przyjaciółkę, która stała z dzieckiem na ręku.

Opiekunka Eryki złamała rano ząb, kiedy gryzła kawałek suchego pieczywa. W tej sytuacji natychmiast zostawiła Erykę z Cindy, a sama pojechała do dentysty. Nie mając wyboru, Cindy wzięła córkę z sobą do pracy. Stała teraz w drzwiach gabinetu Beth z białą pieluchą przerzuconą przez ramię, na wypadek gdyby Eryka chciała zwrócić jedzenie. Jakie to dziwne, pomyślała Beth: nieposłuszny szczeniak nagle okazuje się istotą bardziej schludną od jej małej chrześniaczki.

- Jeff mówi, że chyba zwariowałaś - ciągnęła Cindy. - Uważa, że nie powinnaś występować przeciwko koledze po fachu.

- Wśród moich kolegów nie ma takich partaczy. Ten facet oszukał klienta. Źle mu doradzał, wykazując totalny brak kompetencji. Naraził człowieka na olbrzymie straty. Prawdę mówiąc, zasługuje na krzesło elektryczne. Powinien się cieszyć, że będę żądać jedynie rekompensaty.

- No, no, ale mamy dziś humorek. - Cindy uwolniła kosmyk włosów z zaciśniętej rączki Eryki. - Okres ci się zbliża? A może ktoś ci nadepnął na odcisk?

- Ani jedno, ani drugie. - Beth zmusiła się do uśmiechu. - Jeśli chcesz wiedzieć, uważam, że wygram tę sprawę i że przyniesie nam ona spory rozgłos.

- Jeff i ja nie szukamy rozgłosu. - Cindy weszła do gabinetu i popatrzyła zatroskana na przyjaciółkę. - To nie Nowy Jork, Beth. Nie zależy nam na sławie. Po prostu chcemy rzetelnie wykonywać pracę, a przy okazji co nieco zarobić.

- Opinia firmy jedynie zyska, jeśli ludzie się dowiedzą, że nie boimy się trudnych, skomplikowanych spraw.

- Wiem. I w przeciwieństwie do Jeffa sądzę, że słusznie robisz, ujawniając niekompetencję innych prawników. Ale musisz, kochanie, zwolnić tempo. Wiesz, o czym myślę, kiedy na ciebie patrzę? O chomiku, który ma w klatce taki mały, obracający się młynek. Im szybciej chomik biegnie, tym szybciej młynek się obraca, a im szybciej młynek się obraca, tym szybciej chomik biegnie. Nie po to przyjechałaś do Devon, żeby zamienić się w takiego chomika. Przyjechałaś po to, żeby trochę przyhamować i odzyskać równowagę psychiczną.

Beth wiedziała, że idealnej równowagi nigdy nie odzyska, ale nie zamierzała winić za to Cindy, bo przyjaciółka niczemu nie była winna.

- Masz rację. - Przygryzła wargę, żeby powstrzymać upust złości.

- Nie krytykuję cię, Beth. Zwyczajnie troszczę się o ciebie.

- Wiem. Jestem ci wdzięczna. - Chciała, żeby Cindy ze swoim ślicznym dzieciątkiem odeszła i zostawiła ją samą.

- Boję się, żebyś znów nie wpadła w dawną rutynę, kiedy nic poza pracą się dla ciebie nie liczyło.

- Nie ma obawy, nie wpadnę.

Wymagało to ze strony Beth ogromnego wysiłku, żeby nie zakryć rękami uszu i nie zacząć wyc. Na szczęście w tym momencie zadzwonił telefon, przerywając rozmowę. Beth wcisnęła guzik, łącząc się z sekretarką.

- Larry Walker czeka na linii - oznajmiła Lynne.

Na dźwięk tego nazwiska serce Beth mocniej zabiło, ale nie był to ten Walker, o którym marzyła. Zresztą to przedtem o nim marzyła, teraz już nie. Niestety, Ryan jest taki sam jak inni. Pewnie już znalazł pocieszenie w łóżku Mitzi albo innej atrakcyjnej babki, obdarzonej parą ślicznych piersi.

Wzięła głęboki oddech i powtórzyła w myślach to, co zawsze mówiła do siebie w chwilach kryzysu: że wszystko będzie

dobrze. Ale wiedziała, że to nieprawda, i że powtarzanie w myślach oklepanej formułki niczego nie zmienia.

- Dzięki, Lynne. - Zanim podniosła słuchawkę, spojrzała na Cindy, wzrokiem dając jej znać, że pora wrócić do pracy.

- Beth Pendleton. Słucham. - Ponownie posłała Cindy znaczące spojrzenie.

Cindy wywróciła oczy do nieba, wzruszyła jednym ramieniem - drugie miała unieruchomione przez Erykę - po czym z wyraźnym ociąganiem wyszła z gabinetu, żeby przyjaciółka mogła w spokoju porozmawiać z klientem.

- Beth? - W głosie Larry'ego brzmiała nuta wahania.

- Czym mogę służyć, Larry?

- Hmm... - Westchnął głośno. - Chodzi o ten podatek. O ten zaległy podatek. Mam pewien problem...

- Tak? - Chociaż była zdenerwowana, jej głos nie zdradzał zniecierpliwienia.

- Bo widzisz, według moich notatek pół roku temu wysłałem czek do urzędu miejskiego.

- Masz jakiś kwit? Coś, co by stanowiło potwierdzenie wpłaty?

- Nie. Gdzieś go zapodziałem. A potem zapomniałem o całej sprawie. W każdym razie dzwoniłem dziś do urzędu. Okazuje się, że doliczono nam nie tylko odsetki karne, ale również grzywnę. Niestety, zupełnie nie potrafię się w tym wszystkim połapać. Mamy straszny bałagan w papierach, ale z całą pewnością wiem, że miasto żąda od nas za dużo pieniędzy. Widziałem przecież dokumenty, wiem, na ile wyceniono grunt. To wszystko nie trzyma się kupy.

- Rozmawiałeś z księgowym? - spytała Beth.

- Nie mamy księgowego. Sam prowadzę księgi. Więc nic dziwnego, że macie bałagan w papierach, pomyślała, uśmiechając się kwaśno.

- Czego oczekujesz ode mnie, Larry?



Zwrócenie się do prawnika z prośbą, żeby zajął się zaległym rachunkiem to mniej więcej tak, jak zwrócenie się do neurochirurga z prośbą, by usunął drzazgę z palca. Oczywiście, Beth mogła się tym zająć, chociaż miała ważniejsze sprawy na głowie.

- Zastanawiałem się, czy nie mogłabyś wpaść do biura i pomóc mi przejrzeć dokumenty.

- Może lepiej, żebyś ty wpadł do mnie?

Usiłowała wmówić sobie, że wcale nie chodzi jej o to, iż chce uniknąć spotkania z Ryanem. Nie, bynajmniej. Pragnęła jedynie zaoszczędzić Larry'emu pieniędzy; bądź co bądź taniej kosztuje porada w przychodni niż wizyta domowa.

Larry westchnął.

- Wszystko mam w komputerze...

Teraz z kolei ona westchnęła. Nie miała ochoty jechać do „Walker Construction” ani po to, żeby porządkować dokumenty, ani w jakimkolwiek innym celu. Znajdowała się w psychicznym dołku. Nie chciała w takim stanie trafić na Ryana, nie sądziła też, aby on chciał się z nią widzieć.

Chyba że... Nie sprawiał wrażenia przebiegłego intryganta, ale kto wie? Może namówił Larry'ego, żeby ją zwabił? Może pragnął się z nią spotkać na własnym gruncie, lecz bał się, że Beth nie tylko nie przyjdzie, ale nawet nie będzie chciała rozmawiać z nim przez telefon? Może poprosił kuzyna, żeby podstępem wyciągnął ją z jej gabinetu?

Jeżeli tak, to na próżno się trudził. Nie robiło jej różnicy, gdzie się spotkają: u niego w biurze, u niej w domu czy na ulicy. Nie wykręcałyby się też od rozmowy telefonicznej. Jako doradca prawny „Walker Construction” zawsze w sprawach służbowych była do jego dyspozycji.

- Czy to Ryan prosił, żebyś do mnie zadzwonił? - spytała obojętnym tonem.

- Nie! - zaprotestował ostro. - Ryan prosił tylko, żebym uregulował podatek, bo inaczej połamię mi kości. O tobie nic nie mówił.

A zatem nic nie knuje. Najnormalniej w świecie nie chce mieć z nią do czynienia.

- A swoją drogą - ciągnął Larry - nie wiem, co go ugryzło. Ostatnio jest w podłym humorze. To zupełnie do niego nie pasuje. W każdym razie chcę jak najszybciej wyjaśnić tę sprawę, żeby wreszcie się ode mnie odczepił.

Podły humor Ryana nie interesował Beth, współczuła jednak Larry'emu; pomyślała, że nie chciałyby być na jego miejscu.

- No dobrze - mruknęła, zerkając do kalendarzyka.

- Mogłabym przyjść o trzeciej po południu. Odpowiada ci?

Wprawdzie bardziej by jej odpowiadała późniejsza godzina, ale podejrzewała, że około piątej Ryan wraca z placu budowy, a wołała się z nim nie widzieć. Nie, nie bała się go. Nawet nie bała się własnej reakcji na jego widok. Po prostu wołała uniknąć niezręcznej, nieprzyjemnej sytuacji. To wszystko.

- Odpowiada.

- Zatem do zobaczenia o trzeciej.

Odłożyła słuchawkę, modląc się w duchu o to, żeby o trzeciej Ryan zajęty był gdzie indziej.

## ROZDZIAŁ 12

- Puk, puk! Jest tam kto? - rozległ się dźwięczny, śpiewny głos.

Beth podniosła głowę znad komputera i w drzwiach magazynu, w którym mieściła się siedziba „Walker Construction”, ujrzała srebrzysto-złotą zjawę. Trwało chwilę, zanim jej oczy przywykły do metalicznego blasku. W obcisłych srebrnych szortach i przylegającej do ciała srebrzystej bluzce stała, obwieszona tonami złotej biżuterii, Mitzi Rumson.

Beth posłała jej niemrawy uśmiech; była zmęczona, albowiem próba odczytania i zrozumienia tego, co Larry wypisywał, wymagała ogromnego wysiłku. To, w jaki sposób prowadził księgowość, pozostawiało wiele do życzenia. Różne pozycje figurowały nie w tych rubrykach, w których powinny się znajdować. Trudno się było zorientować, które kwoty już wpłynęły, a które dopiero mają nadejść. Kiedy jednak przeanalizowała budżet firmy, zorientowała się, że urząd miasta nie przysłał Walkerom jednego z kwartalnych rachunków podatkowych. Na tej podstawie postanowiła wystąpić o obniżenie kary, którą miasto wymierzyło Ryanowi i Larry'emu.

W tym czasie, kiedy Beth przedzierała się przez gąszcz informacji dotyczących finansów firmy, Larry stał jej nad głową, usiłując bezskutecznie wyjaśnić, co znaczą jego dziwne zapisy i adnotacje. Co kilka minut odchodził na chwilę, żeby przynieść jej szklankę wody albo dodatkowe dokumenty. Kiedy w biurze pojawiła się Mitzi, przebywał akurat na zapleczu, gdzie szukał ksiąg rachunkowych z ostatnich trzech lat - na wszelki wypadek Beth chciała sprawdzić, czy firma nie zalega z innymi opłatami.

Przez kontrast z wesołą, tryskającą życiem wdową Beth poczuła się jeszcze bardziej zmęczona.

- Kogo to ja widzę? Cześć, Beth. - Pobrzękując biżuterią, Mitzi weszła do środka. Na nogach miała modne białe tenisówki

na grubej podeszwie, ozdobione srebrzystym paskiem. - Nie wiedziałam, że cię tu zastanę. Co robisz? Strasznie skomplikowanie to wygląda. Ja mam dwie lewe ręce, jeśli chodzi o komputery.

Beth uśmiechnęła się blado. Oczywiście, że Mitzi nie wiedziała, że ona, Beth, będzie w biurze „Walker Construction”. Zapewne przyszła zobaczyć się z Ryanem. A to oznacza, że się tu umówili, czyli Ryan też niedługo się zjawi. Powinna zatem jak najszybciej skończyć pracę.

- Pomagam Larry'emu zrobić porządek w dokumentach - wyjaśniła, sięgając po swoją teczkę.

- A tak, Larry to ten od papierkowej roboty. Ten czysty, co siedzi przy biurku i się nie brudzi. - Oparła się kształtnym biodrem o krawędź biurka. - Za to Ryan chodzi upaprany za dwóch. Zresztą nic dziwnego. Nawet sobie nie wyobrażasz, co się tam u mnie dziś dzieje. Wylewają właśnie fundamenty. Koszmar. - Zmarszczyła z obrzydzeniem swój mały zadarty nosek. - To niesamowite, że powstanie arcydzieła sztuki architektonicznej wiąże się z takim brudem i bałaganem.

- Ryan jest teraz na placu budowy? - spytała Beth, siląc się na neutralny ton.

- Tak, dogląda postępu prac i z każdą chwilą jest coraz bardziej umorusany. Okropność! Co prawda Ryan nawet jak jest umorusany, to też zapiera dech.

Ty też, Mitzi, ty też zapierasz dech, pomyślała Beth, nie odczuwając przy tym nawet cienia zazdrości. Bo czy można być zazdrosnym o osobę tak życzliwą, tak łagodnego usposobienia?

Wcisnęła klawisz, żeby zapisać w pamięci komputera sporządzone przez siebie wyliczenia podatkowe, po czym wszystkie informacje dotyczące finansów firmy przegrała na dyskietkę, którą zamierzała wziąć z sobą. Zważywszy na metody pracy Larry'ego, podejrzewała, że wkrótce znów będzie do niej dzwonił, błagając o pomoc. Ona zaś, mając dyskietkę,

będzie mogła - nie ruszając się ze swego gabinetu - wskazać mu najkrótszą drogę przez gąszcz płatności.

- Wpadłam, żeby zostawić Ryanowi zdjęcia, które znalazłam w pewnym piśmie - ciągnęła Mitzi. Z zawieszanej na biodrach srebrnej torebki wyjęła złożone wycinki i zaczęła je prostować. - Tylko spójrz na tę oranżerię. Niesamowita, co?

Istotnie. Na zdjęciu widniało coś, co wyglądało jak sięgające trzech pięter atrium.

- Twoja w niczym tego nie będzie przypominać - zauważyła Beth.

- Wiem, ale prawda, jakie to чудо? Zobacz, co za rozmach, co za lekkość! Ciekawe, czy Ryan mógłby... To znaczy wiem, że według planów sufit ma być na wysokości trzech metrów, ale czy nie można by go nieco podnieść? Oczywiście pokryłabym dodatkowe koszty.

- Tu nie chodzi o same koszty, Mitzi - ostrzegła Beth.

- Chodzi również o to, żeby zimą w domu było ciepło.

- Och, na pewno są na to jakieś sposoby... Z zaplecza wyłonił się Larry.

- Spójrz, co znalazłem, Beth - powiedział, niosąc na dłoni, niczym kelner tacę, cienki płaski skoroszyt.

Nagle spostrzegł Mitzi i stanął jak wryty. Wytrzeszczył oczy, rozdziawił usta, opuścił rękę. Skoroszyt wysunął się na podłogę, ze środka wysypało się mnóstwo paragonów.

Beth zerknęła na Mitzi, która z wdziękiem odskoczyła od biurka, potem skierowała wzrok na Larry'ego, który sprawiał takie wrażenie, jakby jej widok dosłownie go poraził. Mitzi posłała mu szeroki, promienny uśmiech i wyciągnęła na powitanie dłoń.

- Cześć. Ty pewnie jesteś Larry?

- Tak.

W skrytości ducha Beth zawsze uważała, że Ryana i Larry'ego łączy duże podobieństwo fizyczne, tyle że Ryan nie ma w sobie nic z gamoniowości swego kuzyna. A Larry czasem wyglądał

bardzo gamoniowato. Zwłaszcza teraz było to widać, kiedy wpatrywał się w Mitzi z takim osłupieniem na twarzy, jakby nagle znalazł się przed obliczem bóstwa. Usta wciąż miał rozdziawione, a z rozrzuconych wokół nóg papierków w ogóle nie zdawał sobie sprawy.

- Mitzi Rumson - przedstawiła się młoda wdowa, podeszła na środek pokoju i zacisnęła dłoń wokół ręki Larry'ego. - Wiele o tobie słyszałam.

- Ja o tobie też - rzekł Lany, nie spuszczać oczu z jej twarzy.

- Ryan całymi dniami tapla się w błocie, a prawdziwa praca spoczywa na twojej głowie. - Była uroczą i pełną życia, niczym elegancka gospodyni witająca gości na wydanym u siebie przyjęciu. - Podejrzewam, że Ryan ogromnie ci zazdrości. Powinieneś mu czasem pozwolić usiąść przy biurku i postukać w klawisze. To by go niesłychanie podbudowało.

Larry zamrugał oczami. Mitzi najwyraźniej wprawiła go w trans.

- Żałuję, że nie było cię z nami, kiedy sporządzaliśmy umowę - ciągnęła. - Na pewno miałbyś mnóstwo wspaniałych sugestii. Wyglądasz na faceta obdarzonego bujną wyobraźnią.

Larry przełknął nerwowo ślinę.

- Tak, ja też żałuję...

Nagle Beth poczuła się jak piąte koło u wozu. Czym prędzej schowała do teczki dyskietkę i wstała zza biurka. Zegar na ścianie wskazywał kilka minut po czwartej. Jeśli wyjdzie teraz, nie tylko nie będzie musiała patrzeć, jak Larry - oszołomiony urodą Mitzi - robi z siebie durnia, ale zdoła uniknąć spotkania z Ryanem.

- Zaprowadziłam nieco większy porządek w dokumentach - rzuciła przez ramię, ale Larry był tak pochłonięty zjawą w srebrzystym stroju, że nic do niego nie docierało. Cicho, na palcach, Beth wyszła z pokoju i zamknęła drzwi.

Po kilku dżdżystych dniach chmury wreszcie się przerzedziły, odsłaniając gdzieś połacie błękitu; nieba w tak

intensywnie niebieskim kolorze Beth nigdy dotąd nie widziała - ani w Nowym Jorku, ani w Bostonie, ani w Waszyngtonie. Po prostu niebo nad dużymi miastami nie miało tak pięknej barwy jak niebo nad prowincją. Powietrze w miastach też nie pachniało tak świeżo. No i Amor nie strzelał tak celnie - nic dziwnego, łatwiej było mu posłać strzałę do celu w Devon niż w jakiegokolwiek zatłoczonej metropolii. W każdym razie strzelił - i trafił prosto w serce Larry'ego. Choć na pierwszy rzut oka cichy, spokojny, porządny Larry niezbyt pasował do ekspansywnej, modnie ubranej Mitzi, Beth bardzo się ucieszyła. Była bowiem przekonana, że pod ekstrawaganckim strojem młodej kobiety kryje się poczciwa dusza. Nie wierzyła, by Mitzi mogła świadomie skrzywdzić Larry'ego.

Uśmiechając się do siebie, ruszyła po schodach i nagle, słysząc znajomy warkot silnika, zatrzymała się w pół kroku. Szara furgonetka zwolniła przed budynkiem, po czym wzbijając tumany kurzu, skręciła na zwirowany plac.

Gdyby Beth rzuciła się biegiem do samochodu, Ryan by uznał, że go unika. Nie zamierzała dać mu tej satysfakcji i zachować się tchórzliwe, mimo że na jego widok - a widziała go niewyraźnie, przez brudną szybę - poczuła ostry skurcz w brzuchu i zaschło jej w ustach. Zaciskając palce na teczce, stała nieruchomo, starając się nie okazać żadnych emocji.

Ryan zaparkował, zaciągnął hamulec ręczny, po czym wyłączył silnik i nastała cisza. Nie od razu wysiadł. Może chciał dać jej czas na ucieczkę...

To nie ma najmniejszego sensu. Jest jego doradcą prawnym. Najlepiej o wszystkim zapomnieć, puścić w niepamięć niedawną próbę nawiązania romansu. Będą się przecież widywać z powodów zawodowych. Tak, trzeba przejść nad tym, co było, do porządku dziennego.

Nie rzuciła się więc do ucieczki. Po długiej, ciągnącej się w nieskończoność minucie Ryan wysiadł z furgonetki. Mitzi wcale nie przesadziła, mówiąc, że się utyłał na budowie. Szara

warstwa brudu pokrywała jego dżinsy, a także buty i ramiona. Twarz miał umorusaną, włosy pozlepiane. To, że w takim stanie mógł się podobać kobietom, najlepiej świadczyło o tym, jaki był przystojny.

Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął czerwoną chustkę i przetarł nią twarz. Nie spuszczał oczu z Beth, ona zaś modliła się w duchu o to, aby te czka nie wyśliznęła się z jej mokrej od potu dłoni.

- Wreszcie uporaliśmy się z Lanym ze sprawą podatku - rzekła i nagle się zawstydziła. Czy nie powinna była wpierw się przywitać? Powiedzieć „dzień dobry” czy choćby skomentować pogodę?

- I już wszystko jest zapłacone? - spytał; najwyraźniej odpowiadało mu, że rozmowa dotyczy kwestii zawodowych.

- Tak. Udało mi się obniżyć grzywnę o pięć tysięcy.

- Naprawdę?

Wsunął chustkę z powrotem do kieszeni. Beth zauważyła, jak koszula lepi mu się do ciała, uwydatniając jego mięśnie. Zauważyła, jak palce mu się zaciskają. Zauważyła, jak dżinsy opinają jego biodra. Stanowczo za dużo rzeczy zauważa, kiedy patrzy na Ryana. Ze zdziwieniem zwróciła również uwagę na to, że chociaż zaoszczędziła firmie pięć tysięcy dolarów, Ryan nawet się nie uśmiechnął, gdy o tym usłyszał.

- To z nawiązką pokryje moje honorarium - dodała.

Uśmiech w dalszym ciągu się nie pojawił. Ryan podszedł krok bliżej, nie spuszczać z niej wzroku. Nawet nie zerknął na jej elegancki granatowy kostium, na bluzkę w kolorze pistacjowym czy granatowe buty ze skóry. Wpatrywał się wyłącznie w jej twarz.

- Jak Lolek?

Beth starała się nie okazać zaskoczenia ani nie parsknąć śmiechem. Dobrze wiedziała, że samopoczucie szczeniaka wcale Ryana nie interesuje.

- Dobrze, dziękuję.



- Kupiłaś mu kolczatkę?

- Jeszcze nie, ale chyba nie będzie potrzebna. To wyjątkowo mądry i wrażliwy piesek. Słucha mnie, kiedy mu mówię „nie wolno”.

- Pewnie, że jest mądry i że cię słucha. Przecież ma bzika na twoim punkcie.

Beth spięła się i odeszła jej ochota do śmiechu. Nie potrafiła rozszyfrować Ryana, zorientować się, czy chwali psa bez powodu, czy może w sobie tylko wiadomym celu usiłuje się jej podlizać. Ale wiedziała jedno: że na tematy zawodowe mogą rozmawiać, na jakiegokolwiek inne - nie. Wciągnęła głęboko powietrze, po czym wolno je wypuściła. Kolejny wdech i wydech. Nie odzywała się słowem.

- Musimy pogadać - oznajmił w końcu.

- O czym? - Głos miała opanowany, mimo że w środku dygotała.

Wpatrywała się w plamy na jego koszuli, w brudne miejsce na jego brodzie. Zobaczyła, że zaciska zęby. Stał na tyle blisko, że gdyby wyciągnął rękę, mógłby jej dotknąć, ale tego nie zrobił. W jego oczach malował się smutek, zmęczenie, zmieszanie. Podobno oczy są odbiciem duszy człowieka; oczy Ryana bardziej jednak odzwierciedlały stan duszy Beth niż jego własnej.

- Czy możemy porozmawiać? - powtórzył.

- Teraz?

Oderwał od niej wzrok, ale tylko po to, żeby zerknąć na swoje zabrudzone ubranie.

- Najpierw wolałbym się umyć - odparł. Wiedziała, że jeżeli poprosi, aby na niego poczekała, to

mu odmówi. Ostatnim razem, kiedy o to prosił, spędzili wspólnie wieczór, a potem się całowali. Nie zamierzała popełnić tego samego błędu.

- Muszę wrócić do Lolka - oznajmiła. - Jest na tyle mądry i wrażliwy, że codziennie o tej porze głośno domaga się jeść.

Ryan przeczesał palcami włosy, które lepiły mu się do czoła.

- Co ty na to, gdybym wpadł po ciebie za jakiegoś pół godziny? Moglibyśmy wyskoczyć gdzieś na kolację.

Niczym rasowy prawnik, którym w istocie była, zaczęła ważyć w myślach różne za i przeciw. Jeżeli odmówi, Ryan uzna ją za tchórza - i niewiele się pomyli. A duma nie pozwalała jej aż tak się obnażyć. Z drugiej strony, jeżeli zgodzi się pójść z nim na kolację, nie musi nic mówić, bo przecież powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia.. Musi jedynie słuchać. Nie miała pojęcia, o czym Ryan chce rozmawiać - chyba że pragnie ją przeprosić. Przeprosiny może od biedy przyjąć.

- W porządku - rzekła.

Odwróciła się i nie patrząc na niego, skierowała się do samochodu. Tak, zje z Ryanem kolację, wysłucha tego, co ma jej do powiedzenia, a potem się pożegnają i każde ruszy w swoją stronę. Tym razem na pewno nie będzie żadnego pocałunku na dobranoc. Obiecała sobie solennie, że już nigdy nie pozwoli się Ryanowi pocałować.

Kiedy ją ujrzał, zrozumiał, że musi natychmiast coś zrobić, coś wymyślić. Ale nie miał pojęcia co. Wiedział tylko, że dłużej nie wytrzyma, że jeśli jakoś nie zaradzi sytuacji, to zwariuje. Czuł, że musi przeprosić Beth za swoje zachowanie, za to, że ją zostawił i odszedł.

Dni, które minęły od tamtego nieszczęsnego spotkania, były dla niego istną torturą. Myślał, że nienawiść, jaką żywił do siebie, choć trochę zelżeje, ale tak się nie stało. Brakowało mu śmiechu Beth, jej błyskotliwych uwag i ślicznych, błękitnych oczu. Chciał znów się z nią drażnić, dzielić z nią swymi pomysłami. Chciał patrzeć, jak ze znanstwem i pewnością siebie renegekuje warunki umowy. Chciał bawić się z jej psem.

Marzył o tym, aby razem mogli remontować jej dom, wspólnie go ulepszać, czynić bardziej wygodnym i przytulnym. Marzył o tym, aby znów darzyła go uśmiechem i pytała o wspomnienia z dzieciństwa, których wcześniej słuchała z takim

zafascynowaniem, jakby życie chłopca z prowincjonalnego Devon autentycznie ją frapowało.

Brakowało mu jej odwagi. Brakowało jej temperamentu. Naprawdę sądził, że rodzi się pomiędzy nimi uczucie, jakiego nigdy dotąd nie znał, więc, jakiej nigdy jeszcze nie doświadczył ani nie pragnął. A teraz te marzenia diabli wzięli. Wszystko przez to, że okazał się takim durniem, takim draniem. Przez to, że świadomie spalił za sobą mosty.

Wszedł do biura, żeby zostawić plany, a także przypomnieć Larry'emu, aby przygotował czeku dla chłopaków, którzy zamierzali wpaść po nie w drodze do domu. Ku swojemu zdumieniu ujrzał kuzyna w towarzystwie Mitzi. Stali koło siebie, pochyleni nad komputerem. Wyglądało na to, że Larry demonstruje Mitzi, w jaki sposób wprowadza się różne informacje do pamięci komputera. Mitzi, która w obcisłym srebrzystym stroju wyglądała jak średniowieczny rycerz w zbroi, była zachwycona możliwościami tej cudownej maszyny. Pochłonięci sobą i komputerem, na nic innego nie zwracali uwagi. Ryan poczuł się jak intruz.

- Nie zapomnij o czekach dla chłopaków - powiedział.

- W porządku - rzucił Larry przez ramię, po czym zaczął pokazywać Mitzi kolejne funkcje komputera.

Wpatrywała się w Larry'ego z uwielbieniem. Była na pewno znacznie bardziej inteligentna, niż dawała po sobie poznać. Ryan święcie wierzył, że nieraz widziała, jak działa komputer, mimo to słuchała Larry'ego z takim skupieniem i uwagą, jakby tłumaczył jej sens życia.

Akurat poglądy Larry'ego na temat życia - czy też różnych funkcji komputera - w najmniejszym stopniu nie interesowały Ryana, toteż nie przerywając mu wywodu, czym prędzej opuścił biuro.

Pojechał do domu, otworzył drzwi i udał się prosto do łazienki. Na widok swojego odbicia w lustrze nad umywalką omal się nie załamał. Wyglądał tak, jakby przez ostatnie siedem

godzin tarzał się w cemencie, jakby cały nadmiar betonu wylądował na jego twarzy. Miał szczęście, że Beth nie uciekła z krzykiem, kiedy do niej podszedł.

Zmycie brudu zajęło mu dobre kilka minut. Ale potrzebny był mu ten czas spędzony w samotności, potrzebna była ciepła woda dudniąca o ciało, piana, którą ociekał, a także wilgoć przepelniająca płuca. Chciał się oczyścić od wewnątrz i od zewnątrz, umyć zarówno ciało, jak i umysł, i dopiero wtedy zastanowić się nad tym, co ma powiedzieć, kiedy zobaczy się z Beth. Ładnie wyglądasz.

Nie skłamałby - naprawdę ślicznie wyglądała. Ale miała na sobie ubranie. Diabli wiedzą, jak wyglądałaby nago. Był zły na siebie, że takie rozważania chodzą mu po głowie. Poczul się jak ostatni drań.

Myślałem o tobie.

To prawda. Myślał o niej nieprzerwanie od poniedziałku, kiedy zdradziła mu swoją tajemnicę. Myślał o Beth takiej, jaką sobie wymarzył, doskonałej pod każdym względem, a także o takiej, jaką była w rzeczywistości. Myślał

O własnych lękach i niedociągnięciach, które blokowały mu do niej drogę. Myślał o tym, co musiała przeżyć dwa lata temu, o tym, jak to jest, kiedy w wieku trzydziestu lat kobieta dowiaduje się, że jest chora na raka. Myślał o poprzednim draniu w jej życiu, tym, który na wieść o tragedii zostawił ją i znikł.

Zachowałem się niedojrzale.

A to dopiero niespodzianka! Akurat tego nie musi jej mówić. Na pewno sama doszła do takiego wniosku. Sflukał resztki szamponu z włosów, po czym zakręcił kran, odcinając dopływ wody. Stał w oszklonej kabinie prysznicowej, mokry, z ciałem lśniącym od wody, z włosami lepiącymi się do karku. Nadal nie miał najmniejszego pojęcia, co powie Beth.

Wytarł się ręcznikiem, suszarką wysuszył włosy. Ubrał się starannie niż zwykle - nie w ukochane dzinsy i bawełnianą

koszulkę, ale w jasne płócienne spodnie i zapinaną na guziki koszulę. Ogarnęło go przygnębienie. Gdyby wierzył, że rozmowa z Beth pójdzie gładko, nie zastanawiałby się nad tym, co ma na sobie włożyć.

Czy Beth też zamartwia się swoim wyglądem? Czy wciąż myśli o... no, o tym czymś, co ma w staniku? Czy nieustannie sprawdza, jak się prezentuje? Czy unikała większych dekoltoń, a ramiączka stanika podciąga, żeby przypadkiem ta rzecz, no jak jej tam, ta proteza, nie wysunęła się z miseczki? Kiedy dziś, wystrojona w elegancki, świetnie uszyty kostium, patrzyła w lustro, co widziała: piękną młodą kobietę czy kalekę ze sztuczną piersią?

Bo on właśnie to widział. Kalekę ze sztuczną piersią.

Jest szczery. Czy z powodu swej szczerości zasługuje na pogardę? Wzdychając głęboko, wsunął portfel do kieszeni na biodrach, wziął kluczyki samochodowe i wyszedł do garażu. Postanowił być szczery do końca, nie uciekać się do kłamstw. Pewnie Beth nie będzie miała ochoty słuchać jego wyjaśnień, ale wiedział, że musi - jeśli nie jej, to przynajmniej samemu sobie - wytłumaczyć, dlaczego ich romans jest niemożliwy. Jeżeli tego nie zrobi, będzie się zadreślał tak długo, aż w końcu zwariuje.

Kiedy wjechał na podjazd przed jej domem, zobaczył, że nad drzwiami pali się światło. Nie chciał korzystać z drzwi frontowych, wydawało mu się to strasznie oficjalne. Pragnął przyjaźni z Beth, przyjaciele zaś używają tych samych drzwi co domownicy - drzwi kuchennych.

Odetchnął z ulgą, bo na ganku za domem też paliło się światło. Również w kuchni było jasno. Gdy zapukał do drzwi, dobiegło go radosne ujadanie Lolka. Pomyślał, że przynajmniej jeden domownik cieszy się z jego wizyty. Drzwi otworzyły się i nagle znalazł się twarzą w twarz z Beth. Gdyby w tym momencie spojrzała do lustra, bez wątplenia zobaczyłaby w nim piękną kobietę. Wyjątkowo piękną kobietę o złocistych włosach,

szafirowych oczach, ustach w kolorze rózu, kobietę promieniującą zdrowiem, nadzieją i wewnętrzną siłą. Najpiękniejszą kobietę, z jaką Ryan się kiedykolwiek w życiu zetknął.

Po powrocie do domu zmieniła elegancki kostium na rozkloszowaną spódnicę w kwiecisty deseń i bawełnianą bluzkę. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że nawet w upalne dni Beth nosi bluzki zapinane wysoko pod szyją. Oczywiście nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie ich poniedziałkowa rozmowa. Na jego widok Beth wprawdzie nie sposepniała, ale i nie uśmiechnęła się zapraszająco. W ręce trzymała szklankę soku pomidorowego.

- Czy mogę wejść? - spytał.

Wcześniej zamierzał Beth gdzieś zaprosić, do „Corky's” albo w jakieś inne neutralne miejsce, ale kiedy ją ujrzał przed sobą, taką szczupłą, kruchą, delikatną, odechciało mu się chodzenia gdziekolwiek. Po prostu chciał zostać u niej w domu, dopóki nie upora się z sytuacją, nie zrozumie i nie uporządkuje swych pogmatwanych emocji.

Beth długo zastanawiała się nad pytaniem, ale wreszcie odsunęła się na bok. Nagle zza drzwi jadalni wyskoczył Lolek. Niestety Beth stała na jego drodze, a on gnał za szybko, by skręcić i ją okrążyć. Zderzyli się: pies wpadł na jej nogi, ona zaś podskoczyła, wylewając sok pomidorowy na koszulę gościa.

- Nie wolno! Niedobry pies! - zawołała. Odstawiła pustą szklankę na blat i kucnęła obok Lolka. Jedną rękę zacisnęła na jego pysku, drugą pogroziła mu przed nosem. - Nie wolno na nikogo wpadać! Nie wolno gnać bez opamiętania! Nie wolno! Nie, nie, nie!

Szczeniak spoglądał na nią speszony, po czym zerknął na Ryana i zaskomlał żałośnie, jakby szukał w nim sprzymierzeńca. Ryan przeniósł wzrok z nieszczęśliwego kundla na kobietę, która wygrażała szczeniakowi palcem przed nosem.

- Wygląda na to, że rozumie słowo „nie”.

- Nie wiem, czy rozumie „nie”, ale przynajmniej rozumie, kiedy jestem na niego zła. Muszę go nauczyć, że nie wolno rzucać się na ludzi.

- Często to robi?

- Nieważne, czy często, czy nie. W ogóle nie powinien.

- To instynkt, Beth. Wiele psów broni właścicieli przed obcymi.

- Nie jesteś obcy - powiedziała, po czym nagle ugryzła się w język, jakby nie była tego do końca pewna. Wstając z kucek, popatrzyła na Ryana z konsternacją. - Boże, cała koszulę masz zachłapaną.

Zerknął w dół. Kilka czerwonych plamek znaczyło materiał nad kieszenią.

- To straszne - jęknęła cicho i podeszła do zlewu. - Niedobry pies! Włącz do budy!

Daremnie usiłując wzbudzić litość, Lolek ponownie zaskomlał i z nisko zwieszonym łbem ruszył do metalowej skrzyni. Wszedł do środka i położył głowę na łapach.

- Nic się nie stało - rzekł Ryan. Był pełen podziwu dla Beth: naprawdę udało jej się wytresować Lolka. Nie potrzebowała niczych wskazówek ani pomocy. Sama sobie doskonale poradziła.

- Nauczyłam go, że kiedy jest niegrzeczny, za karę ma wejść do skrzyni. Niestety, nie zdołałam go nauczyć, że nie skacze się na każdego, kto staje w drzwiach. Okropnie mi przykro, Ryan. Za każdym razem, kiedy się zjawiasz, coś rozlewam. Szklanka sama mi się wyslizguje w ręki. - Wzdychając głęboko, sięgnęła po czystą ściereczkę do naczyń. - Nie tylko Lolek ponosi winę, ja też. Jestem taka niezdarna.

- Naprawdę nic się nie stało - powtórzył.

- Ależ stało się, stało. Trzeba to od razu splukać, bo inaczej nigdy nie dopierzesz koszuli. - Zamoczyła ściereczkę pod kranem i podstawiając pod nią rękę, żeby nie zachłapać podłogi, zbliżyła się do Ryana. - Sok pomidorowy zostawia trwałe ślady.

Wody, która przesiąkała przez koszulę, nie czuł, za to czuł na sobie ręce Beth, które go wycierały, gładziły, tarły, suszyły. Przestań! Stłum podniecenie, przykazał sobie. Przecież znasz jej tajemnicę. I wiesz, że nigdy nie będziesz się z nią kochał. Nie reaguj na bodźce...

Nagle Beth uświadomiła sobie, co robi i jaki to ma wpływ na Ryana. Znieruchomiła i popatrzyła na niego zakłopotana.

- Przepraszam - szepnęła, czerwieniejąc ze wstydu. Zakrył jej ręce dłońmi - po to, jak w siebie wmawiał, żeby woda ze ściereczki nie nakapała mu na buty. Następnie cisnął ściereczkę na stół.

- Za co? - spytał.

- Za wszystko.

- To ja chciałem cię przeprosić. Po to tu dziś przyjechałem - powiedział, chociaż wcale nie był tego pewien.

Kiedy na niego patrzyła, kiedy widział jej oczy, tak smutne i tak niewiarygodnie piękne, niczego nie był pewien.

- Nie chcę twoich przeprosin - rzekła.

- A co chcesz?

Jeszcze przez chwilę wpatrywała się w niego intensywnie, po czym spuściła wzrok. Wiedział, czego Beth pragnie, bo on pragnął tego samego. Mimo swych obaw, mimo lęku też tego pragnął. Słyszał w głowie dzwonki alarmowe. Rozum mu mówił, że nie można bezkarnie, ot tak sobie, iść do łóżka z kobietą, która tyle przeżyła co Beth. Po prostu jej tragedia musi na każdym odcisnąć piętno.

Nie zwracał na to uwagi. Pragnął tego, co i ona.

Chciała go nienawidzić, ale nie mogła. Kiedy ją objął i przytulił mocno do siebie, kiedy jego wargi przyłgnęły do jej ust i zaczęły je delikatnie całować, nie potrafiła wzbudzić w sobie nienawiści. Czowała wiele innych emocji, lecz nie nienawiść.

Beth nie mieściło się w głowie, że tak silnie może ją pociągać mężczyzna, który jej nie kochał i nigdy nie pokocha. To było dla niej przerażające. Ale z chwilą, gdy poczuła na ustach dotyk



jego gorących warg, wszystkie jej obawy zniknęły. Głód, tęsknota i żądza wyparły strach. Bez względu na walkę, jaką stoczyła, i na straty, jakie poniosła, wciąż była kobietą.

- Ryan... - szepnęła.

Odchylił się, aby spojrzeć jej w twarz.

- Nie po to tu przyjechałem.

- Wiem.

Rysował palcami kolka na jej plecach. Czują żar bijący z jego ciała.

- Chcesz, żebym poszedł?

- Nie. - Przełknęła ślinę i zebrawszy się na odwagę, spytała: - A ty chcesz odejść?

- Niestety nie. Mówię niestety, bo o ileż prostsze byłoby wtedy moje życie.

Był szczery aż do bólu. Beth pojęła, że Ryan boi się nie mniej niż ona. Skoro jednakowo odczuwają strach, postanowiła za szczerość odplacić mu szczerością.

- Jeśli... nam nie wyjdzie... - zaczęła, choć powinna była powiedzieć: jeśli rozmyślisz się na widok mojego ciała

- to... nie szkodzi. Zrozumiem.

- Nie wiem, Beth, czy nam wyjdzie, czy nie - przyznał.

- Wiem tylko, że dłużej tego nie zniosę. Nie jestem w stanie spać, myśleć o czymkolwiek innym poza tobą. Ludzie nie mogą już ze mną wytrzymać. Sam nie mogę z sobą wytrzymać. Pojęcia nie mam, co będzie, ale...

- Ryan...

- Ale do czegoś musi między nami dojść. Tak czy owak musi się rozstrzygnąć. Jakoś wyjaśnić. Rozumiesz, o czym mówię?

Nie do końca go pojmowała, ale w tym momencie nie miała ochoty nic analizować. Chciała, żeby znów ją pocałował. Zarzuciła mu ręce na szyję i lekko pociągnęła go w dół, a jego usta uzmysłowiły jej, że on również nie zamierza niczego teraz analizować.

Nie pamiętała, kiedy zaprowadziła go na górę do sypialni, kiedy ściemniła lampkę na nocnym stoliku, tworząc bardziej romantyczny nastrój, ani kiedy ściągnęła narzutę z szerokiego, mosiężnego łoża. Ale potem pamiętała już każdą sekundę. Pamiętała gorący pocałunek, dłonie, które gładziły ją po ramionach, po plecach, po biodrach i znów po szyi. Pamiętała język dotykający jej zębów, szorstką skórę na palcach, które gładkały ją po policzku. Pamiętała wszystko tak dokładnie dlatego, bo wiedziała, że za chwilę albo przeżyje wielką rozkosz, albo wielkie rozczarowanie.

Nagle wpadła w panikę. Będzie katastrofa. Będzie źle. bardzo źle. Może Ryan poprosi, żeby nie zdejmowała bluzki. Może nie będzie chciał oglądać jej nagiej. Może jedynie podciągnie jej spódnicę. Może zamknie oczy i będzie udawał, że ona, Beth, jest kimś innym, jakąś normalną, zdrową kobietą.

- Jesteś zdenerwowana?

- Tak.

Roześmiał się cicho.

- Ja też. - Leciutko uniośł jej twarz. - Masz w domu jakieś zabezpieczenie?

- Tak. W szufladzie stolika nocnego.

Boże, pomyślała, jakie to wszystko mało romantyczne. Wykonała szalony skok na głęboką wodę, ale teraz musi cierpliwie płynąć do brzegu. Zamknęła oczy, żeby nie widzieć napięcia malującego się na twarzy Ryana - i żeby on nie widział łez, które wzbierały jej pod powiekami.

Zbliżył jej dłoń do swoich ust i złożył na niej pocałunek. Poprzez ciemne, zimne warstwy zdenerwowania i strachu Beth poczuła coś jasnego, ciepłego. Coś, co stało się jeszcze jaśniejsze i cieplejsze, kiedy Ryan przyłożył jej rękę do swojej piersi. Pod wilgotną od potu koszulą jego serce biło silnie i miarowo. Wcale nie jest tak zdenerwowany jak ja, pomyślała w duchu.

Bała się, że zaraz stchórzy, więc ogromnym wysiłkiem woli zmusiła się do tego, aby kontynuować pieszczoty. Trwało nieskończenie długo, zanim w końcu rozpięła Ryanowi koszulę. Każdy guzik zbliżał ich do decydującej chwili, do prawdy, od której nie było ucieczki. Wreszcie dobrnęła do ostatniego i wyciągnęła poły ze spodni.

Już raz widziała jego nagi tors. Wiedziała, że jest wspaniale umięśniony, ogorzały. Tak, Ryan jest niezwykle atrakcyjny. Zazdrościła mu doskonałej harmonijnej budowy.

Stał bez ruchu, przyglądając się jej w milczeniu, podczas gdy ona delikatnie błędziła palcami po jego skórze. Ileż to czasu minęło, odkąd pieściła ciało mężczyzny i czuła, jak reaguje na jej dotyk. Słyszała przyspieszony oddech Ryana, widziała, jak brzuch mu się napina. Zrzucił koszulę, odsłaniając szczupłe, choć muskularne ramiona. Patrzyła na niego z podziwem. Nie był nadmiernie owłosiony. Po prostu był idealny. Tak jak i on sam.

Oddychając rytmicznie, przysunął ręce do bluzki Beth. Z całej siły musiała się powstrzymać, żeby nie uciec, nie zacząć krzyczeć, nie schować się w łazience. Wiedziała, że nadszedł moment prawdy, że za chwilę jej świat legnie w gruzach. Starając się przygotować na najgorsze, obiecała sobie, że nie będzie miała pretensji ani do Ryana, ani do siebie, i nie wybuchnie płaczem.

Czekała ze stoickim spokojem, aż Ryan rozepnie bluzkę i zsunie ją z jej ramion. Uczyniwszy to, odłożył bluzkę za siebie, na komodę, i ponownie wbił wzrok w Beth. A raczej w jej stanik - zwykły, skromny biustonosz, bez żadnych koronek ani ozdóbek. Wyciągnął ręce i rozpiął go z tyłu; po chwili stanik zsunął się na podłogę.

Po paru sekundach zdobyła się na odwagę i podniosła oczy na jego twarz. Nie potrafiła z niej nic wyczytać. Ryan powoli przeniósł spojrzenie z prawej piersi, jędrnej i krągłej, na szramę widniejącą tam, gdzie powinna znajdować się lewa pierś.

Upłynęła minuta. Potem kolejna. Cisza, która nastąpiła, tak głośno dzwoniła jej w uszach, że w końcu Beth nie wytrzymała. Obronnym gestem skrzyżowała ręce na piersi, aby ukryć swą nagość, po czym odwróciła się tyłem, usiłując zdławić szloch. Spodziewała się tego. Wiedziała, że tak się stanie. Ale nie szkodzi. Była przecież przygotowana na niepowodzenie.

- Nie szkodzi, Ryan - rzekła załamującym się głosem, ledwo hamując płacz.

- Co nie szkodzi? - szepnął tuż nad jej uchem.

- Odeszła ci ochota. Rozumiem. Nie przejmuj się. Bez słowa oderwał jej prawą rękę od piersi i położył na swoim nabrzmiałym przyrodzeniu.

- Czy tak reaguje ktoś, komu odeszła ochota? - zapytał. Musiała przyznać, że nie, ale bała się, że kiedy znów obróci się przodem, kiedy Ryan znów jej się przyjrzy i...

Psiakość. To nie on stanowi problem. To ona żyje w lęku, to ona wstydzi się własnego ciała, to ona się sobie nie podoba. On natomiast zachowuje się zupełnie normalnie.

Wyczuła przez materiał spodni twarde, nabrzmiałe kształty; zaczęła przesuwać po nim palcami, delikatnie w górę i w dół, aż wreszcie Ryan jęknął i zacisnął rękę na jej dłoni, prosząc, by przestała.

- Spójrz na mnie, Beth. - Ujął dziewczynę delikatnie za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. - Pragnę cię. Słyszysz? Pragnę cię.

Pojedyncza łza spłynęła jej po policzku. Nie zwracając na nią uwagi, Beth wyciągnęła do Ryana drugą rękę, on zaś czym prędzej rozebrał się do końca. Ponownie zaczęła go gładzić, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje - jakby widoczne gołym okiem podniecenie Ryana było dla niej najcudowniejszym w świecie darem. Prawie nie zauważyła, kiedy Ryan rozpiął jej spódnice, a potem delikatnie zsunął jej majtki. Gdy już stała naga, pocałował ją mocno, tak mocno, że nogi się niemal pod nią ugięły.

Nie przerywając pocałunku, wziął ją na ręce i przeniósł do łóżka. Poczowała na plecach chłodny dotyk prześcieradła. Dalej ją całował, namiętnie, zaborczo, jakby tym jednym pocałunkiem chciał jej powiedzieć, że klamka zapadła, że nie ma odwrotu. W jego zachowaniu nie było cienia obrzydzenia, niesmaku czy wstydu.

Powoli zabrał rękę z policzka Beth i przesunął ją nieco niżej, do szyi, obojczyka i piersi. Przez chwilę pozostał przy piersi, a potem kontynuował wędrówkę - do brzucha i jeszcze niżej.

- Wszystko w porządku? - spytał szeptem, masując jej uda.

- Tak...

- Bo wcześniej mówiłaś, że...

- Nie przerywaj.

- Że od tamtego czasu ani razu nie...

- Ryan... - Czuła narastające podniecenie.

- Może powinienem trochę zwolnić...

- Nie. Proszę...

Przekreślił się na bok i sięgnął do szuflady w stoliku. Słyszała, jak wyjmuje z pudełka prezerwatywę, jak rozrywa plastikowe opakowanie. Po chwili był z powrotem przy niej, pomiędzy jej udami, i wsuwał się do środka. Napięła mięśnie, zacisnęła zęby. Tak, wiele czasu minęło od ostatniego razu. Zbyt długo żyła bez mężczyzny. Zbyt długo bez miłości. Kolejna łza popłynęła jej po twarzy.

- Odpręż się - szepnął i poruszył biodrami, wsuwając się głębiej, po czym wysunął się i znów wsunął. - Odpręż się, Beth. Nie bądź taka spięta.

Objęła go z całej siły. Niczego więcej nie pragnęła. Miała Ryana. Nie uciekł od niej przerażony. To jej wystarcza.

- Bądź ze mną. - Oparł się na jednym łokciu, drugą ręką ujął ją za biodra, pomagając odnaleźć rytm. - Jesteś taka piękna, Beth, taka piękna. Bądź ze mną do końca, o tak, tak... - Mówił cicho, muskając językiem jej skroń, policzek, ucho. - Tak, o tak... - Powtarzał to jak litanię, jak refren pięknej kołysanki. -

Bądź ze mną, Beth, nie opuszczaj mnie teraz. Nie zostawię cię, nie bój się.

Powróciło napięcie, żar, niesamowite podniecenie. Ryan poruszał się coraz szybciej, wchodził w nią coraz głębiej. Plecy miał śliskie od potu, oddech urywany. Beth czuła, że reaguje na każdy jego ruch, każdy gest. Razem zmierzali ku spełnieniu. Jesteś taka piękna, powiedział. Była kobietą, jego kochanką, istotą pełną, kompletną, niewybrakowaną. Była doskonała. Wszystko było doskonałe.

Tama napięcia pękła. Ryan westchnął i nagle znieruchomiał. Tkwił w niej głęboko, tak głęboko, jakby stanowili jedność. Nie chciała go puścić. Pragnęła, by tak zostało na zawsze. Niczego przed nim wcześniej nie taiła, więc i teraz nie zamierzała nic taić, nawet swoich łez, które wyrażały ulgę i radość. A także miłość.

## ROZDZIAŁ 13

Nigdy dotąd nie traktował seksu tak... emocjonalnie.

Leżeli w łóżku, obejmowali się, nogi mieli splecione, jej włosy dotykały jego brody. Trzymając w ramionach szczupłe ciało Beth dumał o tym, co się stało i co czuł, gdy się kochali. Był przyzwyczajony do tego, że seks jest przyjemnością, radością, jednym z najcudowniejszych przeżyć fizycznych. Jednakże tym razem...

Tym razem było to coś zupełnie innego. Kiedy Beth zdjęła stanik, w jej oczach pojawił się ból, a po chwili rezygnacja. Ryan nie mógł i nie chciał się z tym pogodzić. Oprócz żądy i chęci zakosztowania tego najcudowniejszego z przeżyć, poczuł, że pragnie czegoś więcej.

Pragnął, aby wyraz rezygnacji zniknął z oczu Beth. Ta kobieta zasługiwała na wszystko i właśnie to zamierzał jej ofiarować - wszystko, nie tylko swoje ciało.

Nie wiedział, czego się spodziewać, kiedy ujrzy ją naga. Zakładał, że tam, gdzie dawniej miała lewą pierś, teraz będzie miała bliznę. I istotnie tak było, lecz ku swemu zdumieniu nie widział jej okaleczonego ciała - po prostu widział kobietę, która przeżyła prawdziwy koszmar i wyszła z niego zwycięsko. Dzięki Bogu, że ma to już za sobą, pomyślał. Dzięki Bogu, że żyje.

W tym momencie zrozumiał, że to, co się wydarzy pomiędzy nim a Beth, będzie czymś innym, czymś bardziej intensywnym od najwspanialszej rozkoszy fizycznej.

Nigdy tak dużo nie mówił podczas stosunku. To też było dziwne, bo zazwyczaj wszystko, co miał do powiedzenia, wyrażał gestem, ciałem. Ale Beth sprawiała wrażenie zagubionej istoty, pełnej obaw i lęku, więc chciał dodać jej pewności siebie, przekonać ją, jak ogromnie mu się podoba, jaka jest piękna, pociągająca, i jak bardzo on, Ryan, pragnie ją

sobą podniecić. Gdyby nie przeżyła orgazmu... chyba sam by się załamał.

Czułość, kliwość - to była dla niego rzecz nowa, niezwykła. Kiedy myślał o Beth, o ich wspólnym życiu, różne rzeczy napawały go strachem, ale najbardziej - głębia uczuć. Kiedy jednak się z tym pogodził, kiedy to zaakceptował, poczuł niesamowity przyływ siły i odwagi. Nie tylko Beth była dzielna, on również.

- Skończyłaś płakać? - spytał.

Unosząc głowę znad jego ramienia, pociągnęła nosem i uśmiechnęła się nieśmiało.

- Przepraszam.

- To chyba ja powinienem cię przeprosić. Zwykle, kiedy jest już po wszystkim, kobiety leżą z błogim uśmiechem na ustach.

- To Izy szczęścia - wyjaśniła Beth, po czym nieudolnie przybierając oburzoną minę, spytała: - O jakich błogo uśmiechniętych kobietach mówisz?

- O tych z mojej przeszłości, ale przysięgam, że już nigdy więcej o nich nie pomyślę - obiecał Ryan z udawaną powagą.

Beth uśmiechnęła się promiennie i ponownie oparła głowę na ramieniu kochanka.

Mówiąc żartem o kobietach ze swojej przeszłości, zaczął rozmyślać o przeszłości Beth. Wiedział, że nie powinien się wtrącać, lecz nie mógł się powstrzymać.

- Słuchaj, tamten facet, który cię rzucił... Beth zeszywniała, ale nie odsunęła się.

- No?

No właśnie. Miał świadomość, że niewiele brakowało, aby okazał się identycznym głupcem jak jego poprzednik. Niewiele brakowało, aby popełnił ten sam błąd.

- Może... to wcale... - Szukał odpowiednich słów, żeby w jak najbardziej taktowny sposób wyrazić swoje myśli. Po chwili poddał się. - Może wcale nie przeraziło go twoje okaleczone ciało. Może ty sama go wystraszyłaś.



- Ja? - Zaczęła się podnosić, ale obejmował ją mocno i nie mogła się wyrwać.

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z własnej siły, Beth. Facet... - Westchnął; nie potrafił znaleźć właściwych słów. - Większość facetów boi się kobiet, które są od nich silniejsze. Czują się zagrożeni i dlatego uciekają.

Naciskając lekko jego ramię, dała mu znać, że chce zmienić pozycję. Kiedy złagodził trochę uścisk, podniosła głowę i popatrzyła mu w twarz.

- Ty nie uciekłeś.

- Jak to? Uciekłem. I dalej bym zwiewał, ale...

- Ale wróciłeś.

- Tak. Bo pragnąłem cię bardziej, niż się ciebie bałem.

Oczy wciąż miała mokre od łez, uśmiech smutny i wzruszający. Po chwili opuściła ponownie głowę i wtuliła się w jego ramiona.

- Jesteś dzielniejszy, niż ci się wydaje, Ryan.

- Nie, po prostu oszalałem na twoim punkcie. Przekreślił ją na wznak, a sam obrócił się na bok. Mimo

szramy na klatce piersiowej, ciało miała niezwykle ponętne. Talię tak szczupłą, że nie wiadomo, gdzie się mieściły wewnętrzne organy. Żebra delikatne. Wzgórek łonowy porośnięty złocistymi włosami. Pierś piękną, jędrną, z sutkiem czerwonym jak malina. Położył dłoń na ciepłej kragłości i patrzył, jak sutek twardnieje. Nagle, ogarnięty paniką, zerknął na Beth. Nie był pewien, czy wolno jej tam dotykać, czy taka pieszczota jeszcze silniej nie uzmysłowi jej, co straciła.

- Hm, jakie to miłe - szepnęła.

- Ja...

Powinien był dłużej pobudzać ją w ten sposób. Będąc z kobietą, zwykle mnóstwo uwagi poświęcał jej piersiom. Ale Beth miała jedną pierś, a on tak bardzo się bał postąpić niewłaściwie, wyrządzić jej przykrość, że...

- Śmiało. Możesz mnie wszędzie dotykać.

- Nie będzie bolało?

Zrozumiała, że Ryan ma na myśli ból psychiczny, nie fizyczny.

- Nie-odparła.

- Jesteś pewna?

- Tak. To moje ciało. Znam je doskonale.

Spięty, świadom, że jest to pewnego rodzaju sprawdzian, przesunął rękę z prawej piersi na lewą stronę. Szrama, którą wyczuł pod palcami, była po prostu jednym z wielu aspektów różniących Beth od innych kobiet. Powoli znów narastało w nim podniecenie, ale tym razem podniecała go siła Beth, zaufanie, jakim go darzyła, wspomnienie tego, jak szczytowała, jak się wtedy czuła i jak sam się czuł; pragnął przeżyć to na nowo. Zobaczył, że ona również staje się coraz bardziej podniecona. Wciągnęła gwałtownie powietrze, uniosła biodra, a jej niebieskie oczy znów się zaszkliły.

- Chcę cię - szepnął. - Jeszcze bardziej niż przedtem. Owo pragnienie umiejscowione było również gdzieś

głębiej, w jakimś ciemnym, niedostępnym miejscu, w którym rodzą się myśli i sny, marzenia oraz lęki. I właśnie ta część jego jestestwa była znacznie silniej podniecona od jego ciała. Ta część chciała, aby Beth zaakceptowała go, tak jak on zaakceptował ją.

Strach, który czuł wcześniej, był niczym w porównaniu ze strachem, który go teraz ogarnął. Ale było za późno. Już nie mógł odejść, uciec od Beth. Już by nie potrafił.

- Skąd wiesz, że to nie miłość? - spytała Cindy.

Beth poprawiła sznurowadło, po czym usiadła na schodku przed gankiem i odchyliła się wygodnie.

- Bo istnieje ogromna różnica między miłością a tym, co łączy mnie z Ryanem - odparła, szukając w torebce okularów słonecznych.

Cindy patrzyła na przyjaciółkę z powątpiewaniem.

- Wyjaśnij mi proszę, na czym polega ta ogromna różnica.

Beth westchnęła. Ubrana w szorty koloru khaki, bawełnianą koszulkę, białe skarpety i tenisówki, była gotowa do drogi. Mitzi Rumson zaprosiła ją na wycieczkę rowerową. Mieli się spotkać w czwórkę - Beth, Mitzi, Ryan i Larry - w „Jevon Hill”, stamtąd zaś pokonać na rowerach około pięciokilometrowy odcinek do parku, by wśród zieleni zjeść zamówioną przez Mitzi drobną przekąskę: owoce, sery, zimne napoje i ciastka. Diabli wiedzą, ile Mitzi zapłaciła restauratorowi za przygotowanie jedzenia i dostarczenie go do parku. W każdym razie widać było, że postanowiła ubarwić sobie - i innym - życie w Devon.

- Jeśli koniecznie chcesz mówić o miłości, porozmawiajmy o Mitzi i Larrym - zaproponowała Beth.

- Zupełnie do siebie nie pasują - stwierdziła autorytatywnie Cindy.

Eryka głośnym piskiem poparła matkę. Dziewczynka siedziała w wózku i obserwowała Lolka, który popisował się przed nią, ganiając to motyle, to wiewiórki, to własny cień. Cindy z Beth właśnie skończyły jeść drugie śniadanie - które smakowałyby znacznie bardziej, gdyby mogły je spożyć na świeżym powietrzu, pomyślała Beth, starając się wyobrazić sobie swój mały ganek przerobiony na wielki taras. Postanowiła przejrzeć jeszcze raz plany i kosztorysy, które Ryan dla niej przygotował. Tak, przejrzy je, gdy tylko będzie miała wolną chwilę...

Przed październikiem raczej się na to nie zanosí, pomyślała, uśmiechając się do siebie w duchu. Dni miała zajęte pracą, sporządzaniem umów kupna i sprzedaży nieruchomości, sprawą wytoczoną przeciwko nieudolnemu adwokatowi, wieczory zaś zajmował jej Ryan. Czasami chodzili na kolację do „Corky's”, czasami jedli u niej w domu, a niekiedy u niego - u niego zwykle pizzę; zresztą Ryan uczciwie przyznał, że jego zdolności kulinarne ograniczają się do wykręcenia numeru pizzerii.

Po kolacji czasem się kochali, ale nie zawsze. Któregoś wieczoru byli tak zmęczeni po wyczerpującym dniu w pracy, że położyli się i po prostu zasnęli. W zeszłym tygodniu zaś dwa wieczory z rzędu w ogóle się nie widzieli. Nie rozmawiali na ten temat, ale najwyraźniej oboje potrzebowali odpoczynku od siebie, odrobiny samotności.

Beth podejrzewała, że Ryan chce czasem spędzić wieczór z dala od niej, żeby ich związek pozostał przyjemnością, a nie przymusem. Miała głębokie przekonanie, że nie jest to typ mężczyzny, który chętnie zrezygnuje z własnej wolności. Gdyby tak było, ożeniłby się dawno temu.

A ona? Dlaczego ona od czasu do czasu pragnęła побыć w samotności? W sumie kierowały nią dość podobne pobudki: nie chciała stać się zależna od Ryana, nie chciała stracić dla niego głowy. Gdyby spotykali się co wieczór, gdyby każdej nocy się kochali, gdyby codziennie odsłaniała przed Ryanem swe ciało i swą duszę, nie byłoby odwrotu.

Tak, nie chciała się zakochać w Ryanie. Był dla niej dobry, może nawet aż za dobry. Dzięki niemu czuła się lepiej niż kiedykolwiek w życiu. To on sprawił, że uśmiech znów zagościł na jej wargach, że znów umiała się cieszyć, że uwierzyła w siebie. I była mu za to do zgonnie wdzięczna.

Sama nie będąc zakochana, a przynajmniej twierdząc, że nie jest, swoją potrzebę miłości zaspokajała w inny sposób, mianowicie śledząc uczucie rodzące się pomiędzy Lar-rym i Mitzi. Stanowili oni najlepszy dowód na to, że osoby o skrajnie odmiennych charakterach lgną do siebie niczym magnes. Nieśmiały, nieustannie wszystkim zdumiony Larry zdawał się być autentycznie oczarowany pełną życia, ekstrawagancką, bogatą wdową z Bostonu. Bardziej jednak dziwne było to, że Mitzi sprawiała wrażenie równie oczarowanej Larrym. Po wielu tygodniach, kiedy to robiła oczy do Ryana, spotkała mężczyznę, któremu zupełnie obca była sztuka flirtowania. W dniu, w którym Mitzi dostała od niego „mrówczą fermę”, czyli

przeszkłone mrowisko, w którym można było obserwować życie mrówek, przybiegła zachwycona do Beth i przez godzinę opowiadała jej o tym, jaki to Larry jest niezwykły.

Niezwykły? Chyba tak. Gdyby Ryanowi przyszedł do głowy podobny pomysł, Beth przypuszczalnie pokazałaby mu drzwi. Ale osobliwy urok Larry'ego najwyraźniej działał na Mitzi.

Było piękne, sobotnie popołudnie. Beth postanowiła się zrelaksować, spędzić miło kilka godzin, nie myśleć o miłości, o swoim związku z Ryanem, tylko cieszyć się błękitnym niebem, czystym powietrzem oraz tym, że żyje, że jest zdrowa i po raz pierwszy od dawna naprawdę szczęśliwa.

- Wszystko jedno, co mówisz - ciągnęła Cindy. - Moim zdaniem jesteś zakochana.

- Wcale nie. Jedyne posłuchałam twojej rady i skoczyłam na głęboką wodę. Ryan i ja po prostu się razem pluszczemy, nic więcej.

- Znam cię od lat, Beth. Obserwowałam cię, kiedy byłaś z Peterem. I wcześniej z tym chłopakiem... Chyba miał na imię Richard, prawda? I później, kiedy spotykałaś się z tym rozwodnikiem w Nowym Jorku.

- Z rozwodnikiem nic mnie nie łączyło. To nie był poważny związek. Umówiliśmy się kilka razy i to wszystko.

- Żaden z tamtych związków nie był zbyt poważny - podsumowała Cindy.

- Nawet kiedy byłaś z Peterem, nie promieniałaś szczęściem tak jak teraz. Oczy ci tak nie błyszczały.

- Błyszczą, bo cieszę się na myśl o wycieczce do parku. Od lat nie jeździłam na rowerze...

Cindy zignorowała słowa Beth.

- Biję od ciebie radość, zadowolenie, jakby wszystko wreszcie zaczęło ci się w życiu układać.

- Bo to prawda. Jestem zdrowa, mam dom, pies przestał sikać na podłogę...

- I kochasz Ryana. - Cindy utkwiała badawczo wzrok w przyjaciółce. - O co chodzi? Przeszkadza ci, że on ma skromną firmę budowlaną, a ty jesteś panią adwokat?

- A skądże! - Beth roześmiała się, zaskoczona absurdalną sugestią. - Dobrze wiesz, że nie zwracam uwagi na takie rzeczy jak pochodzenie czy status materialny. Poza tym może kiedyś bycie prawnikiem stanowiło powód do dumy, ale te czasy dawno minęły.

- Więc w czym problem? Boisz się, że on nie odwzajemnia twoich uczuć?

Beth zawahała się. W słowach Cindy tkwił element prawdy, gdyby jednak przyznała przyjaciółce rację, wówczas nie mogłaby dłużej oszukiwać samej siebie.

- Nie boję się. Po prostu wiem, że Ryan mnie nie kocha - odparła po chwili. - I choćby dlatego to, co jest między nami, nie może przerodzić się w miłość.

- Skąd wiesz, że cię nie kocha?

Beth ponownie się zawahała. Nie umiała tego sprecyzować, ale wiedziała ponad wszelką wątpliwość. Nigdy o tym nie rozmawiali, Ryan nigdy nie wstał i nie oświadczył: słuchaj, ja cię nie kocham, ale...

Nie miała się co łudzić. Zresztą potrafiła to wyczytać z jego twarzy. Często na przykład uśmiechał się tak, jakby coś przed nią ukrywał. Kiedy zaś patrzył na jej nagie ciało, jego spojrzenie stawało się chmurne. Z kolei seks z Ryanem zawsze był cudownym przeżyciem, ale niezwykle poważnym, prawie nabożnym.

Zanim poszli z sobą do łóżka, uśmiech miał weselszy, bardziej swobodny. Potem to się zmieniło. Wszystko się zmieniło, kiedy zobaczył ją nagą. Różniła się od kobiet, które dotąd znał. Pokochanie jej wymagało więcej poświęcenia, niż miała prawo oczekiwać od faceta, który stanowił najlepszą partię w całym Devon.

- Po prostu wiem - oznajmiła krótko.

Warkot należącej do Ryana furgonetki, która skręciła w podjazd przed domem Beth, powstrzymał Cindy od zadawania kolejnych pytań.

- No dobra. - Cindy wstała i podeszła do wózka. - Kiedyś uważałam jazdę na rowerze za wielką frajdę. Dopóki nie urodziłam dziecka, a to dziecko nie zaczęło ząbkować i pół nocy wyć z bólu. Teraz nic mnie tak nie cieszy, jak drzemka.

- Niedługo przestanie ząbkować - powiedziała Beth, próbując w siebie wmówić, że to koniec przesłuchania, a nie widok Ryana, spowodował tę falę radości, która nagle ją zalała.

- Pewnie tak - mruknęła Cindy, zbierając z ziemi rzeczy córki i chowając je do torby. - Ale za kilka lat znów nie będę mogła spać po nocy, bo moje słodkie maleństwo zamiast posłusznie wracać do domu o przykazanej porze, będzie szaleć na randkach z chłopakami.

- Co ty mówisz? - oburzyła się Beth. - Moja chrześniaczka wyrośnie na grzeczną panienkę.

Słyszając odgłos zatraskiwanych drzwi, a potem chrzest butów na żwirze, poczuła, jak zalewają kolejna fala radości. Miała ochotę podbiec do Ryana i rzucić mu się w ramiona, ale zdołała się powstrzymać. Wolnym krokiem ruszyła mu naprzeciw.

Z chwilą, gdy napotkała jego wzrok, poczuła zawrót głowy; szczęście promieniało z jej duszy, docierało do każdej komórki jej ciała. Na ustach Beth osiadł błogi uśmiech. Była zachwycona tym, że spędzi z Ryanem kilka cudownych godzin bez stresów, bez dręczących pytań, bez szukania odpowiedzi, bez konieczności określenia charakteru ich związku...

Mogła odczuwać radość w jego towarzystwie. Nogi mogły się pod nią uginać, kiedy całował ją na powitanie. Mogła mieć przyspieszony oddech i szybszy puls, kiedy na nią patrzył - ale nie miało to nic wspólnego z miłością.

- Mitzi obiecała wynająć rowery - powiedział Ryan, kiedy Beth zamykała drzwi na klucz. - Ja wprawdzie mam jakiś stary i

porzdewiały, ale nie byłem pewny, czy ty już sobie kupiłaś, czy jeszcze nie, więc uznałem, że lepiej będzie wypożyczyć.

- Słusznie. Gdybyśmy zabrali własne rowery, Mitzi poczułaby się urażona. Jak gospodyni na widok gościa, który przychodzi z własnym jedzeniem.

- Masz rację.

Otworzył drzwiczki od strony pasażera i pomógł Beth wsiąść do furgonetki. Przez chwilę nie puszczał jej dłoni. Potem obdarzył ją czułym uśmiechem, który sprawił, że serce zabiło jej jeszcze mocniej.

To nie miłość, powiedziała sama do siebie. To nie z powodu miłości drży na całym ciele, ilekroć patrzy w oczy Ryana. To nie z powodu miłości uwielbia się z nim kochać, budzić się przy jego boku, siedzieć obok niego, rozmawiać z nim, śmiać się. To nie z powodu miłości świat nabiera piękniejszych barw, kiedy on jest przy niej, a przyszłość wydaje się czymś, o co warto walczyć.

To nie miłość. To nie może być miłość. Beth po prostu w to nie wierzyła. A może bała się uwierzyć.

Większość czasu Ryan cieszył się, kiedy był w towarzystwie Beth.

Lubił na nią patrzeć, lubił ją rozśmieszać, lubił obserwować, jak je, a nocami lubił czuć przy sobie jej ciało. W te wieczory, które spędzali osobno, lubił mieć świadomość, że Beth znajduje się niedaleko, że w razie czego wystarczy sięgnąć po telefon i zadzwonić do niej. Kiedy leżał w łóżku, tak zmęczony, że nawet nie był w stanie myśleć, lubił wykręcić jej numer i przed zaśnięciem usłyszeć jej głos.

Ale nie zawsze jej towarzystwo sprawiało mu niekłamaną radość. Bywały dni, takie jak choćby dzisiejszy, kiedy jej oczy lśniły zbyt intensywnie, kiedy włosy miała bardziej złociste niż promienie słońca, a powietrze wokół niej zdawało się drzeć. W takie dni odczuwał strach.



Pragnął być z Beth, ale chciał wieść nieskomplikowane życie, ona zaś od początku ostrzegęła go, że ich związek nigdy nie będzie prosty, bez komplikacji.

Na przykład seks. Przedtem bez względu na to, co Ryan czuł do kobiety, z którą szedł do łóżka, seks zawsze był dla niego ważnym, wspianiałym przeżyciem fizycznym. Z Beth jednak sprawa wyglądała całkiem inaczej. Kochając się z nią, cały czas miał przed oczami jej okaleczone ciało i marzył o tym, by dorwać drania, który porzucił ją, kiedy powiedziała mu prawdę o swojej chorobie. Chciał wierzyć, że będąc na jego miejscu, zachowałby się inaczej, że zostałby z Beth, podtrzymałby ją na duchu, walczył o jej zdrowie. Że tworzyliby jedność.

Jedność - przerażało go to słowo.

Zawsze sądził, że kiedyś się ożeni, że będzie miał kilkoro dzieci, że stanie się głową rodziny. Ale kiedy próbował to sobie wyobrazić... Do diabła! Ze skruchą musiał przyznać, że kobieta w jego marzeniach nie była dotknięta chorobą nowotworową.

Jest łajdakiem, bo nie potrafi zaangażować się do końca, a przecież Beth niczemu nie zawiniła. Jest gnidą, bo pragnie rzeczy niemożliwych: aby Beth była taka, jaką być nie mogła, i aby dała mu gwarancję, że choroba więcej się nie powtórzy. Pocieszał się, że przynajmniej jest szczery.

Wiedział, że wkrótce będzie musiał coś zrobić, podjąć decyzję. To było nieuczciwe wobec Beth - udawać, że daje z siebie wszystko, skoro nie dawał. Ale bał się, że jeśli wyjawি jej prawdę, opowie o swoich wątpliwościach, wówczas ją straci, a tego by nie zniósł.

Tak, jest gnidą i łajdakiem... ale na razie postanowił o tym nie myśleć i po prostu cieszyć się wycieczką do parku w towarzystwie Beth.

Zajazd „Jevon Hill” stał na niedużym wzgórzu w zachodniej części miasta. Liczący dwa piętra, biały drewniany budynek z czarnymi okiennicami, szeroką, osłoniętą siatką werandą od frontu i drugą z boku wyglądał tak, jak zdaniem filmowców z

Hollywood powinien wyglądać zajazd w Nowej Anglii. W oknach na pierwszym i drugim piętrze kwitło geranium, zaś na rabatach ciągnących się wzdłuż obu werand rosły rododendrony i azalie. Przy ścieżce prowadzącej do drzwi stały cztery lśniące nowe rowery.

Na widok Beth i Ryana, którzy zblizali się ścieżką, Mitzi i Larry podnieśli się z rozstawionych na werandzie leżaków. Mitzi pomachała entuzjastycznie. Kiedy zbiegała po schodach, biust podskakiwał jej rytmicznie. Patrząc na młodą wdowę, Ryanowi przyszło na myśl, że jak na jego gust Mitzi zanadto rzuca się w oczy - ma zbyt bujne włosy, zbyt krągłe kształty, zbyt krótkie szorty, spod których wystaje zbyt dużo pośladka. Zdecydowanie bardziej wolał dyskretny urok Beth o długich, ładnie opalonych nogach, której uda widział jedynie oczami wyobraźni.

- Patrzcie, co mam! - zawołała radośnie milionerka; wsunęła rękę do wielkiej torby, którą Larry niósł za nią po schodach, i wyjęła cztery kaski rowerowe. - Ten dla ciebie - powiedziała do Beth, podając jej kask w jasnoróżowym kolorze - a ten dla ciebie - rzekła, wręczając Ryanowi czarny, przecięty złotym zygzakiem.

- Co to? Błyskawica?

- Spójrz na mój! - Larry wyciągnął ze śmiechem biały kask, po obu stronach którego widniało coś jakby skrzydła wielkiej muchy.

- Boże. A cóż to?

- Szerszeń - odparł dumnie Larry. - Mitzi uwielbia owady. Ryan parsknął śmiechem.

- Biedna Mitzi. Myślałem, że ma lepszy gust.

- Ja i dobry gust? A czy wtedy zakochałabym się w Lanym? - zażartowała Mitzi.

- No dobra, zbierajmy się. Rowery są wypożyczone, ale kaski macie ode mnie w prezencie.

Wyjęła z torby ostatni kask, który błyszczał złościście, współgrając z połyskującą złotą biżuterią, i włożyła go na głowę.

- Jakie ładne - powiedziała Beth, oglądając dwie damki.

- A ile mają przerzutek! Boże, od lat na czymś takim nie jeździłam...

- Podobno jazda na rowerze jest jak seks. Gdy raz się ją opanuje, nigdy się jej nie zapomina.

Słyszając to, Beth uśmiechnęła się nieśmiało i zerknęła w stronę Ryana. Nie wiedział, czy zrobiła to naumyślnie, czy niechący, nie wiedział też, czy on na nią spojrział przypadkiem czy świadomie, w każdym bądź razie przez chwilę patrzyli na siebie ponad rowerami. Głębia jej błękitnych oczu dosłownie go poraziła, przejęła do żywego. Zdał sobie sprawę, że nigdy nie zapomni seksu z Beth. Nigdy nie zapomni, że będąc z nią w łóżku, zawsze przeżywa nie tylko spełnienie fizyczne, ale również eksplozję uczuć. Nigdy nie zapomni tej energii, jaką Beth w nim wyzwała, a zarazem jakiej go pozbawia, tego, że czyni go tak niesamowicie silnym, a jednocześnie tak potwornie słabym. Jedna noc spędzona z Beth potrafi odmienić człowieka na całe życie.

Przerażały go te myśli. Odsunął je od siebie, postanawiając skupić się na ciepłej, słonecznej pogodzie, na miłej wycieczce rowerowej w towarzystwie przyjaciół, na czekającej ich później przekąsce.

Wsiedli na rowery, włożyli przydzielone im przez Mitzi kaski i ruszyli krętą wiejską drogą. W powietrzu unosił się zapach świeżo ściętej trawy i lasów sosnowych. Tu i ówdzie na gałęziach dębów i jaworów przysiadły drozdy. Pomimo kasku Ryan czuł na policzkach łagodny powiew wiatru.

Jechali parami po wąskiej drodze: Mitzi z Larrym na przodzie, Ryan z Beth za nimi. Ilekroć pojawiał się samochód, Ryan zwalniał i przepuszczał Beth, po czym znów do niej

dołączał. Jadąc z tyłu, lubił na nią patrzeć, ale jeszcze bardziej lubił z nią rozmawiać.

- Ona naprawdę szaleje na jego punkcie - powiedział, wskazując brodą na Mitzi i Larry'ego, którzy znajdowali się od nich w takiej odległości, że na pewno nie słyszeli ich głosów.

- A Larry? Odwzajemnia jej uczucie?

- Mój trzeźwo myślący kuzyn stracił zdolność mówienia pełnymi zdaniami. Jest zakochany po uszy.

- To wspaniale. - Beth uśmiechnęła się. - Wiesz, że ofiarował jej mrówczą fermę?

Ryan wywrócił oczy do nieba.

- Tak. Wprost nie mogłem w to uwierzyć. Mrówcza ferma dla Mitzi Rumson... Cholera, a wydawałoby mi się, że takiej kobiecie jak ona powinno się dawać brylanty i złoto, no nie?

- Chyba ma dosyć biżuterii. A założę się... - Beth lekko skręciła kierownicą, żeby zmniejszyć odległość, jaka dzieliła ją od Ryana - że jej świętej pamięci małżonek, Winnie Rumson, nigdy nie podarował Mitzi mrówczej fermy.

- Miłość to dziwne zwierzę.

- To zagrożony gatunek, który nie wymiera tylko dzięki takim ludziom jak Mitzi i Lany.

Ryan zadumał się nad słowami Beth. Na pewno nie chodzi jej o to, żeby doszukiwał się w nich głębokiego sensu filozoficznego, ale nie mógł się temu oprzeć. Zawsze kiedy był z Beth, gdy o niej myślał, kiedy ją całował i kiedy się z nią kochał, czuł, że to dziwne zwierzę - miłość - warczy na niego, obnaża swe kły. Miał świadomość, że jest to zjawisko niezwykle rzadkie, przerażające, lecz piękne - jak napotkany w dżungli kot, tygrys lub pantera, szykujący się do skoku.

Zaczął mocniej pedałowac, droga bowiem prowadziła pod górkę.

- Psiakość - mruknęła Beth, zostając w tyle.

- Ryan, działają twoje przerzutki?

- Spróbuj drążek po lewej. - Zwolnił, bo nie chciał się od niej za bardzo oddalać.

- Jakoś słabo mi to idzie. Zacinają się. - Po chwili zdołała zmienić bieg i znów zaczęła pedałowac.

- Mój ostatni rower miał dziesięć przerzutek. To było aż nadto.

- Tak, ale w Nowym Jorku jest płasko, a New Hampshire leży na wzgórzach, Poza tym kogoś, kto na peryferiach Devon buduje własny Wersal, nie zadowoli zwykły rower z dziesięcioma przerzutkami. Może uszło to twojej uwagi, ale Mitzi lubi wszystko na wielką skalę.

- Tak, zauważyłam - uśmiechnęła się Beth rozbawiona. Delikatny róż na kasku miał identyczny odcień co róż na jej policzkach. Wyglądała tak świeżo, tak kobieco, tak seksownie. Ryan poczuł, jak zwierzę ponownie szczerzy kły i atakuje go raz po raz.

Dotarli na szczyt wzgórza. Ryan zredukował biegi i ruszył w dół, wsłuchując się w wytwarzany przez koła monotony świst. Od dzieciństwa uwielbiał jazdę z górki. Była niemal tak podniecająca jak skoki ze skały, które wykonywali z Jeffem co roku po wiosennej odwilży - i skacząc, i pędząc z góry na łeb na szyję miał cudowne poczucie niesamowitej wolności, poczucie bycia niezniszczalnym. Wiatr targał jego koszulę, chłostał go po uszach. Cały czas towarzyszył mu świst obracających się kół, a z przodu zaś co chwila dolatywał go wysoki, piskliwy śmiech Mitzi.

W pewnym momencie usłyszał za plecami dziwny trzask, potem coś jakby kwik, i nagle nastąpiła cisza. Naciskając kilka razy hamulec, żeby nie wpaść w poślizg i nie połamać sobie kości, obejrzał się przez ramię. Rower Beth leżał na poboczu, a ona obok niego na trawie.

Czym prędzej zawrócił i ile sił w nogach ruszył z powrotem pod górę. Kiedy dojechał na miejsce i zeskoczył z roweru, Beth

siedziała na ziemi i kręciła z niedowierzaniem głową. Ryan rzucił swój rower gdzie popadnie i podbiegł do niej.

- Co się stało? Jak się czujesz?

- Nie wiem. - Znów pokręciła głową i objęła się w pasie.

- Zmieniałam bieg i nagle mną zarzuciło. Pewnie coś źle zrobiłam, ale nie mam pojęcia co.

- Poczekaj. Nie ruszaj się - rozkazał.

Ściągnął kask, po czym delikatnie zdjął kask Beth. Obejrzał jej kolana, ale nie dostrzegł na nich krwi ani żadnego zadrapania. Następnie przeniósł wzrok na jej twarz. Spojrzenie miała takie jak zwykle - spokojne, przenikliwe.

- Boli cię coś?

- Tylko ramię - odparła. - Chyba na nie upadłam. Na szczęście ziemia jest dość miękka, więc myślę, że nic...

- Które? - spytał i nagle zobaczył, że prawą ręką podtrzymuje lewy łokieć.

- Lewe?

- Nic mi nie jest. Trocheje potłukłam, ale to wszystko. Kiedy je dotknął, podskoczyła z bólu.

- A jednak - powiedział.

W jej oczach zakręciły się łzy - wyraz smutku i bezsilnej złości.

- Boże, ale ze mnie niezdara. A niech to licha!

- Żadna niezdara. Sama mówiłaś, że biegi się zacinają.

- Wszystko zepsułam. Całą wycieczkę. A mogliśmy spędzić miłe popołudnie...

- Przestań. To nie twoja wina. - Ostrożnie przesunął dłonią wzdłuż jej przedramienia; tym razem nie wzdrygnęła się z bólu, nawet się nie skrzywiła.

- Tu nic nie boli? - upewnił się.

- Nie. Boli wyżej. Och, Ryan, przepraszam. Tymczasem dołączyli do nich Larry z Mitzi, oboje zasapani po szybkiej jeździe pod strome wzniesienie.

- Co się stało?

- Biegi się zacięły i zarzuciło nią - powiedział Ryan, zanim Beth otworzyła usta i znów zaczęła wszystkich przeproszać.

- Już wcześniej się skarżyła na przerzutki.

- Cholerna wypożyczalnia! - zezłościła się Mitzi i nie przebierając w słowach, posłała pod adresem właściciela kilka barwnych epitetów. - Mam nadzieję, że sukinsyn dobrze się ubezpieczył, bo myślę, że powinniśmy zażądać odszkodowania. Czy ktoś z was zna dobrego prawnika? - Uśmiechnęła się szeroko do Beth.

Ryan chyba nigdy w życiu nie darzył Mitzi tak wielką sympatią jak teraz, kiedy robiła co mogła, żeby tylko rozweselić Beth.

- Beth jest prawnikiem - powiedział Larry, całkiem nie poznając się na żarcie. Miłość najwyraźniej odebrała mu rozum.

- Potłukła sobie ramię - oznajmił Ryan. - Powinien je jak najszybciej obejrzeć lekarz.

- Nie! - sprzeciwiła się Beth. - Nie zamierzam psuć wycieczki.

- Ty tu nie masz nic do gadania. - Wstał i podniósł z trawy swój kask. - Poczekajcie z nią. Wrócę do zajazdu po furgonetkę, a potem zawiozę Beth do lekarza.

- Pojedziemy z wami - postanowiła Mitzi.

- Nie - sprzeciwiła się ponownie Beth, ale znacznie spokojniejszym tonem niż przed chwilą.

- Jeżeli chcecie, proszę bardzo, możecie dotrzymać mi towarzystwa, ale kiedy Ryan wróci, wsiądziecie na rowery i pojedziecie do parku. Nie ma powodu, żebyście wszyscy wieźli mnie do lekarza. Swoją drogą, nie potrzebuję żadnego lekarza.

Była błada jak kreda, krew odpłynęła jej z policzków. Widać było, że ból w ramieniu mocno jej doskwiera.

- Przypilnujcie, żeby nie ruszała lewą ręką, dobrze? - poprosił Ryan, zwracając się do Larry'ego i Mitzi.

- Wrócę za dziesięć minut. - Wsiadł na rower, posłał Beth karcące spojrzenie, po czym ruszył w dół, kierując się do „Jevon Hill”.

Ponieważ w sobotę żaden z miejscowych lekarzy nie przyjmował pacjentów, Ryan zawiózł Beth do szpitala w Manchesterze. Wcześniej z paska od spodni wykonał prowizoryczny temblak, żeby ręka Beth nie podskakiwała podczas drogi. Beth upierała się, że nie czuje bólu; czuła pulsowanie od nasady szyi aż po łopatkę.

Czyniła sobie wyrzuty za to, że spadła. Sądziła, że spędzi miłe, beztroskie popołudnie na łonie natury, obserwując rozkwitające uczucie pomiędzy Mitzi a Lanym. Zamiast tego miała spędzić kilka godzin w izbie przyjęć szpitala w Manchesterze.

Ryan cały czas troskliwie się nią zajmował.

- Strasznie mi głupio - szepnęła, kiedy wjechał na parking przed izbą przyjęć.

- Przestań. Trafił ci się rower do kitu.

Starala się pohamować łzy, które wzbierały jej pod powiekami.

- Nienawidzę szpitali.

Zerknął na nią z ukosa, ale wiedziała, że nigdy nie zrozumie furii, która w niej kipi. Pewnie nawet jej nie dostrzegął, albowiem ona, Beth, doskonale umiała skrywać swe uczucia. Nauczyła się zwalczać negatywne emocje, nie dopuszczać do siebie czarnych myśli, nie pozwalać, aby nią zawładnęły. Niczym żołnierz rezerwy, który wie, że zawsze musi być gotów na wezwanie, potrafiła błyskawicznie wdziać swój rynsztunek bojowy. Ale to nie znaczyło, że cieszyła się z wezwania.

- Tym razem nie jesteś sama - powiedział. - Masz przecież mnie.

Ogień gniewu, który w niej płonął, zaczął zamierać, jakby Ryan polał go strumieniem zimnej wody. Istotnie, tym razem nie była sama, miała jego. Była to najpiękniejsza deklaracja miłości, jaką kiedykolwiek w życiu słyszała.

Tak, tym razem nie jest sama. Tym razem pobyt w szpitalu nie odcisnie na niej piętna, ponieważ ma Ryana. Nie będzie



żadnej walki, żadnej ciężkiej przeprawy. Przyjdzie lekarz, zbada ją i powie, że zwichnęła sobie ramię albo że naciągnęła mięsień, po czym pożegna się i wyjdzie, a wtedy ona wróci do domu. Z Ryanem.

Weszli razem do izby przyjęć. W przeciwieństwie do hałasu i nerwowości typowych dla nowojorskich szpitali, tu panowała cisza i spokój. W izbie przyjęć nie było nikogo poza dyżurną pielęgniarką, która zapisała numer polisy ubezpieczeniowej Beth, po czym zaprowadziła ją na prześwietlenie. Chociaż Ryan nie mógł jej tam towarzyszyć, Beth cały czas czuła przy sobie jego obecność. To dodawało jej sił.

Technik wykonał kilka zdjęć, każde pod innym kątem, po czym poprosił Beth, żeby zaczekała na wyniki w pokoju obok. Kiedy pojawiła się w drzwiach, Ryan odłożył pismo, które przeglądał, i uśmiechnął się do niej ciepło.

- No i co? - spytał.

- Muszą wywołać kliszę. Skinął głową.

- Wiesz, pomyślałem sobie, że w Manchesterze też są jakieś atrakcje. Skoro już tu jesteśmy, powinniśmy z nich skorzystać.

- Dobrze. - Istniało wiele powodów, dla których mogłaby się zakochać w Ryaniu, choćby taki, że w każdej sytuacji stara się znaleźć pozytywne rozwiązanie. Że zawsze zwycięża jego optymizm.

- Moglibyśmy pójść do kina, a potem na kolację. Na pewno jest tu mnóstwo restauracji bardziej wytwornych od „Corky's”.

- Co, w tych strojach? Do wytwornego lokalu? - Beth wskazała na swoje pogniecione szorty i bawełnianą koszulkę.

- Wcześniej możemy się wybrać po zakupy. Eleganckich sklepów tu nie brak.

Zaczęła się śmiać.

- Proszę, jaka wspaniała randka! Wspólne zakupy w Manchesterze.

Ryan uniósł zabawnie brwi i zrobił lubieżną minę.

- Mógłbym zakraść się z tobą do przymierzalni...

- Nic nowego byś nie zobaczył.

- Nie szkodzi. Pomyśl tylko: nowe otoczenie, zasłonka, lustro, mała ciasna kabinka, wąska ławeczka... Moglibyśmy wykazać prawdziwie twórczą inicjatywę - powiedział, puszczając do niej oko.

Wciąż chichocząc, Beth oblała się rumieńcem.

- Pani Beth Pendleton? - spytał nagle czyjś głos. Beth odwróciła się. Przy okienku rejestracyjnym stał mężczyzna w białym lekarskim fartuchu.

- Tak, to ja.

Mężczyzna zbliżył się, uśmiechając się łagodnie. Na oko liczył mniej więcej tyle lat co Beth. Pewnie biedak odbywa staż w tutejszym szpitalu i akurat na niego wypadł sobotni dyżur.

- Matthew Rose - przedstawił się. - Przejdźmy do mojego gabinetu...

Nie poprosiła Ryana, żeby udał się z nią na rozmowę do gabinetu doktora Rose'a, ale ucieszyła się, kiedy wstał i leciutko objął ją pasie. Idąc koło siebie korytarzem, minęli salę rentgenowską i po chwili znaleźli się w małym, kwadratowym pokoiku. Wyglądał tak jak dziesiątki innych gabinetów lekarskich, które Beth widziała: na podłodze leżał taki sam nijaki dywan, pod jedną ścianą stały półki z książkami i oprawionymi w ramki zdjęciami rodziny, na drugiej ścianie wisiały plakaty przysłane przez firmy farmaceutyczne. Nieopodal biurka znajdowała się podświetlona tablica, na której wisiały zdjęcia rentgenowskie przedstawiające kości ramienia. Doktor Rose wskazał dwa krzesła stojące naprzeciw biurka.

- Ma pani pęknięty obojczyk. To dobra wiadomość.

- Dobra wiadomość? - zdumiał się Ryan.

- Kość obojczyka łatwo się zrasta, zwłaszcza gdy złamanie czy pęknięcie jest tak nieskomplikowane jak w pani przypadku. Na jakiś czas trzeba będzie unieruchomić ramię, ale proszę się nie obawiać, będzie się pani mogła swobodnie myć, ubierać i tak dalej. Przez kilka dni radzę zażywać zwykłe proszki

przeciwbólowe. Na szczęście, nie jest to bardzo poważne obrażenie.

Beth wyczuła w głosie lekarza dziwną nutę, jakby pewien podtekst, coś, czego Ryan nie wyczuł, ponieważ nigdy wcześniej niczego takiego nie słyszał. Ona zaś słyszała, i to nieraz. W brzuchu ją zakłuło, oczy zapiekły, ledwo mogła oddychać.

- A zła wiadomość? - spytała lodowatym tonem. Ryan popatrzył na nią zdziwiony. W oczach doktora

Rose'a zdziwienia niestety nie było.

- Miała pani nowotwór piersi - rzekł, podchodząc do oświetlonej tablicy.

- Tak - rzekła.

Lekarz uśmiechnął się do niej ponownie, tym razem ze współczuciem. Beth zadrżała na całym ciele. Znała takie uśmiechy, takie spojrzenia, znała je równie dobrze jak niewyczuwalne dla innych ludzi zmiany tembru w głosie lekarzy. Wiedziała. Wiedziała, że wiadomość, którą usłyszy, będzie bardzo zła.

- Na pewno zdaje pani sobie sprawę, że czasem przy nowotworze piersi zdarzają się przerzuty do kości.

Nie chciała tego słuchać. Bała się, że nie wytrzyma. Nie zasłużyła na coś takiego. Boże, jaka straszna niesprawiedliwość, pomyślała.

- Naturalnie na podstawie tych zdjęć trudno stawiać dokładną diagnozę. Jednakże o tu, w tym miejscu, widać ciemny punkt, podejrzaną zgrubienie...

Wskazał na zdjęciu miejsce, o które mu chodzi. Beth zamknęła oczy; nie chciała go oglądać.

- To rzecz jasna nie musi o niczym świadczyć, ale tutaj...

Beth uniosła powieki. Nie mogła przecież siedzieć z zamkniętymi oczami, ale cokolwiek by się działo, nie zamierzała patrzeć na ciemny punkt, o którym doktor Rose mówił.

- To nie jest drugie pęknięcie. Prawdę rzekłszy, sam nie wiem, co to jest. Powinna się pani zgłosić do onkologa. Radzę najszybciej, jak tylko można.

Nie! Jakim prawem spotykają kolejne nieszczęście? Już dość się naciępała. Wreszcie zaczęła wieść normalne życie, wreszcie była szczęśliwa, wreszcie była zakochana. O Boże! Jakim prawem?

- Dobrze - powiedziała cicho, starając się nad sobą panować.

Nie, nie była zakochana. Może dlatego spadło na nią kolejne nieszczęście - właśnie dlatego, że nie kochała Ryana, dlatego że obiecała sobie, iż się w nim nie zakocha. Podejrzane zgrubienie na kości służyło temu, by jej nieposłuszne serce nagle nie zmiękło.

- Przykro mi, panno Pendleton... - Doktor Rose zamilkł. Mniej więcej po minucie posłał Beth jeden z tych miłościwych, pełnych współczucia uśmiechów, jakimi przedstawiciele świata medycyny obdzielają pacjentów z chorobą nowotworową, kiedy nie wiedzą, jak inaczej ich pocieszyć. - Jeśli państwo chcą, żeby ich zostawić na chwilę samych...

- Tak, chętnie.

Lekarz wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Beth ponownie zacisnęła powieki; nie była w stanie patrzeć na podświetloną tablicę, na której wisiały zdjęcia rentgenowskie, na pozbawiony charakteru pokój, na Ryana.

Poczuła rękę zaciskającą się na jej prawym ramieniu. Rękę Ryana, dużą, ciepłą, silną.

- Dobrze się czujesz? - spytał szeptem.

Nie, nie czuła się dobrze. Jak mogła się dobrze czuć? Właśnie wręczono jej bilet na kolejną przejażdżkę na diabelskim młynie. Chociaż się bała, nikogo nie mogła prosić o dotrzymanie jej towarzystwa. Na pewno nie Ryana. Za bardzo go kochała, aby narażać go na tak ciężką przeprawę. Psiakrew, kocha Ryana. Dopiero teraz to sobie w pełni uświadomiła.

Kocha go na tyle, że pragnie oszczędzić mu kłopotu, dać mu szansę ucieczki. Kocha go na tyle, że nie chce dzielić się z nim swoim nieszczęściem. Kocha go na tyle, aby pozwolić mu odejść. Natomiast do głowy jej nie przyszło, że może on ją również kocha i pragnie z nią zostać.

Zakładała, że znów będzie sama. Nie wiedziała, jak długo potrwa ten nowy rozdział jej życia, wiedziała jednak, że stawi mu czoło w samotności.

RS

## ROZDZIAŁ 14

- Nic mi nie jest - oznajmiła. - Naprawdę. Nic mi nie jest...

- Jak powiesz to jeszcze raz, będę wiedział, że kłamiesz - ostrzegł ją Ryan.

Na jej usta wypełznął bezradny uśmiech, w którym można było dojrzeć głośne wołanie o pomoc. Nieduża walizka leżała otwarta na łóżku. Beth z niezwykłą pieczołowitością pakowała do niej rzeczy, które zamierzała wziąć z sobą do Nowego Jorku. Tak strasznie się guzdrała, składając po trzy, cztery razy każdą sztukę odzieży, że obserwując ją, Ryan był bliski obłędu. Owszem, lewe ramię wciąż unieruchamiał temblak, ale przecież obie dłonie miała sprawne.

Korciło go, żeby podbiec do łóżka, odsunąć ją na bok, a rzeczy jednym ruchem wepchnąć do walizki. Co z tego, że będą potem pogniecione? Nie miał jednak odwagi, bo to wszystko - podejrzanе zgrubienie na kości, wyjazd do Nowego Jorku - dotyczyło jej zdrowia, jej życia. Więc dalej stał w drzwiach, patrzył na Beth i zastanawiał się, jak na miłość boską powinien się zachować.

Dawno temu, kiedy Beth próbowała go do siebie zniechęcić, uprzedził ją, że nigdy wcześniej nie miał kontaktu z osobą chorą na raka i nie jest psychicznie przygotowany do życia w ciągłej niepewności. Nie był również przygotowany do tego, aby wdać się w romans z kobietą po mastektomii, ale okazało się to znacznie łatwiejsze, niż sądził. Albowiem Beth, nawet pozbawiona jednej piersi, była najseksowniejszą kobietą, jaką znał.

Natomiast obecny wyjazd do Nowego Jorku na badania onkologiczne... to zupełnie co innego. Ryan bał się, miał jednak świadomość, że Beth znajduje się w nieporównywalnie trudniejszej sytuacji - skoro zaś ona nie załamała się, skoro zamierza poradzić sobie z kłopotami, dlaczego on nie miałby tego dokonać? Jest przecież równie silny i mężny.

- Słuchaj - powiedział cicho - to naprawdę dla mnie żaden problem odwieźć cię do Nowego Jorku.

Żaden problem? Dobre sobie! Problemem nie był oczywiście czas ani odległość, lecz cel wyprawy. W Manchesterze i w Nashui też praktykowali doskonali lekarze; gdyby Beth chciała wybrać się do światowej sławy onkologa ze światowej sławy szpitala, mogłaby pojechać do Bostonu. Ale ona uparła się wrócić do Nowego Jorku, do lekarza, który - święcie w to wierzyła - już raz uratował jej życie.

Ryan uważał, że Beth zawdzięcza życie wyłącznie sobie, własnej woli przetrwania. Była osobą zbyt energiczną, zbyt samodzielną, aby w tak ważnej sprawie polegać na innych. Nowojorski lekarz co najwyżej mógł jej trochę pomóc.

- Doceniam twoje dobre chęci, Ryan - oświadczyła, powtarzając to, co mówiła za każdym razem, kiedy ofiarował się ją podwieźć, a ofiarował się z dziesięć razy w trakcie ostatnich dwudziestu czterech godzin. - Ale nie, dziękuję.

- To tylko pięć godzin jazdy - nalegał. - Naprawdę chętnie cię podrzucę.

Podniosła oczy znad swetra, który z taką troską składała. Spojrzenie miała harde, zniecierpliwione.

- Samolotem będzie mi wygodniej - stwierdziła, po czym rozprostowała sweter i zaczęła go składać od nowa.

Jej szczupłe palce przesuwaly się po nim szybko, niczym palce pianisty po klawiaturze, ale bez tej płynności i bez wdzięku cechującego ruchy rąk muzyka. Siedziała spięta, plecy miała sztywne, usta tak mocno zaciśnięte, że aż białe w kolorze. Ryan nigdy dotąd nie widział równie przerażonej istoty, w dodatku tak zdecydowanej, aby ukryć strach. Przyszło mu do głowy, że może by się rozluźniła, gdyby zaczął ją całować albo gdyby zrzucił walizkę na podłogę, pchnął Beth na łóżko i zaczął się z nią kochać... Może wtedy zapomniaby o bożym świecie, może nie zdążyłaby na samolot, a wówczas on zawiózłby ją do Nowego Jorku i dotrzymał jej tam towarzystwa.

Na miejscu słuchałby uczonych wywodów lekarzy specjalistów, patrzyłby na ogromne, wzbudzające grozę maszyny diagnostyczne, obserwowałby, jak kłuto by Beth igłami, naświetlano promieniami laserowymi i robiono jej dziesiątki badań, żeby znaleźć odpowiedź na pytanie, czym jest owa tajemnicza smuga widoczna na zdjęciu rentgenowskim.

O Boże. Nie chciał o tym wszystkim myśleć.

Ale nieważne, co on chciał lub czego nie chciał. Beth nie dała mu żadnego wyboru. Wczoraj po południu, kiedy doktor Rose ze szpitala w Manchesterze śmiertelnie ją wystraszył swymi podejrzeniami, Beth otoczyła się ochronnym pancerzem i nikogo do siebie nie dopuszczała. Ryan widział, co się z nią dzieje. Szanował jej potrzebę samotności, toteż nie narzucał się, nie pchał na siłę.

Spakowawszy wszystko, zamknęła wreszcie walizkę.

- Lolek lubi rano chodzić na długie spacerzy - powiedziała, unikając wzroku kochanka. - Legowisko ma w skrzyni, tam spędza noce. Nie musisz go do siebie zabierać. Da sobie tutaj radę, bylebyś rano wypuścił go na dwór. Po powrocie z porannego spaceru zawsze daję mu biskwita. No i koniecznie trzeba pamiętać o świeżej wodzie...

- Beth, znam się na psach. I znam Lolka. Na pewno się dogadamy.

Jej twarz była w cieniu, poza zasięgiem światła padającego z lampki na stoliku nocnym.

- Lubi, jak się go często głaszcze - kontynuowała instrukcje dotyczące opieki nad zwierzęciem. - I jak się z nim rozmawia.

- W porządku. Możemy ucinać pogawędki.

- Nie używaj kolczatki. Kupiłam, bo tak mi radziłeś, ale on jej naprawdę nie potrzebuje. Obiecuj, że nie będziesz mu jej zakładał.

- Uspokój się.

Nie mógł dłużej znieść narzuconego przez nią dystansu, ruszył więc na drugi koniec pokoju, chwycił ją w ramiona i



mocno do siebie przytulił. Choć od wczoraj nie straciła nic na wadze, sprawiała wrażenie istoty potwornie kruchej, niemal łamliwej, jakby z sekundy na sekundę coraz bardziej topniała, wietrzała.

- Pozwól mi z tobą pojechać - szepnął, starając się ukryć desperację. - Nie będę ci wchodził w drogę, przysięgam. Ale może będzie ci lżej, jeżeli...

- Jeżeli jeszcze o ciebie będę musiała się martwić? - spytała ostrym tonem.

Zabolały go jej słowa. Zabolało to, że nie chciała jego pomocy. Wiedział, że nie zamierzała sprawić mu przykrości, ale czuł się odtracony. Pragnął być jej bohaterem, troszczyć się o nią, a ona odwracała się do niego tyłem.

- Nie musisz się o mnie martwić - odparł, tłumiąc złość. - Ja się nie liczę. To ty...

- No właśnie. Ja.

Uwolniła się z jego objęć. Dojrzał w jej oczach strach i gniew. Strach i ogromny smutek.

- No właśnie - powtórzyła. - Liczę się ja. - Z jej głosu przebijała stanowczość, determinacja. - Ty zaś nawet nie zdajesz sobie sprawy, o co prosisz. Gdybyś wiedział, ręczę, że wolałbyś nie mieć z tym nic wspólnego. Nie chcę, żebyś mnie odwoził, pocieszał, a potem nagle się ocknął, zrozumiał, w co się wplątałeś, i szybko wziął nogi za pas. Nie chcę.

- Dlaczego sądzisz, że cię porzucę? Mylisz mnie z tamtym facetem sprzed dwóch lat.

- Ryan, tu nie chodzi o moją pierś. Nie chodzi o urodę, o piękno fizyczne. Nie chodzi o seks. Chodzi o moje życie.

- Wiem - rzekł, nie bardzo się orientując, do czego Beth zmierza.

Zauważyła to.

- Nie, nie wiesz. Nie wiesz, co to znaczy żyć w ciągłym strachu, że nagle jakiś lekarz znajdzie podejrzenie wyglądającą smugę na twoim zdjęciu rentgenowskim. Nigdy nie żyłeś z

mieczem zawieszonym nad głową, zastanawiając się, czy spadnie i kiedy spadnie. Ja właśnie tak żyję, każdego dnia budzę się z mieczem nad głową. Jeżeli za bardzo się do mnie zbliżysz, ten miecz zawiśnie również nad tobą.

Stał oniemiały, wstrząśnięty jej wypowiedzią. Co dokładnie znaczą słowa Beth? Że nie będą razem, dopóki on nie pogodzi się z myślą, że ona może wkrótce umrzeć? Że aby ją naprawdę pokochać, musi najpierw zaakceptować fakt, że ona żyje w ustawicznym strachu przed śmiercią?

Nie był pewien, czy o to Beth chodzi, ale jeśli tak... jeżeli to jest warunek...

Miała rację. Nie rozumiał, co czuje człowiek stale zagrożony śmiercią i nie był do końca przekonany, czy chce zrozumieć. Nawet gdyby Beth uchyliła swój pancerz, nawet gdyby przyjęła go z otwartymi ramionami... nie wiedział, po prostu nie wiedział.

Przyglądała mu się uważnie, czytając w jego twarzy to, co działo się w jego myślach. Po chwili napięcie ją opuściło, gorycz również; pozostał kamienny spokój.

- Więc zaopiekujesz się Lolkiem? - spytała cicho.
- Tak, Lolek i ja świetnie sobie bez ciebie poradzimy.
- To dobrze.

Spojrzenie miała chmurne, posępne. Tak jak pierwszego dnia, kiedy się kochali, w oczach Beth czaiła się rezygnacja. Ale tym razem Ryan nie wiedział, w jaki sposób można przywrócić im blask. Tym razem czuł się totalnie bezradny.

- Zostawiłam ci numer do Evelyn - przypomniała mu rzeczowym tonem. - Dzisiejszą noc spędzę u niej, a jutro idę do szpitala.

- Wiem.
- Nie jestem pewna, kiedy wrócę. To zależy od paru spraw.

Na przykład od tego, co powiedzą lekarze, a także od tego, czym się okaże widoczna na kości obojczyka ciemna smuga.

- Wiem.

- Więc wytłumacz Lolkowi, żeby się nie martwił, jeśli będę musiała zostać tam dłużej.

Co? Żeby Lolek się nie martwił? A on, Ryan?

Jak nie, to nie. Uznał, że skoro Beth nie chce, żeby się o nią niepokoił, to nie. Po prostu. Wcale nie miał na to ochoty. Nie spodziewał się, że Beth go porzuci. Sądził, że z nich dwojga to ona jest silniejsza. Widać jednak się mylił. Beth wystraszyła się, postanowiła uciec, nie dać mu szansy. Najwyraźniej uznała, że nie może na nim polegać, że nie jest tym mężczyzną, jakiego potrzebuje. Nie pokładała w nim wiary.

Skoro tak, odwiezie ją na lotnisko w Manchesterze, po czym wróci do Devon i zajmie się Lolkim, a potem spróbuje w siebie wmówić, że decyzja Beth, aby w krytycznym momencie wykluczyć go ze swego życia, była najlepszą rzeczą, jaką Beth mogła dla niego uczynić.

Lolek i ja świetnie sobie bez ciebie poradzimy, tak powiedział.

Silnik odrzutowca dźwięczał jej w uszach niczym wzmocnione tysiącrotnie bzyczenie natrętnego komara. Samolot leciał na tyle nisko, że widziała z góry miasta, rzeki i wzgórza znaczące zachodnią część stanu Massachusetts. Za niecałą godzinę wyląduje na lotnisku La Guardia w Nowym Jorku, za niecałe półtorej godziny dotrze do wygodnego mieszkania Evelyn na Siedemdziesiątej Piątej Ulicy, za niecałe dwadzieścia cztery godziny będzie miała ten koszmar za sobą.

296

Nie. Koszmar nigdy nie minie. Zawsze będą kolejne badania, kolejna tomografia, kolejny rezonans magnetyczny, rentgen, na jej piersi zawsze pozostanie blizna, w sercu smutek, a w pamięci bolesne wspomnienia. W duszy zaś zawsze będzie się tlił płomień strachu, obawa, czy wygra następną batalię.

Lolek i ja świetnie sobie bez ciebie poradzimy.

Rzeczywiście trochę niefortunnie to zabrzmiało, choć Ryan nie miał przecież nic złego na myśli. Beth jednak cały czas

powtarzała te słowa, wsłuchiwała się w nie, katowała się nimi, sugerowały bowiem, że kiedyś, gdy jej zabraknie - może istotnie jeszcze za życia Lolka - nikt nawet nie zauważy tego, że odeszła.

Zamknęła oczy, starając się o wszystkim zapomnieć. O widocznych z góry wierzchołkach drzew i srebrzystych wstęgach rzek. O świecie, który istnieje tam w dole - istnieje bez niej, bez Beth Pendleton.

Postanowiła nie myśleć o śmierci, lecz skupić się na Ryaniu. Było to niemal równie przygnębiające. Wiedziała, że prędzej czy później dojdzie do zerwania. Wolała sama podjąć decyzję, sama go odtrącić. I ogarnięta strachem odtrąciła go w chwili, kiedy go najbardziej potrzebowała.

Na swój pokrętny sposób uznała, że wyświadcza mu ogromną przysługę, wpychając go do łodzi ratunkowej, zanim rozlegnie się sygnał alarmowy; gdyby czekała, aż statek zacznie tonąć, wtedy Ryan musiałby płynąć do brzegu o własnych siłach albo ryzykować, że zostanie wessany pod wodę razem z nią. Czyli wybór, jakiego dokonała, był bardziej humanitarny. Kochała Ryana i właśnie dlatego, że go kochała, wolała się z nim rozstać, zanim sama pójdzie na dno.

Z trudem otworzyła oczy. W dole ciągnęła się poszarpana linia brzegowa stanu Connecticut; woda wpływająca z Atlantyku do cieśniny Long Island uderzała o brzeg, rozbijając się z hukiem o skały. Beth czuła się równie bezsilna jak ziarnko piasku niesione przez fale. Nie miała żadnego punktu zaczepienia. Nikogo, komu by na niej zależało. Ryan jest daleko, Lolek też. Świetnie sobie bez niej poradzą.

Ryan... To miał być skok na głęboką wodę, zabawa, radość, odkrywanie na nowo przyjemności ciała. Wcale nie chciała się w nim zakochać. Ale... zakochała się, i teraz powoli szła na dno. Sama jedna.

Pod pojęciem przyjaźni zwykle się rozumie to, co łączy dwie osoby. Beth i Cindy łączyły studia prawnicze. W ważnym

okresie swojego życia, kiedy miały po dwadzieścia, dwadzieścia kilka lat, mieszkały razem. W tym czasie Cindy - dzięki Beth - poznała swojego przyszłego męża, Jeffa Millera.

Z kolei Evelyn i Beth łączyła podobna choroba. Obie przeżyły tragedię, wygrały walkę, pokonały wroga; istniały rzeczy, o których ktoś, kto nie uczestniczył w tej wojnie co one, nie miał pojęcia. Kiedy Beth zadzwoniła powiedzieć, że przyjeżdża do Nowego Jorku, Evelyn zaofiarowała jej nocleg u siebie. To nie było zaproszenie. To był rozkaz.

Mąż Evelyn zostawił kobiety w salonie, żeby mogły nagadać się do woli, a sam dyskretnie wyniósł się do sypialni, gdzie przez cały wieczór oglądał telewizję. Evelyn zrelacjonowała przyjaciółce, co słycać u innych kobiet z ich grupy terapeutycznej, potem zaczęła ją wypytywać o życie w Devon.

Beth opowiedziała Evelyn o swojej pracy w zespole adwokackim, tak miłej, spokojnej i nie stresującej, zwłaszcza w porównaniu z poprzednią pracą. Opowiedziała o swoich współnikach, o chrześniacze, o domu i psie. Opowiedziała o gwiazdzistym niebie, o cykaniu świerszczy w ogrodzie, o zapachu sosen.

- I kto by pomyślał? - zawołała ze śmiechem Evelyn. - Elegancka kobieta ceniąca uroki wielkiego miasta nagle zakochuje się w prowincjonalnej Nowej Anglii! Poznałaś tam kogoś? Masz nowych przyjaciół?

- Kilkoro - odparła wymijająco Beth.

- No dobra, przyznaj się. Jest jakiś facet?

Beth podniosła oczy do nieba; czuła, jak oblewa się rumieńcem.

- Spotykałam się z takim jednym - rzekła.

- Och, Beth. - Przyjaciółka natychmiast domyśliła się prawdy. Wyciągnęła dłoń i zacisnęła ją na ręce Beth. - Tylko mi nie mów! Facet załamał się? Nie wytrzymał?

- Nie dałam mu szansy. Nie chciałam poznać go od najgorszej strony.

- Nie sądzisz, że to trochę niesprawiedliwie? - spytała Evelyn.  
 - A od kiedy życie jest sprawiedliwe, co? - odparła Beth; z jej słów przebijał smutek, lecz nie było w nich goryczy. - Pomyślałam sobie, że pewnie będzie szukał ucieczki, więc zostawiłam drzwi otwarte.

Przez kilka minut siedziały w milczeniu.

- Pamiętasz, Beth, co podczas jednego z naszych spotkań w szpitalu powiedziała nam pracownica społeczna? - spytała w końcu Evelyn. - Powiedziała, że kiedy zdarza się coś takiego... - mówiąc to, wskazała na biust przyjaciółki, potem na własny - warto się zastanowić nad swoim życiem, przewartościować je, zadać sobie kilka pytań. Na przykład: gdybym jutro miała umrzeć, czy żałowałabym tego, co dziś robiłam? Czy wolałabym robić co innego? Czy odchodzę z żalem czy bez żalu?

Tak, Beth pamiętała tę rozmowę. Pamiętała również, o czym wtedy myślała: że gdyby miała umrzeć, żałowałaby tego, iż taki kawałek życia poświęciła na pracę zawodową zamiast na różne przyjemności. Żałowałaby tego, że nigdy nie miała domu z ogrodem pełnym kwiatów i że patrząc w górę, zamiast nieba zawsze widziała wieżowce. Żałowałaby, że nigdy nie miała psa lub kota. Żałowałaby, że nie dane jej było zaznać prawdziwej miłości.

Wiedziała, że może jutro umrzeć - jak każdy. Ale gdyby tak się stało, teraz przynajmniej odeszłaby bez żalu. Wzięła bowiem do serca rady, jakich udzieliła im tamta kobieta,

1 zmieniła swoje życie. Zrezygnowała z niewolniczej pracy, kupiła dom z ogrodem, psa, zakochała się.

Z całego serca modliła się o to, aby ten ostatni dzień nastąpił dopiero za wiele, wiele lat. Ale gdyby śmierć pojawiła się znienacka... Tak bardzo by już nad tym nie bolała. I nie żałowałaby tego, co ją ominęło. Niczego by nie żałowała. Zwłaszcza tego, że spotkała Ryana.

Poprosiła o środek uspokajający. Badanie nie było bolesne czy jakoś nadmiernie przykre, lecz po prostu nie lubiła leżeć bez ruchu, zamknięta w dziwnej poziomej kabinie, izolowana od świata, wsłuchując się w metaliczne odgłosy. Czowała się wtedy tak, jakby umarła i leżała w trumnie.

Nie miała powodu, żeby się niepokoić. Lekarz długo z nią rozmawiał, wypytywał o jej samopoczucie, o to, jak jej się żyje w Hew Hampshire, czy nie miała żadnych bóli w okolicy pleców, bioder, żeber lub ramion. Obejrzał dokładnie zdjęcie pękniętego obojczyka i powiedział, żeby się nie martwiła.

Leżąc w metalowej skrzyni, z zamkniętymi oczami, czuła, jak środek uspokajający zaczyna działać. Całą poprzednią noc przewracała się na łóżku, nie mogąc zasnąć, toteż zmęczenie w połączeniu z tym, co dostała na uspokojenie, spowodowało, że zapadła w półsen. Rozmyślała o swej pracy, o tym, jak mało stresująca jest choćby sprawa o odszkodowanie, którą w imieniu swojego klienta wniosła przeciwko niekompetentnemu prawnikowi, o tym, jak wszystko w Devon jest miłe i mało stresujące. Oczami wyobraźni zobaczyła niesamowicie błękitne niebo i swój piękny stary dom na Loring Road. Niemał słyszała, jak Lolek szczeka, ciesząc się z jej powrotu.

Zapadała w coraz głębszy trans. Promienie wydzielane przez maszynę przesuwają się po jej ciele, a ona udawała, że to ręce Ryana tak czule ją pieszczą.

Ryan.

Dlaczego się w nim zakochała? Czy dlatego, że jest mądry i ma duże poczucie humoru? Dlatego że jest tak piekielnie przystojny? Dlatego że nie ma kompleksów, że porusza się z taką swobodą i wdziękiem nawet wtedy, gdy ma na sobie brudny roboczy strój i ciężkie, zabłocone buciory? Dlatego że jest takim dobrym kochankiem?

Ale przecież nie z powodu zręczności, jaką wykazywał w łóżku, czuła się tak dobrze, gdy ją obejmował. Nie, nie to ją w nim ujęło. Raczej to, że mogła na nim polegać. To, że był

szczerzy i uczciwy. Tak szczerzy, że nawet nie krył wątpliwości, które go gnębiły. Tak uczciwy, że ani razu nie szepnął w uniesieniu miłosnym, że ją kocha.

Maszyna wydawała dziwny, odbijający się echem szum, który sprawiał, że zamkniętego w jej wnętrzu człowieka przechodziły dreszcze. Ryan. Beth marzyła o tym, żeby był tu razem z nią i - tak jak wczoraj, zanim wyruszyła w drogę - mocno do siebie przytulił. Była wczoraj taka przybita, taka przygnębiona, a on chwycił ją w objęcia i starał się ją pocieszyć, dodać otuchy. Zazdrościła mu; gdyby tylko miała tyle siły co on, gdyby umiała być równie beztroska, gdyby potrafiła zdobyć się na odwagę i skoczyć ze skały do rzeki. Gdyby była cała i zdrowa. Gdyby...

Nie, żadnych gdyby. Niczego nie żałowała. Osiągnęła to, o czym śniła i jeżeli badanie wykaże, że tym razem walkę przegrała, odejdzie z tego świata ze świadomością, że w swoim krótkim życiu zdobyła wszystko, na czym jej zależało: dom, zadowolenie, miłość.

Nagle poczuła, jak ktoś ją głaszcze po ręce. Drgnęła zaskoczona. Przecież nikt nie wsunął się do niej do wnętrza maszyny. Jęcząc cicho, otworzyła jedno oko.

Nie była już w maszynie. Leżała na łóżku, w niedużym pokoiku, w którym paliło się przyćmione światło. Nad łóżkiem pochylała się pielęgniarka, która delikatnie klepała ją po ramieniu.

- Beth?

Twarz pielęgniarki wydawała jej się znajoma, pewnie pracowała tu od dawna. W ciągu ostatnich dwóch lat Beth poznała większość osób zatrudnionych na onkologii. Gdyby tylko umiała pozbyć się mgły, która kłębiła się jej w głowie, gdyby zdołała otworzyć drugie oko...

- Kochanie, pora się budzić.

- Dla... czego? - wydusiła z trudem Beth. Wcale nie chciała się budzić. Tak przyjemnie się spało.



- Śpisz już prawie godzinę. Ten środek uspokajający jakoś bardzo silnie na ciebie podziałał. Kochanie, postaraj się obudzić. Dobrze?

- Nie.

Otworzyła jednak drugie oko i wybuchnęła śmiechem, ubawiona własnym uporem. Policzek ją swędziało; odcisnęły się na nim ślady pogniecionej poduszki. Włosy lepiły się jej do skroni.

- Masz gościa.

Pewnie lekarz, pomyślała Beth. Albo Evelyn. Tak, pewnie Evelyn wpadła z wizytą. Rano chciała odwiedzić Beth taksówką, ale Beth uparła się, że pojedzie sama.

- Przyszedł jakieś pół godziny temu. Przyszedł? Zatem lekarz, a nie Evelyn. No dobrze.

- Czy mam go poprosić? - spytała pielęgniarka.

- Jasne - odparła zdziwiona Beth.

Gdyby została normalnie przyjęta do szpitala i leżała w prawdziwej sali, wtedy owszem, oczekiwałaby wizyty lekarza. Ale leżała na jakimś kozetce w małym pokoiku, w którym pielęgniarki pracujące na nocnej zmianie ucinają sobie drzemkę.

Wciąż półprzytomna, próbowała usiąść. Kiedy jednak ujrzała w drzwiach Ryana, zrozumiała, że w dalszym ciągu śpi. Opadła z powrotem na poduszkę i zamknęła oczy.

- Beth...

Dobry Boże, brzmi to jak głos Ryana. Kroki też brzmią dziwnie znajomo, po pokoju zaś rozchodzi się korzenny zapach wody toaletowej, jaką Ryan często stosował. Uniosła powieki; piwne oczy, które wpatrywały się w nią tak tęsknie, mogły należeć tylko do Ryana. Był potargany, ciemny zarost okrywał mu policzki i brodę. Chwytał stojące przy oknie krzesło, postawił je z hukiem przy łóżku i przysiadł na nim okrakiem.

- Jak się czujesz?

Wciąż nie była pewna, czy to wszystko dzieje się na jawie.

- Ryan? - spytała.

- Psiakość, Beth... - Ugryzł się w język, po czym zaczął od nowa, tym razem usiłując nad sobą panować.

- Jestem w drodze od piątej rano. Powiedz, jak się czujesz?

Czuła się zdezorientowana. Nie wierzyła, że Ryan przyjechał taki kawał drogi tylko po to, żeby się z nią zobaczyć.

- Kto się opiekuje Lolkiem? - spytała zmieszana.

- Millerowie?

- Nie.

- Nie, no jasne. Eryka go uwielbia, ale to byłby dla Cindy za duży kłopot, gdyby musiała zajmować się i dzieckiem, i psem. Mitzi? Zostawiłeś Lolka u Mitzi?

- Nie, ja...

- U Larry'ego? On kocha robaki, więc może sobie i z psem poradzi.

- U Lynne.

- U Lynne?

- Tak, u twojej nieznośnej, wszystko wiedzącej sekretarki. Zadzwoń do niej w środku nocy, a ona powiedziała: dobrze, przywieź mi psa, a sam jedź do Beth.

Słowa Ryana jeszcze bardziej ją zdezorientowały. Nie potrafiła sobie wyobrazić Lynne, która obudzona w środku nocy reaguje w opisany przez Ryana sposób.

- Ryan...

- Masz rację. - Uśmiechnął się łobuzersko.

- Lynne powiedziała zupełnie co innego, a mianowicie że nikt tak dobrze jak ona nie umie opiekować się psami. Powiedziała też, że ze statystyk wynika, że najbardziej niebezpieczne są loty na krótkich odcinkach i że gdybym zwracał uwagę na takie rzeczy, to nigdy bym ci nie pozwolił wsiąść do takiego małego, rozklekotanego samolotu, jakiego się używa na krótkich dystansach. A skoro już ci pozwoliłem, to teraz powinienem po ciebie pojechać, żebyś broń Boże nie musiała się znów narażać na lot.

- Aha.

Czyli przyjechał tylko po to, żeby ją odebrać po badaniach i zawieźć do domu. Nic więcej się za tym nie kryje. Wziął jej prawą rękę w dłoń i lekko uściśnił. Ciepło, którym promieniował, natychmiast ogrzało jej zziębnięte palce.

- Jak się czujesz? - spytał ponownie.

- Niepotrzebnie się fatygowałeś - powiedziała. Słyszając swój głos, wreszcie do końca oprzytomniała.

- Musiałem przyjechać.

Popatrzyła mu w oczy. Były ciemne jak noc, wieczne jak czas.

- Pragnęłam cię oszczędzić...

- Nie życzę sobie być oszczędzany - zaprotestował stanowczo.

- Wiem, że chcesz być sama, że chcesz się mnie pozbyć i...

- Pozbyć się siebie? Nie. Ja... Po prostu nie chcę, żebyś się dla mnie poświęcał.

- Sądzisz, że dlatego tu jestem? Bo się poświęcam? - Wybuchnął pełnym niedowierzania śmiechem. - Ja i poświęcenie?

- Jeśli wiesz, co dobre, Ryan, trzymaj się ode mnie z daleka. Naprawdę dobrze ci radzę.

- Posłuchaj - rzekł poważniejąc. - Zdaję sobie sprawę, że moje życie byłoby o wiele prostsze, gdyby ciebie w nim nie było. Nie planowałem czegoś takiego. Nie spodziewałem się, że któregoś pięknego dnia poznam Beth Pendleton, która wyróci mój świat do góry nogami. - Delikatnie pogładził jej rękę, po czym uniósł ją do ust i w wgłębieniu dłoni złożył pocałunek. - Wczoraj wieczorem, kiedy odwozłem cię na lotnisko, wróciłem do ciebie do domu i pogadałem sobie z Lolkiem. Powiedziałaś, że on lubi, jak się do niego mówi, więc poszliśmy na długi spacer... Nie bój się, nie wziąłem kolczatki - dodał z uśmiechem. - Łaziliśmy i gadaliśmy. A raczej ja gadałem.

- Lolek pewnie był zachwycony.

- Skąd. Chodził całkiem przybity. Tęsknił za tobą. Ja zresztą też.

Uśmiechnęła się z przymusem; wcale mu nie wierzyła.

- To było coś więcej niż tęsknota - ciągnął. - To było tak, jakby w naszym życiu nastąpiła pustka. Nie odtrącaj mnie, Beth. Wiem, że nie chcesz dzielić ze mną swojego bólu. Myślisz, że nie podołam.

- Ryan...

- Do jasnej cholery, Beth, wszystkiemu podołam, tylko nie chcę utracić ciebie. Masz rację, wcale nie chcę żyć w niepewności, z mieczem nad głową. Ty też nie. Ale na razie nie mamy nad tym kontroli. Błagam cię, nie odpychaj mnie. Nie odpychaj.

- Ryan...

- Chcę być z tobą. Chcę dzielić twoje życie, jakiegokolwiek ono będzie. Może ty mnie nie potrzebujesz, ale ja ciebie bardzo.

- Jesteś pewien? - spytała.

- Kocham cię, Beth - szepnął. Oczy lśniły mu od łez.

- Zrobię, co tylko zechcesz, przyjmę wszystkie warunki.

- Głos mu się lekko załamał. - Ale proszę cię, nie odwracaj się ode mnie.

- Ja też cię kocham - powiedziała cicho, ściskając jego dłoń.

- I też cię potrzebuję.

- Razem przez to przebrniemy.

- Dobrze.

- I potem razem pójdziemy przez życie.

- Jeżeli jesteś pewien, że tego chcesz.

- Tak. Bo stanowimy jedność i bez ciebie nie chcę żyć. Zgoda?

Oczy zasły jej łzami.

- Zgoda - szepnęła, trzymając jego rękę tak mocno, że nic nie zdołałoby ich rozdzielić. Ani strach. Ani śmierć. Po prostu nic.

Drzwi zaskrzypiały; pielęgniarka wsunęła głowę do pokoju.

- Beth? Lekarz chciałby się z tobą widzieć, jeśli jesteś gotowa.

Popatrzyli na siebie, wymieniając długie, intensywne spojrzenie. Ryan ścisnął ją za rękę. Całym sobą, oczami,

uśmiechem, wyrażał swą miłość, starając się dodać Beth otuchy, której tak bardzo potrzebowała.

Usiadła na łóżku i skinęła do pielęgniarki, po czym przeniosła wzrok na Ryana i czerpiąc siłę z jego miłości, rzekła:

- Tak, jestem gotowa.

RS

## EPILOG

Taras był tak duży, że wszyscy się mogli na nim swobodnie pomieścić, choć w tym momencie głównie okupowali go dorośli. Dzieci wolały otwartą przestrzeń ogrodu. Eryka na przemian to ganiała za Lolkiem, to przed nim uciekała, poza tym dyrygowała swoim dwuletnim braciszkiem Michaeliem oraz krzątała się wokół małej Anne Pendleton Walker, która dziś obchodziła swoje pierwsze urodziny. Chwiejąc się na nóżkach, solenizantka wędrowała po trawniku, nadaremnie usiłując dotrzymać kroku dzieciom Cindy i Jeffa oraz swojemu wielkiemu, ukochanemu psu.

- Nie siadaj od razu, jak tylko zaczniesz tracić równowagę - instruowała ją Eryka.

- liii! - zapiszczała mała Anne i z głuchym plaśnięciem wylądowała na ziemi; na szczęście, tak jak i poprzednim razem, gruba pieluszka zamortyzowała upadek.

Beth siedziała wypoczęta na miękkim krześle przy stole pokrytym różowym papierowym obrusem. Ciepły majowy wietrzyk co rusz usiłował zerwać obrus, ale bezskutecznie, bo na środku stołu stała duża taca z nie dojedzonym tortem. Obok leżały różowe papierowe talerzyki z resztkami wiórków czekoladowych i białego lukru. Chociaż dzieci uwielbiały słodkości, bardziej od wiórków czekoladowych uwielbiały biegać po ogrodzie.

Zdarzało się, nawet dość często, że Beth musiała u-szczypnąć się, by sprawdzić, czy nie śni; aby przekonać się, upewnić, że naprawdę żyje, że jest szczęśliwa. Tak jak dawniej nie chciała przyjąć do wiadomości swojej choroby, tak teraz wciąż trudno było jej uwierzyć w cudowną odmianę losu.

A los uśmiechnął się do niej pewnego dnia przed czterema laty, kiedy Ryan znalazł ją na kozetce w słabo oświetlonej dyżurce nowojorskiego szpitala i wyznał jej miłość. Tamtego dnia, w pogrążonej w półmroku salce, Beth poczuła się tak,

jakby nagle nad jej głową zaświeciło słońce, jakby świat stanął przed nią otworem, jakby czekała ją wspaniała przyszłość - u boku Ryana.

Potem razem przeszli do gabinetu lekarza, od którego się dowiedzieli, że nie widać żadnych podejrzanych zmian.

- Oczywiście, moja droga, trzeba będzie co jakiś czas powtarzać badania. Przypuszczalnie najadłaś się trochę strachu, jednak tamten lekarz z New Hampshire słusznie przysłał cię do nas. Lepiej być ostrożnym, ale z tego, co widzimy, absolutnie nic ci nie dolega. Jesteś zdrowa jak ryba.

Ciężar spadł Beth z serca. Od tamtej chwili była właściwie nieustannie szczęśliwa.

- Eryka! - zawołała Cindy, wychylając się przez przystrojoną balonami balustradę. - Przestań drażnić się z braciszkiem.

- Wcale się nie drażnię! - krzyknęła w odpowiedzi dziewczynka. - Uczę go joggingu.

- On jest za młody na jogging.

- Aleja chcę, żeby był zdrowy.

- Świetnie - mruknęła Cindy po nosem, po czym zachichotała.

- Przysięgam, wywalę Lynne z pracy. Czy ona naprawdę nie ma nic lepszego do roboty jak tłumaczyć pięcioletniej dziewczynce o konieczności dotleniania serca i potrzebie zażywania ruchu?

- Wiesz, to wcale nie jest głupie - wtrąciła Mitzi, która podeszła do balustrady i pomachała do Eryki. - Sprawność fizyczna wpływa na atrakcyjność; im więcej ruchu, tym bardziej seksowne ciało.

Na jej palcach połyskiwało tyle brylantów, że kiedy zaczęła gestykulować, ich blask niemal Beth oślepił. Najmniejszy pierścionek z brylantem Mitzi dostała od Larry'ego na gwiazdkę. Ich ślub miał się odbyć w czerwcu, dokładnie za miesiąc; wszystko wskazywało na to, że będzie to największa i najwspanialsza impreza, jaką kiedykolwiek widziano w Devon. Dla gości spoza miasta Mitzi wynajęła cały „Jevon Hill” oraz dwie inne gospody. Przyjęcie weselne zamierzała zorganizować

w swej nowej rezydencji. Nie mogła się doczekać, by zejść w sukni ślubnej po wspianiałych, szerokich schodach. „Dzięki Bogu, że Ryan zbudował tak przepiękne schody, powiedziała kiedyś do Cindy i Beth. Kremowa suknia z jedwabiu będzie cudownie wyglądać na tle importowanego marmuru...”

Beth cieszyła się na myśl o ślubie przyjaciół. Narzeczeni prosili ją, by została druhną, ale zaprojektowany przez Mitzi fason sukni, z dekoltem i bez ramion, zupełnie się dla Beth nie nadawał i chociaż Mitzi proponowała zmiany, Beth wyjaśniła jej, że to nie ma najmniejszego sensu. Wystarczy, że Ryan będzie drużbą Larry'ego.

Z kolei Ryan, odkąd tylko usłyszał, w czym mają wystąpić drużbowie, narzekał właściwie bez przerwy.

- Tu jest Devon! - powtarzał. - Tu nikt nie nosi fraka. Może poza dziećmi, które w Halloween chodzą przebrane za diabła.

Ale oczywiście wiedział, że jego protest na nic się nie zda, albowiem Mitzi wymarzyła sobie, że w dniu ślubu pan młody i jego drużbowie wystąpią we frakach, a Lany nie potrafił niczego Mitzi odmówić. Był nią tak samo oczarowany jak owego dnia cztery lata temu, kiedy z wyciętymi z kolorowych pism zdjęciami oranżerii i nieodpartym wdziękiem pojawiła się w siedzibie jego firmy.

Teraz też patrzył na nią z zachwytem. Mitzi z Cindy stały przy balustradzie, obserwując bawiące się w ogrodzie dzieci, Lany zaś stał nieopodal, z butelką zimnego piwa w ręce, i nie spuszczał wzroku ze swej ukochanej.

- Co za kobieta! - rzekł, zwracając się do Jeffa.

- To samo powiedziałem, kiedy po raz pierwszy ją zobaczyłem. Co za kobieta! - rzekł żartobliwie Jeff, ale Larry był zbyt zakochany, aby uchwycić nutę ironii w głosie przyjaciela.

Beth przeniosła spojrzenie z Jeffa i Larry'go na Mitzi i Cindy, a z nich na dzieci baraszkujące w ogrodzie. Pomimo swych wielkich rozmiarów Lolek zachowywał się jak najlepsza,



najczulsza niania, zwłaszcza wobec najmłodszej Anne. Widząc, jak dziewczynka przebiera pulchnymi nóżkami, a potem nagle zaczyna się chwiać, pies rzucił się jej na ratunek; zanim mała upadła na ziemię, wsunął się pod nią tak, aby mogła się go przytrzymać i odzyskać równowagę.

- liii! - zapiszczała solenizantka.

Była śliczna. Miała złociste loki i oczy tak ciemne jak Ryan, lecz otoczone długimi, gęstymi rzęsami, spod których patrzyła kokieteryjnie na świat. Lubiła się uśmiechać i robiła to często, a wtedy w jej pulchnych policzkach ukazywały się rozkoszne dołeczki.

Była nie tylko śliczna, była doskonała. Zawsze i pod każdym względem. Kiedy ząbkowała; kiedy płakała, domagając się nowej pieluszki; kiedy zasuwiała na czworakach, wyjąc: Nieee!; kiedy spała, trzymając paluszek w ślicznej buzi; kiedy wierciła się w kąpielu, rozlewając wodę po podłodze; kiedy na swych pulchnych nóżkach dreptała po trawie; kiedy przytulała miękki policzek do policzka Beth i wzdychała cichutko - po prostu była doskonała. Patrząc na swoje dziecko, Beth miała wrażenie, że zdarzył się cud. Że spotkało ją największe szczęście, jakie może spotkać człowieka.

Beth i Ryan.

Ryan wyłonił się z kuchni, niosąc butelkę szampana.

- No nie! - zawołał Jeff, gdy ujrzał, co jego przyjaciel trzyma w dłoni. - Chyba przesadzasz, stary. Dzieciaki są jeszcze za małe.

- To nie dla dzieciaków - oznajmił Ryan, ustawiając na stole kilka plastikowych kubeczków. - To dla dorosłych.

- Ja jestem za młody na szampana.

- To szybko dorośnij, bo mamy ważny powód, żeby świętować.

Cindy i Mitzi obejrzały się zaintrygowane. Beth również przysłuchiwała się z zaciekawieniem. Każdy dzień był dla niej powodem do radości i świętowania, nie miała jednak pojęcia, co

skłoniło Ryana, aby w dniu pierwszych urodzin ich córki wyciągnąć butelkę szampana.

- Obchodzimy pierwsze urodziny małej Anne - stwierdziła Cindy, choć wszyscy od początku o tym wiedzieli - i możemy z tej okazji wypić po lampce. Ja do szampana dawno dorosłam.

- Świątujemy dziś coś więcej niż tylko urodziny naszej córki - oznajmił Ryan, promieniejąc energią, entuzjazmem, humorem. Jego gęste włosy powiewały na wietrze. Wycelował butelkę w boczną ścianę domu, a gdy korek wystrzelił z hukiem, napełnił szampanem sześć plastikowych kubeczków.

- No już dobrze. Zdradź, o co chodzi - poprosiła Beth. Uśmiech, którym ją obdarzył, był niezmiernie piękny.

Choć wtedy o tym nie wiedziała, właśnie uśmiechem, takim samym cudownym uśmiechem podbił jej serce tamtego pierwszego dnia, kiedy zastąpiwszy Lolkowi drogę, tłumaczył jej, czym się różni piesek od suczki. Uśmiechał się w ten czarujący sposób, zanim jeszcze przyszło mu do głowy, że może zakochać się w Beth - i zanim, rzecz jasna, zrozumiał, z czym się wiąże miłość do niej. Dziś, po latach, nadal szaleńczo zakochany, uśmiech wciąż miał identyczny.

- Moja żona pragnie wam przekazać wspaniałą nowinę - rzekł, rozdawszy wszystkim kubeczki. - No, skarbie. Mów.

- Ale co? - spytała Beth zdumiona. - Że zgodziłeś się zbudować daszek nad przejściem łączącym dom z garażem, żebym nie musiała moknąć, kiedy wnoszę zakupy?

- Nie, to żadna nowina. Powiedz im, co dziś jest za dzień.

- Przecież wiedzą. Urodziny Anne.

- Nie tylko. Dziś mija pięć lat - oznajmił Ryan, uśmiechając się szeroko do wszystkich, ale spojrzenie zatrzymując na niej.

- Pięć lat od pierwszych badań. Pięć lat kolejnych badań. Pięć lat świetnych wyników. Pięć lat zdrowia. - Unosząc kubeczek z szampanem, rozejrzał się po twarzach przyjaciół.

- Kochani, dziś moja żona została oficjalnie uznana za wyleczoną.

- Brawo! - zawołał Larry, stukając się z Jeffem plastikowymi kubeczkami.

- Od dawna już jestem zdrowa - szepnęła Beth, speszona, a zarazem szczęśliwa. Wczoraj przy kolacji wspomniała Ryanowi o piątej rocznicy, a wspomniała o tym dlatego, że wcześniej tego dnia zadzwonił lekarz, aby przekazać jej wyniki najnowszych badań.

- Tak, ale oficjalna granica to pięć lat. - Wypił łyk szampana, po czym odstawił kubeczek i pochylił się nad Beth, po czym zbliżył wargi do ust żony i złożył na nich długi pocałunek.

- Czy to nie uroczne? - spytała Mitzi.

- Dlaczego ty mnie tak nigdy nie całujesz? - zwróciła się Cindy do Jeffa.

Beth zamknęła oczy i skupiła się wyłącznie na mężu. Tego ranka, zanim przeszli do pokoju dziecka, żeby wyjąć Anne z łóżeczka, Ryan przytulił ją do siebie i szepnął:

- Dziękuję.

- Za wczorajszą noc? - spytała. - Nie musisz. Wierz mi, dla mnie to była jeszcze większa frajda niż dla ciebie.

- Długo moglibyśmy się o to spierać - rzekł z uśmiechem, po chwili jednak spoważniał.

- Dziękuję za Anne. Dziękuję, że za mnie wyszłaś. Dziękuję, że dałaś mi szansę stać się lepszym człowiekiem.

- Zawsze byłeś dobrym człowiekiem.

- Nie. To ty go ze mnie wydobyłaś. Jestem ci za to wdzięczny.

Zaczęła dumać nad tym, za co ona jemu jest wdzięczna, bała się jednak, że gdyby chciała wszystko po kolei wymienić, staliby tak kilka lat, a dziecko tymczasem umarłoby z głodu.

- Nie wiem, co powiedzieć. Też chciałabym ci podziękować.

Uśmiechnął się jeszcze bardziej szelmowsko.

- Za wczorajszą noc? Udała, że się zastanawia.

- Nie. Za piękny, wielki taras za domem. Jeżeli pogoda się utrzyma, możemy na nim świętować urodziny małej.

Pogoda się utrzymała, świeciło słońce, a niebo miało wspaniały błękitny odcień, niespotykany nigdzie poza Nową Anglią.

Każdego dnia Beth była coraz bardziej zakochana w mężu. Dziś kochała go bardziej niż wczoraj, wczoraj bardziej niż przedwczoraj, a przedwczoraj sądziła, że już mocniej kochać nie można.

Ryan wyciągnął ją z fotela i wziął w ramiona. Stali objęci na tarasie, szczęśliwi, wzruszeni, wdzięczni losowi za piękny dom, za dobrych przyjaciół, za ukochaną córeczkę, za pełnego temperamentu psa i za siebie nawzajem.

Cieszyli się, że los ich z sobą zetknął, cieszyli na myśl o wspólnej przyszłości w zdrowiu i szczęściu.

Ale ci się udało, powiedziała Beth do samej siebie. Nawet w najśmielszych marzeniach nie oczekiwałaś, że może być tak cudownie. Masz Ryana, masz Anne, może będziesz miała więcej dzieci. Masz dom, masz psa, jesteś zdrowa i kochana.

Uśmiechnęła się. Czego więcej mogłaby chcieć?